

DRUGA Z DZIEWIĘCIU



Krzysztof Bonk
ŚWIETLANY
MROK

Krzysztof Bonk

ŚWIETLANY MROK

TOM II

DRUGA Z DZIEWIĘCIU

CZĘŚĆ III

© Copyright by Krzysztof Bonk

Projekt okładki: Marta Frąckowiak

ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7859-838-1

Wydawnictwo: self-publishing

e-wydanie pierwsze 2017

Kontakt: bookbonk@gmail.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

I. KIM JESTEM?

Kobieta postawiła talerz na stole i napelniła naczynie zawieszistą zupą. Do gorącej potrawy dołała ziołowy wywar – silną truciznę, którą nabyła od Kommera. Całość dokładnie wymieszała. Pochwyciła talerz i wyszła z kuchni. Zatrzymała się przed pokojem rannego mężczyzny, po czym zapukała do drzwi.

– Zapraszam... – odezwał się słabym głosem Kegen i przekreślił się na łóżku w stronę, gdzie spodziewał się zobaczyć ukochaną Kati. Nie pomylił się. Jego żona stanęła w progu, ale jak zwykle, odkąd wrócił, poskąpiła mu promiennego uśmiechu. Z powagą podeszła do łóżka i usiadła na krześle.

– Przyniosłam ci obiad – oznajmiła chłodno.

Mężczyzna popatrzył obojętnie na parującą zupę.

– Jest gorąca – stwierdził.

– Zaraz ostygnie.

– Za to ty ostygłaś o wiele bardziej niż bym sobie tego życzył. – Chwycił kobietę za przegub dłoni.

– Pójdę po chleb. – Spróbowała się wyrwać z uścisku.

– Zostań. – Kegen ścisnął ją mocniej.

– Dobrze. Jak sobie życzysz.

– Dlaczego taka jesteś...? – Spojrzał na żonę z pewnym wyrzutem.

– Jaka? – odparła wymijająco.

– Zimna, niedostępna... Gdzie moja dawna, gorąca i na-

miętna Kati...? – Kegen wsparł się na łokciach i przesunął rękę na pierś kobiety. Naraz skrzywił się z bólu.

– Lekarz ostrzegał, abyś się oszczędzał.

– Oszczędzał? Ha! – parsknął mężczyzna i opadł na łóżko.

– Nie po to przeżyłem koszmar, abym się teraz oszczędzał – warknął. – Chcę się z tobą kochać choćby w tej chwili.

– Musisz nabrać sił. – Kobieta z wysiłkiem nadała swojej barwie głosu przymiłą nutę i przysunęła do mężczyzny talerz ze strawą.

– Tak, nabierać sił... – powtórzył pod nosem. – Zaraz coś zjem...

– Ciszy mnie to.

– Czyżby? Jakoś nie dostrzegam w tobie radości. – Kegen zmarszczył brwi.

– Radość przykrywa troska. Musisz coś w końcu zjeść! – Kobieta podniosła głos. Na co mężczyzna zmierzył ją uważnie wzrokiem i jękliliwie oznajmił:

– Troska... Zjeść, oczywiście... Ale najpierw chcę z tobą porozmawiać. Brakuje mi choćby tego, rozmowy.

Kobieta wymusiła uśmiech na swojej twarzy.

– O czym chcesz rozmawiać? – zapytała znowu spokojnie.

– Nie wiem, o wszystkim... Kati, jest tyle do opowiedzenia... A ty... Czy ty mnie unikasz...?

– Ależ skąd.

– Więc twierdzisz, że nie... A nie interesuje cię, gdzie byłem przez cały ten czas od mojego porwania? Jestem w tym domu od tylu cykli snu. Ty zaś nawet nie zapytałaś...

– Nie chciałam wpędzać cię w trudne wspomnienia – rzekła. Nabrała z talerza łyżkę zupy i przysunęła do ust męż-

czynny. Ten zamiast przyjąć pożywienie, powiedział:

– Cały ten czas, gdy nie było mnie z tobą, spędziłem w mroku. Cały czas w cholernych ciemnościach.

– Byłeś w mroku...? – zdziwiła się kobieta i krzywo się uśmiechnęła, a łyżka zadrżała w jej dłoni.

– Tak, byłem w mroku. I myśl o tobie była jedynym promieniem światła w moim życiu. Cierpiałem zimno, głód i samotność.

– Zimno, głód i samotność...

– Tak, ale ponad wszystko pragnąłem powrócić, aby być znowu przy tobie.

– Byłeś w mroku... – powtarzała, jakby do siebie samej kobieta i patrzyła ze współczuciem na Kegeną.

– Chciałem abyś wiedziała, że nie było mi łatwo.

– Tyle czasu w mroku...

– Robiłem tam rzeczy, których się wstydzę, ale wyznam ci wszystko, obiecuję.

– To okrutny świat...

– Nawet nie wyobrażasz sobie jak bardzo okrutny. I cieszę się, że nigdy tam nie zawitasz, droga Kati.

– Droga Kati... – powtórzyła za mężczyzną i spuściła głowę. Wpatrywała się posępnie w stygnącą potrawę, do której z powrotem włożyła łyżkę ze strawą. Przez kobietą twarz przeszedł bolesny grymas. Widać było, że kobieta zaczęła toczyć ze sobą wewnętrzną walkę.

– Już dobrze, Kati... – Uśmiechnął się Kegen. – To trudna przeszłość, ale my spoglądajmy w przyszłość, naszą przyszłość. Ułożymy sobie szczęśliwe życie na nowo i będzie jak dawniej. Jak wspominałaś muszę nabierać sił. Jestem gotowy coś zjeść,

czy mogłabyś...? – Popatrzył na pełen talerz.

– Zupa ostygła... – oznajmiła zrezygnowanym głosem kobieta.

– Nic nie szkodzi.

– Przygotuję drugą porcję...

– Daj spokój, Kati...

– Nie nazywaj mnie tak! – wrzasnęła niespodziewanie kobieta i z impetem cisnęła talerzem z zupą wprost na podłogę. Kegen przyglądał się żonie osłupiały. Zobaczył w jej oczach zły. Ona wstała i pośpiesznie wyszła z pokoju.

– Alistri cię nakarmi – rzuciła na odchodne.

*

Nie zatrzymując się, kobieta opuściła dom i wkroczyła na zatopione w słońcu ulice miasta. Minęła piekarnię i udała się wąską alejką na przechadzkę nad brzegiem rzeki. Potrzebowała ochłonać. Raptem kilka dni temu przeżyła prawdziwy koszmar, z którego wciąż nie mogła się otrząsnąć. Co więcej odnosiła silne wrażenie, że ten koszmar nadal trwał w najlepsze. Ścigał ją cały czas niczym potwór o wielu ohydnych głowach i nie dawał chwili wytchnienia.

Naraz kobieta odwróciła się nerwowo, ale nie zauważyła niczego podejrzanego, niczego niezwykłego. Natomiast jej życie, zaśmiała się w duchu sama z siebie, jej życie już nigdy nie będzie zwyczajne. Po tym co się wydarzyło i czego się dowiedziała, było to niemożliwe. A tak pragnęła normalnej, spokojnej egzystencji. Zaś teraz? Pokręciła z niezadowoleniem głową.

Przystanąła na mostku i spojrzała na swoje odbicie w wodzie. Zapytała samej siebie – kim była? Kati de Szon, przepiękną młodą szlachcianką z dwójką wspaniałych dzieci i bohaterским mężem u boku, który przetrwał w ciemnościach? Czy może szkaradną, bezpłodną Sari, złodziejką i dziwką, która ściągnęła zgubę na własną siostrę i nie tylko na nią. A obecnie chciała otruć rannego mężczyznę w obawie, że ten pozna jej straszny sekret, że tak naprawdę wcale nie jest jego żoną.

Spoglądając na płynącą wodę, kobieta niestety nie widziała ślicznego lica Kati de Szon. Woda była zmacona, a odbicie w niej zniekształcone. Tak, to był wizerunek przeklętej Sari, która w przyszłości powinna była zginąć w mroku, ale jakimś cudem jej duch przekroczył wymiar czasu i zagnieździł się w cudzym ciele. A więc była nią, była Sari! Była przeklętą Sari, która powinna była szczerzyć w mroku!

– Czy aby wszystko w porządku...? – Na mostku koło kobiety przystanął podpierający się laską wychudzony staruszek. Zdjął modny w księstwie Varnes melonik i gładząc swoją długą siwą brodę dystygowanie się uklonił. – Pytałem, czy wszystko w porządku? – powtórzył uprzejmie.

– Nic mi nie jest – burknęła kobieta i już zamierzała opuścić staruszkę, gdy ten zapytał:

– Nic pani nie jest? Pani, czyli komu? – Kobieta popatrzyła na niego skonsternowana, a on wpatrzył się w leniwy nurt wody. Następnie ciągnął dalej, mówiąc nie wiadomo czy do kobiety, samego siebie, czy może do samej rzeki: – Kiedy byłem młody, tu w Varnes, ja Filion chciałem zostać żołnierzem, dowódcą. O tak... Wtedy wydawała mi się to wspa-

niała perspektywa. Nic tylko męstwo i chwała. Kto by się nie skusił? Bo ja, wspomniany Filion, niewątpliwie tak. I opuściłem księstwo Varnes, aby zasmakować żołnierskiego życia jako najemnik w Kardanorze. Trwała tam kolejna wojna domowa, więc okazji, aby się wykazać miałem aż nadto. Jednak czar szybko prysł, kiedy musiałem grzebać towarzyszy broni. A bycie dowódcą stało się istnym koszmarem, gdy posyłałem ludzi do boju wiedząc, że idą na pewną śmierć. I tak wyrzekłem się bycia żołnierzem. Porzuciłem zarówno dawne marzenia jak i imię. Odtąd, nazywając się Abrecht, w krainie Dores wstąpiłem do męskiego zakonu Braci Światła. Jako Abrecht zapragnąłem odkupienia, spokoju i prawdy o świecie. Lecz zamiast tego napotkałem obłudę, fałsz i walkę o władzę. W ten sposób wyrzekłem się drugiego imienia i odszedłem z zakonu. A gdy wracałem w rodzinne strony zostałem porwany i uprowadzony w mrok, gdzie służyłem jako niewolnik. W mroku już nie wybierałem sobie imienia, tam mi je narzucono. Nazywano mnie Białym Psem, lub Bładym Ścierwem, gdy nie spełniałem oczekiwań moich mrocznych panów. Po latach uśmiechnęło się do mnie szczęście i uciekłem. Nie wiem, czy jako Biały Pies, Abrecht, czy może Filion, ale zdołałem wrócić tutaj, do Varnes, do domu moich rodziców. Jednak czy wróciłem tu jako bezimienny? Raczej nie... – Staruszek się zamyślił.

– Więc jakie nosisz teraz imię, Filion? – zapytała wyraźnie zaintrygowana kobieta.

– Imię jest bez znaczenia... – oświadczył, będący ciągle w zadumie staruszek. Tak, imię jest bez znaczenia, bo każda z osób przynależących do danego imienia, już dawno ode-

szła. Odszedł głupi Filion, który wierzył w wojnę, naiwny Abrecht, który łudził się, że odnajdzie prawdę w świętych słowach. Nie ma już także śladu po Białym Psie, który urwał się z łańcucha, ha, ha... – zaśmiał się staruszek, po czym zaczął się paskudnie krztusić. Kobieta pomogła mu dojść do siebie, a wtedy mówił dalej: – Dla jednych ludzi zawsze pozostanę Filionem, dla innych Abrechtem, czy Białym Psem, jakoś muszą mnie nazywać. – Wzruszył wątlymi ramionami. – Ale dla samego siebie jestem po prostu człowiekiem. Człowiekiem światła, który wiele w życiu przeszedł i nauczył się tego, że doświadczani przez los, cały czas stajemy się kimś innym. I właśnie to jest ważne, aby temu komuś, nowemu, można było spokojnie spoglądać w twarz, patrząc w lustro i uśmiechnąć się do niego. A jak go nazwiemy? To jest najmniej istotne.

Staruszek skończył mówić. Zaś nagle rozpromieniona kobieta złożyła mu na pomarszczonych ustach soczystego całusa.

– Ojej... – Zaskoczony wytrzeszczył oczy. – Teraz nazywam się mitycznym bogiem szczęścia i rozkoszy, niewątpliwie... Zaraz, jak on się nazywał...? Coś nie mogę sobie przypomnieć... – mamrotał pod nosem. – A gdzie ja właściwie zaszedłem i co to za pomost...? I kim ja właściwie jestem...? Śliczna panienka pozwoli...? – Ale kobieta już go nie słuchała tylko pognała w drogę powrotną do domu.

★

Kegen leżał głodny i zrezygnowany. Wspomniana Alistri, ta nietypowa, wysoka służąca, ciągle się nie pojawiała. On natomiast wyczekiwanie posiłku umiał sobie rozmyślaniami. Marzył o tym, że w końcu zmiękczy serce Kati. Usprawiedliwiał jej zachowanie jak mógł: tak zostawił ją samą na tak długi czas i to brzemienną, potem z małymi dziećmi i w obliczu szalejącej w Arii zarazy. No i Dren, który ją zaatakował. Istne szaleństwo.

Kegen zadumał się, jak to się mogło w ogóle stać, że jego najlepszy przyjaciel chciał zrobić coś tak potwornego. Zawsze traktował Drena niemal jak rodzonego brata. Wydawało mu się, że byli sobie tacy bliscy i tak do siebie podobni. Będzie musiał w końcu rozmówić się z żoną i wyjaśnić to dramatyczne zajście związane ze śmiercią Drena.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi.

– Nareszcie... – mruknął leniwie Kegen, któremu zaczęło już burczeć w brzuchu. – Wejdź, Alistri!

O dziwo do pokoju weszła nie wspomniana kobieta, a Kati. Co jeszcze dziwniejsze wkroczyła z kuszącym uśmiechem na twarzy. Aby tego było mało, niosła tacę zastawioną różnymi smakołykami: ciastami, bakaliami i świeżymi owocami.

– To naprawdę... dla mnie...? – Kegen, który stale karmiony był zupą, nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. – Czy sobie zawdzięczam takie względy? – Patrzył łakomie to na jedzenie to na żonę.

Kobieta pocałowała męża w policzek i słodko oznajmiła:

– To prezent ode mnie...

– Od ciebie...

– Tak, od... Kati de Szon...

Mała Nakis siedział na podłodze w swoim pokoju i ukradzionym nożem wydłubywała dziurę w ścianie. W pewnym momencie ze złością się odezwała:

– Mam nadzieję, że ta morderczyni, Sari, otruła twojego przyszywanego tatusia, bo jak nie...

– To co?! – zapytał wyzywająco Huve.

– To sama każę mrocznej varekai go zabić.

– Nie odważysz się skrzywdzić Kegena!

– A kto mi przeszkodzi, ty? Ha! – parsknęła kpiąco dziewczynka.

– Przysięgam... – oznajmił z determinacją Huve. – Przysięgam na światło, że jeżeli skrzywdzisz Kegena, to... to...

– To co, słucham?

– To wydłubię sobie oczy i już nigdy nie doświadczysz mroku!

– Nie odważyłbyś się... – Mała Nakis spuściła z tonu.

– Naprawdę chcesz się przekonać?!

– Może i tak, a może i nie... – zamyśliła się dziewczynka, po czym posapując, z zawziętością dźgała ścianę nożem. – Niech więc ta przekłeta Sari... której tajemnice odkrył przede mną mrok... pozbawi Kegena życia... Pragnę śmierci i zniszczenia... Pragnę śmierci i zniszczenia... – złorzeczyła.

II. DRUGA Z DZIEWIĘCIU

Wiał wyjątkowo zimny, przenikliwy wiatr od strony najwyższych gór wznoszących się w piątym i szóstym pierścieniu światła. Pogoda była surowa podobnie jak oblicza grzejących się przy ogniskach ludzi. W dwóch oddzielnych skupiskach zasiadali stronnicy rodu Witarion oraz najemnicy z wolnych klanów.

Pomiędzy tymi obozami trwała samotnie Waltari. Nie ogrzewała swego ciała ogniem. Nie nasunęła sobie na plecy dodatkowej warstwy koców, czy zwierzęcych skór. Przez jej skostniałe ciało przebiegał lodowaty chłód. Podobnie zimny stał się jej umysł. Zgwałcona kobieta właśnie pochowała ojca i brata.

W pewnym momencie podeszła do niej jedna z dziewięciu zakonniczek. Skłoniła się nisko i czekała.

– Mów – rozkazała jej Waltari, wpatrująca się nisko w po części zaśnieżoną i brudną ziemię.

– Chodzi o jedną z naszych sióstr.

– O którą?

– O Drugą z Dziewięciu.

– Co z nią?

– Najemnicy.

– Mów otwarcie.

– Drugą z Dziewięciu otoczyli mężczyźni z wolnych klanów. Wzięli ją wszyscy, po kolei, każdy z nich.

- To wszystko?
 - Tak.
 - Więc odejdz.
 - Tak, pani. – Zakonniczka skłoniła się i zaczęła oddalać.
 - Czekaj – rzuciła za nią Waltari.
 - Tak, pani? – Zatrzymała się.
 - Gdzie ona jest?
 - Druga z Dziewięciu?
 - Tak.
 - W namiocie. Pozostałe siostry jej doglądają.
 - Broniła się?
 - Tak.
 - Pobili ją?
 - Zrobili coś znacznie więcej.
 - Nie chcę o tym słyszeć.
 - Wybili jej zęby, żeby nie mogła gryźć. Wycieli język, aby nie mogła krzyczeć. Wyrwali paznokcie, by nie mogła drapać...
 - Dość.
 - Połamali jej nogi, żeby nie mogła wierzgać. Pogruchotali ręce, aby nie biła pięściami. Złamali jej serce, by cierpiała na zawsze...
 - Powiedziałam dość! – krzyknęła rozpaczliwie Waltari i słabowitym głosem dodała: – Stałyśmy się słabe, takie słabe, takie żalosne...
 - Co mamy czynić, pani?
 - A cóż możemy uczynić... Odejdz...
- Waltari została sama i jej umysł niczym magnes ponownie przyciągnął gorzkie myśli o śmierci, stracie, zdradzie i po-

hańbieniu. I wciąż nic nie podpowiadało jej co zrobić dalej. Czuli się taka bezradna.

*

Waltari stanęła na skraju obozowiska najemników. Opuściła nisko głowę i czekała. Niebawem podszedł do niej Aghold. Zmierzył ją wzrokiem i bez słowa wyciągnął ku niej butelkę z alkoholem. Ona przejęła naczynie i wzięła mały łyk. Zakrztusiła się ostrym w smaku płynem i oddała butelkę.

– Dziękuję... – powiedziała służalczo.

– Nie ma za co – odparł dumnie Aghold. – Może się przysiądziesz? – zaproponował miejsce przy ognisku.

– Przyszłam tylko na chwilę... – Cały czas nie podnosiła głowy.

– Ta... Zatem co cię sprowadza?

– Skrzywdziliście jedną z moich strażniczek...

– Chłopaków trochę poniosło. – Mężczyzna machnął nie-dbale ręką.

– Trochę...?

– Ta... W każdym razie dziewczina zaznała też co nieco przyjemności, ha! – Aghold ostentacyjnie podrapał się po kroczu.

– Przyjemności...?

– Jasne... Ale obiecuję, że jeżeli następna będzie uleglejsza, obejdziemy się z nią łagodniej. Masz moje słowo.

– Następna...? – Waltari z wolna podniosła głowę i popatrzyła na górującą sylwetkę swojego rozmówcy. Ten, zniecierpliwiony warknął:

- Skończyliśmy pogawędkę?
- Jeszcze nie... Mam do ciebie prośbę...
- Dla ciebie wszystko. – Uśmiechnął się lubieżnie Aghold.
- Mój ojciec i brat nie żyją.
- Ta... Słyszałem.
- Jestem samotna i słaba... Potrzebuje kogoś, kogoś silnego, kto mnie ochroni...
- Hm...
- Będę twoja, kiedy tylko będziesz mnie chciał... Ale nie pozwól innym mnie skrzywdzić. – Na tę propozycję Aghold uśmiechnął się kąśliwie i wczepił potężną dłoń w pierś Waltari. – Zrobię co zechcesz, nawet w tej chwili... – dodała błagalnym głosem kobieta.
- Myślę, że się dogadamy... – Aghold z zadowoleniem wodził dłonią po ciele Waltari. – Zanim nadejdzie czas spoczynku mam jeszcze z chłopakami do zaliczenia parę kolejek – potrząsnął butelką. – Potem odwiedzę cię w twoim namiocie. Masz na mnie czekać i być gotowa...
- Oczywiście...

*

Odśloniły się poły namiotu i do wnętrza oddzielonego od reszty świata szarym materiałem wczółgał się podpity Aghold. Zastał przed sobą leżącą postać nakrytą białą, niedźwiedzią skórą. Szarpnął okrycie i ukazało mu się nagie ciało Waltari.

– Ta... – mruknął z zadowoleniem i powiodł dłonią po kobiecym udzie aż zatrzymał się w okolicy krocza. – Rozsuń

nogi i pokaż mi co tam skrywasz... – rozkazał. Kobieta spełniła polecenie. – Szerzej...

– Bardziej już nie mogę – odparła pokornie.

– Teraz dobrze... – Aghold wpatrywał się dłuższą chwilę w krocze kobiety, zupełni jakby był głodny aż podciągnął się na rękach do przodu i opadł ciężko na ciało Waltari. – Jesteś gotowa...? – wydyszał jej do ucha.

– Tak.

– Dobrze... Ale podejrzewam, że nie na wszystko, co ci przygotowałem. Powiedz, że tego chcesz...

– Zrób ze mną co zechcesz, jestem twoja...

Z drwiącym uśmiechem Aghold uderzył kobietę w twarz.

– To także sprawia mi przyjemność – powiedział i z całych sił wszedł w Waltari. Syknęła z bólu, zaciskając zęby. Położyła drobne dłonie na potężnym torsie mężczyzny i cały czas wpatrywała się w jego oblicze. Ten naprężył wszystkie swoje mięśnie i ciężko dyszał. Z usta skapywała mu ślina wprost na nagie, kobiece piersi.

– Jeszcze trochę... – jęczał.

– Dobrze ci? – zapytała Waltari.

– A żebyś wiedziała, suko, się spisujesz... – Uderzał biodrami coraz mocniej.

– Zaraz dam ci prawdziwą rozkosz.

– Ta... W to nie wątpię, jedną z wielu...

– Ta będzie wyjątkowa – rzuciła hardo.

– Zaraz się przekonamy... To już, och... Och... – wycharczał i jego ciało gwałtownie stężało.

– Teraz! – krzyknęła dziko Waltari.

Nagle przez materiał namiotu przedarło się osiem ostrzy

i każde z nich zagłębiło się ciele Agholda. Następnie ostrza raz za razem dosięgały męczyznę, zostawiając w jego potężnym ciele dziesiątki ran. Waltari zaś spoglądała triumfująco w jego przerażone, a zarazem gasnące oczy.

– Ostateczna rozkosz zmieszana z bólem i śmiercią. Mówiłam, że będzie wyjątkowa – powiedziała z pogardą i stoczył z siebie trupa, po czym z obrzydzeniem wytarła sobie krocze koszulą Agholda.

Uzbroiwszy się w nóż naga i zakrwawiona wyszła z namiotu. Skinęła porozumiewawczo na czekających na nią ludzi rodu Witarion oraz osiem strażniczek i ruszyła z nimi do namiotów najemników.

Zgodnie z oczekiwaniami pijani ludzie z wolnych klanów spali jak zabici. I niebawem rzeczywiście stawali się martwi. Do ich schronień wchodziły grupki osób i podrzynały im gardła, by następnie odcinać głowy.

Jakiś czas potem Waltari stanęła koło specjalnie przygotowanego wielkiego ogniska. Otaczał je krąg wbitych w ziemię włóczni. Na ich grotach tkwiły nadziane głowy najemników.

Wciąż naga i zakrwawiona kobieta ujęła w dłoń płonącą pochodnię. Powiodła wzrokiem po zaśnieżonych, górskich szczytach i przemówiła dumie do otaczających ją postaci:

– Staję przed wami, aby złożyć uroczystą przysięgę! Klnę się, że rzucę na kolana cały świat! Wszyscy bogowie i ludzie padną do moich stóp, a ja nie okażę litości! Tak jak oni jej nie okazali! – Wskazała pochodnię na jedyną osobę, która nie stała, a zasiadała na śniegu. Byłą nią okaleczona zakonniczka, Druga z Dziewięciu. – Dlatego przeklinam Boginię Ziemi! – kontynuowała Waltari. – Przeklinam tą, która

nie okazała litości, nie udzieliła wsparcia! Przeklinam Boginie Światła i Mroku, które nie udzieliły litości i wsparcia! Wreszcie przeklinam ludzi! Wszystkich ludzi, którzy stoją na straży starego porządku i nie okazują litości oraz wsparcia takim jak ona! Jak Druga z Dziewięciu! Przeklinam żeński Zakon Światła! I męski Zakon Braci Światła na drugiej półkuli! Przeklinam książęta, królów i cesarzy! Władców całego świata! Wreszcie przeklinam wolne klany! Przeklinam Tróję! I przeklinam trzy wielkie rody Kardanoru! Powiadam bądźcie wszyscy przekłeci i obróćcie się w proch! I ja będę tą, która tego dokona! Poprzysięgam, że tak się stanie, jeżeli tylko zostanę pobłogosławiona przez nową, jedyną boginię nadchodzącego świata! Tą, która najlepiej rozumie czym jest brak troski i wsparcia, czym jest ludzka i boska chciwość, żądza i nienasycenie, zsyłające na świat wieczne cierpienie!

Waltari podeszła do Drugiej z Dziewięciu. Uklękła przed nią i pochyliła nisko głowę. Siedzącej na śniegu kobiecie zsunął się z pleców płaszcz i ukazała swoje bolejące oblicze. Wszystkie stawy jej rąk i nóg były zabandażowane, także usta. Z trudem poruszyła ręką. Jedna z zakonniczek pomogła okaleczonej kobiecie położyć swoją dłoń na głowie Waltari.

Klęcząca kobieta zastygła dłuży czas w bezruchu. A kiedy wstała, uniosła pochodnię i wykrzyczała:

– A więc niech się stanie! Jako ogień pomsty i odrodzenia, nadchodzi!

Po tych słowach dwie kapłanki podeszły do Waltari i dokładnie obmyły jej ciało, po czym ubrały ją w purpurową suknię z obszernym kapturem.

III. KLUCZEM JEST KREW

Ern przebywał w twierdzy Dagothar. To mroczne miejsce bynajmniej nie napełniało go trwogą. Także spokojnie tolerował towarzystwo przebywających tu ludzi i istot. W tej mrocznej matni, gdzie nikt przed nim niczego nie skrywał, po uprzednich doświadczeniach czuł się wręcz swobodniej niż na salonach w cesarskiej stolicy.

Tymczasem od przemiany Magi w mroczną varekai minęło sporo czasu i Ern zaczął powoli godzić się z ostateczną utratą siostry. Jednocześnie co raz wybiegał myślami do Marint. Osoby, która być może cały czas żyła, a z którą także łączyły go więzy krwi i znajomość. Zastanawiał się, czy jeżeli dane mu będzie jeszcze ją spotkać, to czy będzie mógł widzieć w niej kogoś innego niż Magi?

Nie wiedział tego. Zaś za sprawą innej wiedzy, tajemnej, w cudowny sposób odzyskał całkowite zdrowie. Ponoć dokonało się to za sprawą magii krwi świetlistego dziecka, przebywającego przez pewien czas w twierdzy Dagothar. Wystarczyło raptem kilka kropel niezwyklej, dziecięcej cieczy, a w przeciągu krótkiego czasu Ern praktycznie zapomniał o trapiących go przez całe życie kłopotach zdrowotnych.

Wraz z uzdrowieniem ciała powziął niezłomną decyzję, że zrealizuje dążenia Magi i odzyska władzę w Cesarstwie. Powoli szedł do drogi ku pierścieniom światła. Lecz zanim wyruszy zdecydował się w końcu rozmówić ze swoją matką.

Poprawił na plecach grube futro z nieznanego mu zwierzęcia. Po drodze minął budzący podziw zbrojny oddział warathów oraz będącą w uśpieniu grupę zwiastunów mroku i dotarł w pobliże samotnie płonącego ogniska, gdzie zasiadała tylko jedna osoba – Furstia.

– Witaj ponownie, matko – powiedział swobodnie, gdy zajął miejsce na pniaku drewna naprzeciw staruszki. Ona nic nie odpowiedziała tylko nieustannie wpatrywała się w ogniste języki. – To pomaga? Patrzenie w ogień? – zagadnął.

– Tak – odparła surowo.

– Lepiej się dzięki temu czujesz?

– To pozwala nie oślepnąć.

– Wzrok... – zadumał się Ern. – Przyda ci się jeszcze w świetle?

– Nigdy tam nie wrócę.

– Dlaczego? – zapytał i zasypał matkę kolejnymi pytaniami, w których wyraźnie pobrzmiewała nuta żalu: – I dlaczego opuściłaś mnie i moje siostry? Dlaczego upozorowałaś własną śmierć? Dlaczego zmieniałaś Magi w to coś, co zniknęło w niebiańskiej jaskini pod piramidą?

– Na wszystkie pytania jest jedna odpowiedź. Znasz ją.

– Poświęciłaś się dla wyższego dobra...

– Tak.

– To on kazał ci tu zostać, prawda? Ten mroczny lord, Dagoth. – Ern spojrzął na pobliską piramidę.

– Wszystko ma swoją cenę. Ja swoją zapłaciłam i nie żałuję.

– Więc nie zaprzeczasz, że to z powodu lorda tu jesteś?

– Nie zaprzeczam. Swego czasu posiadałam wiedzę

i wpływy, których potrzebował. A teraz, po tym, co się wydarzyło, nie mam już gdzie i po co wracać.

Ern głęboko westchnął, rozkoszując się przy tym uczuciem, że nie zaniósł się przy okazji paskudnym kaszlem.

– Wiesz, że nie mogę wybaczyć ci tego, co zrobiłaś Magi – oznajmił cierpko. – Ale dziękuje za uzdrowienie. Doceniam to.

– Poznałeś na sobie moc krwi świetlistego dziecka. A to dopiero przedsmak tego, co można za jej sprawą osiągnąć.

– Czy krew mrocznego dziecka także posiada tak niezwykle właściwości? – zaciekał się Ern.

– Tak. Lecz dopiero zmieszane ze sobą, krew dziecka i mroku, ukazują swoją prawdziwą moc.

– Jaką?

– Tworzą niezwykłą esencję zwaną świetlany mrok. Legendy głoszą, że dzięki tej świetlano-mrocznej esencji można sięgnąć po każdą rzecz, nie istnieją żadne ograniczenia.

– Czy ktoś kiedyś użył tej substancji?

– Tak.

– Kiedy?

– W drugiej erze, gdy istniało Zjednoczone Królestwo Światła i Mroku, którym rządziły mroczne oraz świetliste dzieci. Wtedy użyto ich krwi do zażegnania wielkiego niebezpieczeństwa. Został uratowany znany nam świat. Lecz od tamtej pory dzieci światła i mroku już nigdy nie pojawiły się razem na świecie.

– Aż do teraz.

– To prawda.

– I domyślam się, że wspomniana esencja może zostać

użyta także do wyzwolenia niszczycielskiej mocy... – uważał Ern i spojrzał z dezaprobatą na matkę.

– Tak – odpowiedziała.

– W takim razie podjęliście wielkie ryzyko, powołując do życia mroczne dziecię i to kosztem Magi.

– W ten sposób ocaliliśmy mrok.

– I możecie ściągnąć zgubę na światłość.

– Ten wniosek jest słuszny. Czas pokaże czy postąpiliśmy właściwie.

– Czas... Chyba, że znowu zostanie cofnięty...?

– Nie ma już takiej możliwości. Ten potencjał został wyczerpany.

– To dobrze, bo nie zamierzam być znowu chory – zażartował Ern i przyjrzał się matce. Jej naznaczone głębokimi zmarszczkami oblicze tradycyjnie pozostało niewzruszone. – A zdradzisz mi... – zagadnął ponownie – jaka to mroczna siła zażądała powołania do życia mrocznego dziecka w zamian za udział w cofnięciu czasu?

– Czarni strażnicy dziewiątego pierścienia mroku.

– Nic mi to nie mówi...

– I dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby się o nich nie dowiedzieli.

– Brzmi to złowrogo. Czy mogłabyś mi to wyjaśnić?

– Ta wiedza wzbudzi w twoim sercu niepokój. A na to, co się ma wydarzyć i tak nic nie poradzisz.

– Dziękuję za wiarę w moje siły, matko... – uśmiechnął się drwiąco Ern. – Mimo wszystko, proszę, abyś objawiła mi tę wiedzę.

Furstia popatrzyła bez emocji na syna, po czym znowu

spojrzała w płomienie. Zmrużyła oczy, zupełnie jakby między krwawymi językami ognia dostrzegała niewyraźne obrazy i zaczęła niespiesznie tłumaczyć:

– Światło i mrok potrafią współistnieć, koegzystować. Lecz istnieją skrajne siły, które nie akceptują odmienności i ponad wszystko chcą zniszczyć swoje przeciwieństwo. W świecie mroku siłę taką stanowią czarni strażnicy, którzy nienawidzą światła i to za ich sprawą dokonaliśmy cofnięcia czasu. Oni zaś marzą o tym, aby powołane do życia dziecko mroku dotarło do dziewiątego, świetlistego pierścienia i zgasiło słońce na niebie. Wiedzieliśmy o tym i podjęliśmy ryzyko. Jednakże tym razem, aby osiągnąć swoje niszczycielskie cele, czarni strażnicy uczynili coś więcej, coś niewyobrażalnie strasznego, czego początkowo nie dostrzegliśmy.

– Proszę, kontynuuj, matko...

– Czarni strażnicy odnaleźli istotę będącą człowiekiem światła, a jednocześnie absolutnie zafascynowaną mrokiem.

– Kim ona jest?

– Jej imię to Kati, Kati de Szon.

– Kati de Szon...

– Tak. Za namową czarnych strażników wyrzekła się ona zarówno swej fizycznej postaci, jak i ostatniego promienia światła w swojej duszy. Odprawiono mroczny rytuał. Ciało Kati de Szon otrzymało ducha nic nieznaczącej kobiety i wraz z dzieckiem mroku w swym łonie zostało wysłane w przeszłość. Natomiast bezcielesna istota, która wyrzekła się światła stała się ucieleśnieniem mroku, wszystkich jego najciemniejszych tendencji i pragnień. Istota ta stała się wszechniszczycielskim duchem, który istnieje rozproszony po dzie-

więciu mrocznych pierścieniach i nieustannie się pożywia. Rośnie w siłę wchłaniając śmierć i nienawiść. Każdy podły czyn na świecie go wzmacnia, a każdy dobry osłabia.

– Zgaduję więc, że rośnie w siłę i to bardzo szybko...

– To gorzka prawda. Świat jest po brzegi wypełniony złem we wszystkich postaciach i to zarówno w świetlistych jak i mrocznych pierścieniach. Wszech niszczycielski duch staje się coraz potężniejszy. Oddziałuje na istoty będące w jego zasięgu i nasycza je swą nienawiścią. Mroczni lordowie znowu pragną wieloletniego zaćmienia. Przyzywają je, aby najechać krainy ludzi światła. Z kolei ludzie światła sami sobie rzucają się do gardeł. Jednak nikt nie przewiduje najgorszego, co może się ziszczyć. Jeżeli wspomniany wszech niszczycielski duch posiada dostateczną siłę, wówczas wyzwoli się z mrocznych pierścieni. Wyruszy w niezmierzoną przestrzeń, aby połykać i gasić gwiazdy. We wszechświecie zapanuje absolutna ciemność. I właśnie o tym stanie wspominał lord Dagoth, że będzie przekleństwem także dla wszystkich mrocznych istot. Bo gdy nie będzie już światła nauczone jedynie zabijania i nienawiści istoty mroku same zaczną się mordować. I będą to czynić tak długo aż zostanie tylko jedna z nich. A wtedy istota ta umrze dławiąc się własną nienawiścią. Jej los podzieli wszech niszczycielski duch. I nie zostanie już nic. Nie będzie ani światła ani mroku. Nie będzie niczego ani nikogo kto mógłby stwierdzić, że kiedykolwiek coś istniało. Czas i przestrzeń zostaną unicestwione. Nastanie absolutna pustaka wszystkiego.

Kiedy Furstia skończyła mówić Ern zabrał dłonie z twarzy. Wcześniej zasłaniał się nimi, chcąc jakby odgrodzić się od przerażających przepowiedni. Wreszcie zebrał się w sobie

i jęklwie zapytał:

– Skoro wyzwolony, wszech niszczycielski duch zmierza do ostatecznej zagłady wszystkiego, to dlaczego czarni strażnicy zdecydowali się go powołać?

– Do tego stopnia zaślepią ich nienawiść wobec światła, że pragną jedynie zniszczenia. Temu podporządkowują wszystko, nawet własne istnienie.

Ern zadumał się i oznajmił:

– Załóżmy, że to wszystko prawda, a nie wynaturzona wersja legend mroku wymyślona przez jakiegoś szaleńca... W takich okolicznościach, czy istnieje sposób, aby zaradzić wspomnianemu duchowi, pokonać go...?

– Kluczem jest krew. Nadzieję dla świata stanowią esencją świetlanego mroku oraz lord Dagoth.

– Dlaczego lord Dagoth?

– Ponieważ krew dzieci światła i mroku trzeba wzbogacić, aby oprzeć się tak trudnemu przeciwnikowi jak wszech niszczycielski duch. Tylko lord wie jak tego dokonać.

– Tylko on, czy ty również...? – przyjrzał się podejrzliwie matce Ern.

– Potrzebna jest dodatkowo krew dziewięciu kobiet, które wraz z cofnięciem czasu naznaczył los – odparła lodowato Furstia.

– Ciekawe... Wiecie co to za kobiety?

– Niestety nie. I tylko jedna z nich, zwana Pierwszą z Dziewięciu, może być w stanie określić tożsamość całej dziewiątki. I to jej obecnie poszukujemy. Bez niej wszystko będzie stracone.

Ern bezradnie pokręcił głową i oświadczył:

– Podsumowując, aby przeciwstawić się w przyszłości absolutnej, niszczycielskiej sile potrzebujecie krwi dzieci światła i mroku oraz wybranych dziewięciu kobiet?

– Tak.

– Tymczasem nie macie pojęcia kim te kobiety są, dziecko mroku przepadło bez wieści i posiadacie jedynie fiolki z krwią świetlistego dziecka.

– To nie do końca tak.

– Zatem?

– Posiadamy również krew dziecka mroku.

– Czyżby?

– Od początku wiedzieliśmy, kto wyda je na świat. Niejaki Dren gromadził pożądaną przez nas krew za każdym razem, kiedy posiadająca ją istota zraniła się podczas dziecięcych zabaw.

– Bardzo dyskretnie i sprytnie zarazem...

– Nie mogliśmy działać inaczej. Złożyliśmy obietnicę czarnym strażnikom, iż nie porwiemy tego dziecka.

– Rozumiem. A więc posiadacie już niezbędne komponenty do stworzenia wspomnianej esencji świetlanego mroku.

– Próbkę już stworzyliśmy i po twoim uzdrowieniu otrzymaliśmy jej część.

– Dlaczego?

– Dzięki temu, jeżeli kiedyś będziesz miał dzieci, one nie odziedziczą twojej choroby, synu. – Na twarzy Fursti pojawił się nieśmiały grymas, który można by wziąć za delikatny uśmiech.

– Tym bardziej to doceniam. – Ern kurtuazyjnie się

ukłonił i cierpko dodał: – Mimo wszystko potrzebujecie jeszcze aż dziewięciu próbek różnorodnej krwi i nie wiecie nawet czyjej.

– Tak.

– W takim razie, oceniając szansę waszego przedsięwzięcia, wolę wierzyć, że usłyszałem uprzednio wierutne bzdury o rychłym końcu świata. Wybacz, matko.

Ern i Furstia zamilkli. Jeszcze długi czas wpatrywali się wspólnie w płomienie ogniska, aż Ern wstał i bez pożegnania udał się na poszukiwanie swoich kompanów.

Zastał ich grzejących się przy ponownie rozpalonym piecu hutniczym i dyskretnie się do nich zwrócił:

– Wynosimy się stąd, natychmiast.

– Doskonale. Jesteśmy gotowi opuścić twierdzę – oznajmił Markap. – Prowiant na drogę jest przygotowany. Artyjscy przewodnicy oczekują już tylko na komendę Waszej Wysokości.

– Pssst... Macie krew...? – szepnął Ern.

Markap rozejrzał się dookoła i ściszym głosem odpowiedział:

– Z lokaja Waszej Wysokości jest przedni złodziej. Zgodnie z zaleceniami ukradł z piramidy dziewięć fiolek z krwią, w tym trzy z ciemną i sześć z jasną, resztę zostawił.

– I tak się zorientują... – Ern załamał ręce i dodał: – Nie traćmy czasu. Im szybciej wyruszymy, tym większa szansa, że szczęśliwie dotrzemy do światła.

– A więc w drogę, Wasza Wysokość.

IV. SOJUSZ

Niewyjaśnionym trafem nad Świątynię Światła nadciągnęła fala zimnego powietrza, która dotarła tutaj daleko z mroźnych szczytów Kardanoru. Świątynne kryształy pokrył szron i drobinki śniegu, malujące na ścianach misterne wzory.

W sali narad zasiadało sześć najwyższych kapłanek. Od dłuższego czasu brakowało wśród nich Magi oraz Waltari, a od niedawna także Gishy. Wszystkie obecne kobiety, poza Eleą, nie przywdziały kapturów, za to każda nakryła swoją złotą szatę grubym futrem.

W lodowatej atmosferze i przedłużającej się ciszy co pewien czas pobrzmiwał tylko kaszel którejś z zakonnych sióstr. Aż wreszcie ta, którą już powszechnie zwano najwyższą z dziewięciu, przemówiła:

– Blisko połowa zakonnych wojsk została wysłana do Cesarstwa. Wesprzemy samozwańczego proroka. Natomiast dawną, cesarską dynastię na zawsze wymażemy z kart historii. – Od pewnego czasu głos Elei stał się nieprzyjemnie chropowaty i niski. – W Królestwie Kardanor górę bierze stronnictwo Ordów. Wszystko wskazuje na to, że tamtejsza wojna domowa dobiega kresu. Z kolei w Królestwie Borgin nadal szaleje czerwona zaraza, która objęła także znaczne połacie księstwa Aria. Z tego powodu planowana krucjata w mrok zostaje przesunięta w czasie, a jej wymarsz nastąpi ze stolicy

księstwa Varnes, które obroniło się przed plagą. Zaś co do dzieci światła oraz mroku to żyją i dojrzewają. Zatem pozostaje nam, siostry, coraz mniej czasu, aby wspomóc świetliste dziecko, a zgładzić mroczne. Z tego względu nie zawahamy się przed podejmowaniem trudnych decyzji. W razie potrzeby będziemy zdeterminowane i bezwzględne, a kluczowe kwestie będę rozstrzygała osobiście. I nie zapytam was, siostry, czy zgadzacie się ze mną. Otóż zgadzacie się. A teraz wszystkie zejdźcie mi z oczu, wyjdźcie.

Pięć najwyższych kapłanek skłoniło się nisko i bez słowa opuściły kryształową komnatę. Natomiast Elea zrzuciła z pleców okrywające je futro. Podeszła do kryształowej ściany i oparła na niej dłonie. Poczuła kojący chłód, który studził jej gorączkujące ciało.

Następnie wyjęła z kieszeni fioletową z krwią dziecka światła. Popatrzyła na jedną z ostatnich kropli niezwyklej cieczy jaką dysponował Zakon. Ta krew miała ponad tysiąc lat i choć zachowała wszystkie niezwykle właściwości, to na przypadek samej Elei nie mogła nic poradzić.

Najwyższa z dziewięciu już dawno zrozumiała, że jedynie obrona przez nią droga, czyli zawładnięcie dziewięcioma pierścieniami światła i mroku, mogło okazać się dla niej skutecznym remedium. Realizując ten cel właśnie podjęła ostateczną decyzję, jak spożytkuje niezwykle ciec w fioletce. Raz jeszcze spojrzała na zamknięte w szklanym pojemniku krople jasnoczerwonej krwi i na powrót schowała do kieszeni.

W kolejnym cyklu snu w asyście zaufanych zakonniczek jechała na potajemne spotkanie. Od pradawnego mostu zbudowanego za czasów Imperium Agaszika drogę kontynu-

owała pieszo.

W pewnym momencie jedna z kapłanek wskazała jej, aby zatrzymała się na niewielkiej kamienistej plaży nad brzegiem rzeki. Elea tak też uczyniła.

Rozejrzała się po okolicy, ale nie dostrzegła umówionego na spotkanie gościa. Zobaczyła za to oszronioną tropikalną roślinność, splątane ze sobą drzewa, oplatające je liany oraz rozłożyste, przyprószone białym śniegiem zielone liście. Kamienie na plaży były wielobarwne i dokładnie oszlifowane przez wodę. Sama woda w rzece była spieniona i porywał ją silny prąd.

Naraz na przeciwnym brzegu Elea zauważyła gęstniejącą, szarą mgłę. Jakby kumulowała się ona w miejscu, po czym przemknęła na drugą stronę rzeki i zatrzymała się na kamienistej plaży.

Wszystkie zakonniczki poza Eleą cofnęły się. Ona sama, ściskając w ręku fioletową z krwią, postąpiła do wnętrza przybyłego tworu. Wiedziała z czym miała do czynienia i zaiste okazało się to prawdą.

Gdy tylko otuliła ją szara mgła wydało jej się, jakby wkroczyła do innego świata. Zarówno nieśmiały dotąd śpiew ptaków jak i szmer wody ucichły i żaden dźwięk nie pojawił się w to miejsce. Zamiast na kamieniach Elea stała teraz na bielejących kościach, które zaścielały cały horyzont. Z kolei tuż przed nią z zawrotną prędkością wirował tajemniczy byt, w którym można było dostrzec niezliczoną ilość splątanych ze sobą półprzezroczystych postaci.

Wtem Elea usłyszała w swojej głowie bezbarwne, monotonnie wypowiedziane słowa:

– Krew... krew...

– Oto i ona – odparła w myślach i otworzyła dłoń z fiolką.

Przedziwny byt przed kobietą zmienił się i przybrał czysto fizyczną postać. Istota ta była blisko dwukrotnie wyższa od przeciętnego człowieka. Posiadała skórę pokrytą bladozieloną łuską. Jej stopy i dłonie wieńczyły pazury, przywodzące na myśl sztylety. Głowa była jaszczurcza. Z paszczy pełnej zębów wysuwał się rozdwojony język, a żółte, gadzie oczy łypały złowrogo. Policzki i brodę znaczyły kolczaste wyrostki, zaś z czoła sterczały rogi.

Naraz istota pochwyciła zaprezentowaną jej fiolkę i powróciła do uprzedniego wyglądu wirujących, fantomowych ciał.

– Potrzebujemy więcej... – Elea usłyszał w myślach niemal martwy głos. I również w myślach udzieliła odpowiedzi:

– Najpierw pokażecie, że jesteście warcie tej krwi. Zrobicie, co każę.

– Nie rozkazuj... Klęknij... Ukorz się... Proś i błagaj... Sss...

– Nie! – rzuciła hardo. Do jej umysłu zaczęło wlewać się syczenie tak nieznośne, że niemal odbierało świadomość. Jednak kobieta nie uległa, aż w jej umyśle znowu pojawił się głos:

– Co mamy zrobić, sss...?

– Macie oczekiwać mojego rozkazu.

– Czujemy w tobie... Czujemy coś znajomego...

– Nic wam do tego, nic!

– Pokaż nam swoją twarz, sss...

– Nie!

V. WSZYSCY ZDRAJCY TEGO ŚWIATA

Danen wykonał błyskawiczny unik i strzała świsnęła mu tuż koło ucha. W mgnieniu oka podskoczył do strzelca i zanim ten znów sięgnął do kołczanu jego trzewia przeszły grot włócznie. Danen wyciągnął go z krwawiących wnętrzności i drugą stroną swej broni ściał głowę nadbiegającemu wrogowi. Następnie zatopił w szyi ostre jak brzytwa zęby zwiastuna mroku, po czym wyszarpnął kawałek ciała i wypłuł. Nie tracąc impetu pobiegł za przerażonymi kobietami klanu wilków i przesywał ich plecy włócznią, to mieczem, to zadawał głębokie rany szponami. Kiedy ostatnia z kobiet padła martwa porwał się między namioty i dalej zabijał jak oszalały, nie bacząc czy jego ofiarami byli ludzie w sile wieku, starzy, czy młodzi.

Po dokonanej masakrze wbił w ziemię świetlany mrok i z satysfakcją przyglądał się dziełu zniszczenia. Wodził wzrokiem po ciałach ofiar: po wywleczonych z bebeczków wnętrznościach, rozbitych czaszkach z wylewającym się mózgowiem i głębokich ranach zadanych w każdej możliwej części ciała. I czuł dumę z tego powodu, że każdy z klanu wilków, którego napotkał na drodze, zginął.

Jeszcze nie przeszedł mu bitewny szal, gdy podeszła do niego Marint. Kobieta była już zdrowa i teraz miała mu służyć, aby spłacić dług.

– Czy to był ten obóz? – zapytała zalekniona. – Ten, z którego pochodziła twoja żona...?

– Nie – wychrypiał ponuro Danen.

– Więc dlaczego...?

– Bo przyszedł czas zadać śmierć.

– Jak długo zamierzasz jeszcze zabijać...?

– Mówiłem ci. Tak długo aż cofnięty zostanie czas i wszyscy zaczniemy od nowa. Zaczniemy od nowa nasze prawdziwe życie. Wszystko co widzisz wokół to nic nie znaczy.

– Więc czemu to robisz...?

– Zanim cofnę czas dam posmakować cierpienia każdemu zdrajcy. Każdej jego siostrze i każdemu bratu. Wygubię jego potomstwo i zabiję rodziców. Ta wola mnie przepełnia i nie ma powodu by się temu przeciwstawiać.

– Ale... Czemu ciągle nie ruszyliśmy na południe, aby cofnąć czas...?

– Ruszymy, już wkrótce. A teraz zbierz krew. – Danen wskazał na miskę w rękach Marint. Kobieta usłusznie spełniła jego wolę. Podeszła do pierwszej ofiary, którą był siwowłósy starzec i przytknęła naczynie do jego rozciętego gardła.

– Nie! – ryknął niespodziewanie Danen.

– Nie...? – Kobieta spojrzała na niego ze strachem.

– Wolę krew dzieci i młodych kobiet. – Pokazał szponami na zabita dziewczynę z klanu wilków.

– Ale...

– Milcz! – Danen chwycił świetlany mrok i wymierzył ostrze miecza w Marint. – Pamiętaj, że ty też jesteś młoda kobietą – warknął.

Marint podeszła ze spuszczoną głową do wskazanej ofiary

i odwróciła ją na plecy.

– Nie ma głębokich ran... – wydusiła z siebie.

– Więc je zrób. – Danen rzucił nożem wprost pomiędzy nogi kobiety. – Poderżnij jej gardło i przystaw miskę.

– Nie mogą... – wyszeptała z bólem. Przyjrzała się z czułością zamordowanej dziewczynie. Otarła jej z twarzy krew i poprawiła włosy, zupełnie jakby nieboszczka miała zaraz ożyć.

– Niektórzy ludzie, aby przeżyć pracują w rzeźni i szlachtują zwierzęta. Myślisz, że jesteś od nich lepsza? Jak twoja siostra, niedoszła cesarzowa?! – ryknął Danen.

– Tu nie leżą zwierzęta tylko martwi ludzie...

– To nie są ludzie! Zaszlachtowałem stado wilków! Stado zakłamanych wilków, zasługujących jedynie na śmierć!

Ze łzami w oczach Marint przecięła ostrzem gardło martwej dziewczyny i podstawiała pod nie miskę. Gdy ta się nappełniła zaniosiła ją w drżących rękach do Danena.

– Najpierw ty – oznajmił oschle.

– Nie chcę... Nie potrzebuję... – wzdrygnęła się.

– Pij.

– Ale dlaczego...? – błagała.

– Bo sprawi mi to przyjemność, patrzeć jak pijesz krew moich wrogów. Pamiętaj, obiecałem ukarać twoją siostrę i uratowałem ci życie, a teraz cię chronię. Jesteś mi winna posłuszeństwo. Masz mi służyć. Masz być posłuszna.

Marint niepewnie przystawiła miskę z krwią do swoich ust i zamoczyła w niej wargi.

– Pij!

Wzięła łyk i przełknęła go.

Na ten widok Danen uśmiechnął się drwiąco. Odebrał z kobiecych rąk naczynie i jednym haustem pochłonął zawartość. Otarł krew z twarzy i poczuł jak jego ciało oraz zmysły zalewa fala spokoju.

Popatrzył na stojącą przed nim zalęknioną kobietę, jak na inną osobę. Przez chwilę poczuł względem niej troskę i współczucie, coraz mniej znane mu ludzkie uczucia. Jednak pojawiły się one tylko na moment, jak poranna mgła rozwiewana przez wiatr i zaraz nie pozostał po nich nawet ślad, zniknęły.

– Napełnij miskę – powiedział do kobiety i wręczył jej zakrwawione naczynie.

VI. XARANTIS

Orsis i Sageon dosiadający wspólnie wężowego skalenta dotarli do miejsca zwanego szczytem świata, znajdującego się na samym krańcu północy. Kraina nazywana była Xarantis i nie zamieszkiwali jej ludzie. Krążyły natomiast legendy o występujących tu gadzich plemionach.

– Nie czas na postój? – zagadnął w pewnym momencie, siedzący za Orisi Sageon. Znużony rozglądał się po bagnistej, zatopionej w gęstej mgle okolicy porośniętej rozłożystymi paprociami.

– Nasz jaszczur jeszcze trochę poleci zanim damy mu pojeść smakowitych liści. Prawda, jaszczurze? – Kobieta poklepała zwierzę po głowie.

– On już teraz jest głodny – oznajmił Sageon.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Siedzę bliżej jego brzucha i słyszę jak mu tam burczy.

– Skoro ma siłę lecieć, niech leci – rzuciła obojętnie Orsis.

– Zatrzymamy się, jak z wyczerpania zacznie szorować brzuchem po ziemi.

– Raczej po liliach wodnych. – Sageon popatrzył na dół i dodał: – Byłoby bezpieczniej, gdyby wężowy skalent nie był wyczerpany. Nigdy nie wiadomo co, czy też kogo, możemy zastać na tych bagnach.

– Sugerujesz utrzymywać gotowość do ucieczki? Ty, taki wielki rycerz światłości? – zakpiła Orsis.

– Ucieczka nie przynosi hańby jeżeli nie odwracasz wzroku od krzywdzenia niewinnych.

– Cóż za świetlane ideały. Ja tam nic nie mam przeciwko napotkaniu tu kogoś, kto pragnąłby nas skrzywdzić. Sama robię się głodna, a zieleniny nie znoszę.

– Podobno zamieszkujący w tych okolicach przedstawiciele gadzich plemion mają w swoich żyłach zieloną, trującą krew.

– Więc tradycyjnie ich zastąpisz.

Sageon wzruszył obojętnie ramionami.

– Taką złożyłem ci obietnicę, że będę cię karmił własną krwią, dopóki nie wskażesz mi drogi jak zanieść światło w mrok – oświadczył i ponuro ciągnął dalej: – Odnoszę wrażenie, że obecnie trafiliśmy do krainy, gdzie zarówno światło jak i mrok nie mają większego znaczenia. Nigdy nie widać tu promieni słońca, także nie panuje tu mrok.

– Może być w tym wiele prawdy.

– Co masz na myśli?

– Chodzi mi o to, że zarówno światło jak i mrok nie zadowolily się w tym miejscu. Opowiem ci coś z czasów mojego dzieciństwa.

– Zaczynaj.

– Kiedy byłam niezdolna...

– Nic nowego...

– Nie przerywaj. Kiedy byłam niezdolna moja piastunka straszyla mnie legendami z zamierzchlych czasów. Opowiadała mi o krainie Xarantis, którą nawiedziły okrutne istoty przybyłe prosto z nieba.

– Ze Słońca?

- Na niebie znajduję się nie tylko Słońce...
- To prawda.
- Istoty te miały wydać wojnę każdej napotkanej rasie nie ważne świetlistej czy mrocznej.
- Kiedy miałyby się to wydarzyć? – zainteresował się Sageon.
- W drugiej erze.
- Za czasów Zjednoczonego Królestwa Światła i Mroku?
- Tak. Ponoć wybuchła wtedy wojna na olbrzymią skalę. Wróg z Xarantis, określany mianem gadzich plemion, został pokonany przez siły światła i mroku, ale było to okupione wielkimi stratami. Zasiadające na jednym tronie dzieci światła i mroku zginęły, a Zjednoczone Królestwo się rozpadło.
- Coś sobie przypominam... – zadumał się Sageon. – Podobno stało się wtedy coś więcej. – Więcej niż tylko śmierć tych dzieci...
- Czyżbyś wiedział coś ponad to, co moja piastunka? – zapytała lekceważąco Orsis. – Mało prawdopodobne.
- Barbet... – Sageon tęsknie wspomniął pyzatą dziewczynę i kontynuował: – Barbet opowiadała, że w czasach Zjednoczonego Królestwa, tuż przed śmiercią dzieci światła i mroku, one się poróżniły ze sobą i zerwały łączącą je więź.
- Co miałyby być tą więzią?
- Nie wiem, nikt nie wie. Ale od tamtego czasu na tych dzieciach ma ciążyć klątwa, którą rzuciły na siebie nawzajem. I za każdym razem, gdy przychodzą na świat, cierpią.
- Brzmi jak sentymentalne bzdury.
- Bo są to słowa, które nie pochodzą od twojej piastunki?

– obruszył się wojownik.

– Jej też niespecjalnie wierzę. Miała słabą głowę i wybujałą wyobraźnię – Machnęła niedbale ręką Orsis. – A o krainie Xarantis krąży wiele dziwacznych opowieści.

– Faktycznie, istnieje wiele legend, często sprzecznych ze sobą... – zamyślił się Sageon.

– Otóż to. Odpowiednia bajka na każdą okazję i każda znajdzie swojego amatora.

– W krainie Dores w męskim Zakonie Braci Światła można było usłyszeć, że gadzie plemiona to efekt czarnej magii.

– Dla nich wszystko co niezrozumiałe wynika z czarnej magii. To ignoranci podobnie jak ich siostrzyczki z drugiej strony globu.

– To rycerze światła. Sam jestem jednym z nich.

– No właśnie, to ignoranci. Trafił swój na swego. Przecież o tym mówię.

Sageon ciężko westchnął

Gdy wtem wężowy skalent wpadł w rozpostartą sieć. Wojownik spadł ze zwierzęcia i z chlupotem pacnął w błoto. Na szczęście miękka gleba zamortyzowała upadek na plecy. Sageon podźwignął się i wyciągnął miecz. W gęstej mgle nie zauważył przeciwników ani Orsis, a jedynie szamoczące się w sieci zwierzę. Naraz poczuł silne uderzenie w ramię. Odruchowo zamachnął się w tym kierunku i jego broń ze zgrzytem prześliznęła się po łuskowatej skórze jakiejś istoty, która na powrót zginęła we mgle.

Sageon rozstawił szeroko nogi, które zapadały mu się w błocie i czekał w gotowości. Z powodu mizernej widoczności zmrużył oczy i skoncentrował się na dochodzących do

niego dźwiękach. Tuż za sobą wyłowił słuchem plusk i błyskawicznie się obracając, ciął tam po skosie mieczem. Tym razem ostrze przecięło łuskowatą skórę i zagłębiło się w ciele zielonej istoty. Sageon z przerażeniem zauważył, że zadał ranę w łydkę czegoś gigantycznego, co stało tuż przed nim. Spojrzał w górę i dostrzegł spadającą na niego olbrzymią pięść. Z trudem wyszarpnął nogi z błota i uskoczył w bok, unikając trafienia. Szybko wstał i naraz spadła na niego jaszczurka wielkości psa. Zrzucił ją z siebie i przepołowił mieczem, po czym znowu uskoczył przed wielką niczym beczka, spadającą pięścią.

Cofając się do tyłu, tuż koło siebie dostrzegł uzbrojoną Orsis. Już chciał do niej krzyknąć, gdy ta położyła sobie plac na ustach wskazując, aby był cicho. Wojownik pokiwał na zgodę głową i dalej cofali się razem.

Tak znaleźli się przy boku oswobodzonego węzowego skalenty. Leżał on w błocie pośród porozcinanych lin, najwyraźniej dzieła Orsis.

Kobieta dosiadła zwierzęcia, gdy raptem z mgły wyłoniła się chmara dorównujących jej wielkością jaszczurek i rzuciła się na nią. W odpowiedzi kontratakowała świetlanym mrokiem, błyskawicznie dźgając włócznią i tnąc mieczem. A każda zadana przez nią najmniejsza nawet rana spalała przeciwnika na proch.

Sageon obserwował tę scenę osłupiały aż ponownie zobaczył spadającą na niego potężną pięść. Tym razem robiąc unik, zadał w olbrzymi palec cios mieczem. Jednak jego ostrze odbiło się jak od ściany, nie czyniąc potworowi krzywdy.

Z kolei Orsis wskoczyła zwinnie na łeb węzowego ska-

lenta i wybiła się z niego wysoko aż zniknęła w spowijającej ją mgle. Dał się słyszeć dziki ryk bestii i w górze wybuchł ogień, po czym monstrum zważyło się ciężko na ziemię. Oniemiały z wrażenia Sageon spoglądał z niedowierzaniem na olbrzymią, płonącą istotę u swoich stóp.

– Zabierajmy się stąd – syknęła do wojownika Orsis, która niczym duch wynurzyła się z mgły. Sageon nie czekał na dodatkowe zaproszenie. Razem z kobietą dosiedli wężowego skalenta i czym prędzej udali się w dalszą drogę.

VII. LEGENDY MROKU

Barbet leżała na łóżku i zawzięcie rozplątywała kołtun z futra, jaki zrobił się jej na udzie. Dziewczyna była wściekła. Nie dość, że część jej ciała pokryta była futrem mrocznych istot, to jeszcze obca okrywa włosowa zmieniała się: liniała, bądź obficie rosła. Barbet nabierała coraz większego przekonania, że jeżeli nie odnajdzie serca dziecka światła, to ze złości wyrwie z piersi swoje własne.

Naraz do zatopionego w półmroku kryształowego pokoju weszły dwie mroczne kapłanki. Tradycyjnie stanęły w progu i obserwując czynność Barbet na przemian wypowiadały zdania, utwierdzając się nawzajem w swoich słowach:

- O futro należy regularnie dbać.
- Tak, należy je mierzwić najlepiej własnym językiem.
- Dobry jest język mrocznej wiewiórki.
- Nada się również język mrocznego borsuka.
- Wasze najchętniej bym wam wycięła! Wy mroczne pizdy! – rzuciła wyzywająco Barbet.
- Nie mów w ten sposób.
- Tak, bo zmienimy co do ciebie zdanie.
- I dokonamy transplantacji.
- Otóż to, zastosujemy bolesne zabiegi.
- Usta mówiące złe rzeczy usuniemy.
- Tak i w ich miejsce wstawimy wargi sromowe.
- Mrocznej wiewiórki.

– Oczywiście lub mrocznego bawołu.

Na te sugestie dziewczyna błyskawicznie zakryła usta i spokorniała.

– Uspokoiła się.

– Tak, dobrze jest być uspokojonym.

– Czas spać.

– Sen to ważna sprawa.

– To prawda, lecz wcześniej bajka na dobranoc.

– Tak, dobry sen po dobrej bajce.

Mroczne kapłanki wspólnie otworzył wielką, czarną księgę i zaczęły czytać:

– Legendy Mroku.

– Rozdział dwudziesty czwarty: Gównomorze.

– Tylko nie to, błagam... – jęknęła żałośnie Barbet i nakryła głowę poduszką. Mroczne kapłanki, jakby nigdy nic czytały dalej:

– Mroczna armia wyszła z czarnych pierścieni.

– Tak i stanęła nad brzegiem Gównomorza.

– Niemiłosierny smród niósł się po okolicy.

– To prawda, ponieważ ludzie światła załatwiali się prosto do wody.

– I wtedy dwie bohaterskie mroczne kapłanki sprawiły coś niezwykłego.

– Tak. Wypatroszyły świetliste dziecko, a jego wnętrzności wrzuciły do Gównomorza.

– I nad cuchnące wody nadciągnęło potężne zaćmienie.

– Nie inaczej i woda w Gównomorzu zamarzła.

– Tak oto uwięziony został smród.

– Właśnie, odór został spętany w lodzie.

– I niepokonana, mroczna armia ruszyła na podbój świata ludzi

- Otóż to i uczyniła to po taflí lodu Gównomorza.
- Litości, dość... – skamlała Barbet. – Już śpię, naprawdę.
- Słowa wypowiedane przez sen są podejrzane.
- Tak, bardzo, bardzo niejednoznaczne.
- Zazwyczaj to wierutne bzdury.
- Oczywiście, to nic nie znaczące majaki.
- Lub wyjątkowo natchnione proroctwa.
- O tak, niezwykle słowa kreślące przyszłość.

Naraz w pomieszczeniu rozległo się ostentacyjne chrapanie. Mroczne kapłanki zastygły dłuższą chwilę bez ruchu, po czym się oddaliły. Barbet odetchnęła z niewymowną ulgą i przekręciła się na plecy. Wpatrując się w kolorowe, przyciemnione witraże na suficie, podjęła decyzję, że musi się stąd błyskawicznie wydostać, z prostego względu, aby nie oszaleć.

VIII. U BRAM DAKKISZ

Wielotysięczny oddział zbrojny zmierzał do największego w czwartym pierścieniu światła miasta Imperium Agaszika, Dakkisz. Na przedzie jechali dowódcy lekkiej konnicy Kardanoru. Za nimi kawaleria z tegoż królestwa, a dalej tłum uzbrojonych wieśniaków – osób, które oddały się pod komendę Gishy i nie zdezerterowały w kolejnych cyklach snu.

Sama Gisha jechała samotnie z boku. Nadal nie mogła się otrząsnąć po masakrze jakiej dokonała w imperialnym obozie. Nieustannie prześladowały ją wspomnienia wrzasków torturowanych na jej polecenie ludzi. Co jakiś czas zatykała sobie uszy w nadziei, że upiorne krzyki odejdą, ale nie odchodziły. Kiedy zaś zamykała oczy widziała krew i okaleczone ciała. Podnoszenie powiek także niewiele pomagało. Dziewczyna miała nieodparte wrażenie, że wokół niej w kondukcie żałobnym kroczą duchy osób, które zginęły z jej rozkazu.

Wszystko czego doświadczała Gisha ciągle wydawało się jej tak nierealne. Zarówno miejsce, gdzie się znalazł, czas, jak i rzeczy, które tu uczyniła. I nawet sama sobie wydała się tu i teraz inną osobą. Może więc rzeczywiście nią była? Kimś innym zdolnym do największych okrucieństw?

– Witaj, o pani!

Naraz Gisha została wyrwana ze świata ponurych myśli przez skierowany do niej młody, męski głos. Popatrzyła

z ukosa na jego właściciela. Był nim jadący konno szczupły młodzieniec o krótkich blond włosach. Posiadał sympatyczny uśmiech i delikatne, szlachetne rysy twarzy.

– Czy mógłbym dotrzymać ci towarzystwa, pani? – zapytał kusząco. – Osobie, która stała się postrachem imperialnych wojsk. Istnym demonem śmierci i zniszczenia przyobleczonym w niewinne, dziewczęce ciało? – Na te słowa Gisha kwaśno się uśmiechnęła. Bowiem obecnie mniej więcej takie właśnie miała o sobie mniemanie. – Więc...?

– Więc co? – wydusiła z siebie. Wcale nie przejawiała ochoty na pogawędkę.

– Czy mogę dotrzymać ci towarzystwa, pani? – powtórzył.

Dziewczyna zignorowała pytanie i zadała własne:

– Daleko stąd do Kryształowej Świątyni?

Jeździec zadumał się.

– Konno około jedenastu cykli snu – odparł i zaraz dodał:

– Ale sugerowałbym zignorować ten kierunek.

– Dlaczego? – zainteresowała się Gisha.

– Cóż powiedzieć... Sam król Kardanoru, Oraf, namaścił cię, pani, na nową imperator. Jednak, jakby to rzec...

– Jestem tylko figurantką – dopowiedziała dziewczyna.

– Marionetką, tak... – zgodził się młodzieniec.

– Czyli nie mogę się z własnej woli oddalić?

– W obecnych okolicznościach byłoby nieroztropne sprzeciwiać się dowódcom Kardanoru, którzy chcą widzieć cię, pani, u bram Dakkisiz. Do tego po tym, czego dokonałaś, pani, Imperium cię nienawidzi i zapewne już wysłało swoich mścicieli.

– Chcą mnie zabić.

- Cóż... Wszak trudno im się dziwić, nieprawdaż?
- No tak.
- Zaś w samym Kardanorze wieść o tobie, pani, także szybko się rozniosła i stajesz się tam, że tak się wyrażę, dość kontrowersyjną osobą.
- Czemu?
- Ze względu na swoje niewysłowione okrucieństwo. Rzecz bez precedensu wśród ludzi światła.
- Może już do nich nie należę, do ludzi światła... – oznajmiła pośpiesznie Gisha.
- Zapewniam cię, pani, że należysz. A nawet więcej, ze względu na swój niezwykły urok jesteś wśród nich absolutnie wyjątkowa.
- Wobec zasłyszanego komplementu po raz pierwszy od wielu cykli snu dziewczyna się uśmiechnęła i poprawiła swoje niemal czarne, lekko kręcone włosy.
- O tak, pani, jesteś równie okrutna, co przepiękna... – oznajmił z podziwem młodzieniec. Akurat to porównanie Gishy już mniej przypadło do gustu. Jednak nie dała tego po sobie poznać.
- A ty kim jesteś i jak się nazywasz? – Przyjrzała się ponownie swemu rozmówcy. Jeździec wyprostował się siodle i dumnie odparł:
- Oto jestem jednym z dowódców lekkiej jazdy Kardanoru. Osobą przynależącą do szlacheckiego rodu Witarion. A moje imię to Wiron. Tak, właśnie ten, Wiron... – puścił do Gishy oko.
- Który, Wiron? – zapytała beztrosko dziewczyna.

– No, ten... Właśnie ten, Wiron... – Młodzieniec zrobił z lekka zakłopotaną minę i przyjrzał się własnej sylwetce, jakby upewniając się, że rzeczywiście jest osobą, za którą się podaje.

– Nie znam cię. Nikogo stąd nie znam. – Giaha wzruszyła ramionami.

– Ach tak... – uśmiechnął się drwiąco jeździec. – Byłbym zapomniał o zasłyszanych plotkach. Ponoć spadłaś, pani, z nieba...

– Raczej wynurzyłam się z wody.

– To także dość oryginalnie – stwierdził młodzieniec. – Z którego pochodzisz akwenu, pani, jeśli można wiedzieć?

– A co?

– Może jest tam więcej podobnych okazów piękna. Zaneć ciłbym i... – uśmiechnął się zalotnie.

– Prawdę mówiąc wołałabym wrócić do kwestii Świątyni Światła, tego, jak się tam dostać – oświadczyła zmęczonym głosem Gisha. – Jeżeli jesteś „tym” Wironem na pewno coś wymyślisz, nieprawdaż? – Tym razem to dziewczyna zarzuciła przynętę na dumę młodzieńca. Ten zamyślił się dłuższą chwilę aż poważnie rzekł:

– Zdobądź, pani, większą pozycję, władzę. Wtedy sama będziesz władać swoim losem i bezpiecznie pojedziesz dokąd zechcesz.

– To nie jest zła myśl – podchwyciła Gisha. – A jak miałabym tego dokonać?

– Pomyślmy... Udajemy się na oblężenie Dakkisz. Dowódcy konnicy poczynili już zakłady z dowódcami golemów, kto pierwszy zdobędzie miasto.

– I co z tego?

– Zdobądź, pani, miasto z marszu tak spektakularnie, jak obróciłaś w perzynę obóz Imperium Agaszika. Uczyni to zanim nadejdą powolne golem, a dowódcy jeźdźców będą ci bardzo wdzięczni. I... będziesz mogła na nich liczyć.

W oczach dziewczyny pojawił się błysk.

– Dziękuję ci, Wironie, za światłą radę – powiedziała. – Uczynimy, jak radzisz.

– My, uczynimy? – zdumiał się młodzieniec. – Mówisz, o nas...?

– Gdy przybędziemy pod mury Dakkish poproszę tamtejsze władze o audiencję. Ty zaś będziesz mi towarzyszył.

– To dla mnie zaszczyt, pani... – odezwał się już bez wcześniejszego entuzjazmu Wiron. Na co dziewczyna uśmiechnęła się przebiegle i przedstawiła się:

– Mów mi Gisha.

*

Czas dotarcia do imperialnego miasta nieustannie starał się umilać Gishy Wiron. Czynił to podarunkami w postaci kwiatowych bukietów, przysmakami, konwersacjami, a nawet uraczył dziewczynę swoim wątpliwej jakości śpiewem.

To towarzysztwo oderwało Gishę od różnorodnych przygnębiających rozmyślań i skierowało jej uwagę na chwilę teraźniejszą. Utwierdziła się w postanowieniu, że zanim odzyska niebiańską jaskinię, aby wrócić do swego czasu i miejsca, najpierw dowie się, czy opowieści jej rodziny o chwalebnej historii Imperium Agaszika, były wierutną bzdurą. Bo skoro

nie było żadnego Świetlistego Promyka, to być cała historia, jaką zasłyszała od matki, została zafałszowana.

Celem weryfikacji tych śmiałych założeń sensowne wydawało się odwiedzenie domniemanych sprawczyń upadku Imperium czyli najwyższych kapłanek w Świątyni Światła. Jednak należało uczynić to w taki sposób, aby nie napytać sobie więcej biedy oraz taki, by nie pozostawić za sobą jeszcze więcej przelanej krwi. Co więcej Gisha żywiła wręcz nadzieję, że przyczyni się nawet do ocalenia ludzkich istnień.

Gdy tylko armia Kardanoru rozbiła obozowisko pod murami Dakkisz, dziewczyna pomówiła z dowódcami jeźdźców. Dzięki gorącemu wstawiennictwu Wirona uprosiła ich, aby zgodzili się wysłać ją do miasta w celu negocjowania jego kapitulacji.

Tak oto Gisha z Wironem stanęli nieuzbrojeni pod miejskimi bramami.

– Interesujący makijaż... – zauważył młodzieniec, spoglądając na dziewczęce oczy i brwi podkreślone grubą, czarną kreską

– Budzę respekt? – zapytała z nadzieją Gisha.

– Śmieszność...? – Tamujący śmiech Wiron, otrzymał lekkiego kuksańca w bok. – Dobrze, jesteś naprawdę groźna – poprawił się.

Naraz z góry doszedł tubalny, męski głos:

– Czego?!

Starając się, wydobyć z siebie jak najniższy głos, Gisha wrzasnęła:

– Przybywamy negocjować! – Niestety wyszło jej dość piskliwie.

– Zatem Kardanor chce negocjować? I wysyła w tym celu dzieci?! Ha, ha! – padła odpowiedź z murów.

– Zwą mnie Gisha Pogromczyni!

– Kto...? – szepnął zdziwiony Wiron.

– Zamknij się. – Dziewczyna ponownie stuknęła go łokciem w żebro i kontynuowała gromko do strażnika, tym razem siarczyście przeklinając: – To właśnie ja wjechałam na pal waszą jaśnie jebaną generalicję! Oficerów wypierdków i inne imperialne gówno!

– To rozumiem... – Wiron zatarł z uciechy ręce.

– Wpuście mnie natychmiast! Albo do kurwy nędzy powrócę tu z ogniem i mieczem! Rozpierdolę tę żalosną miejscinę! A mieszkańców każę wychłostać na śmierć! Wyjebię was wszystkich!

– Przesadziłaś... – Wiron zatkał sobie uszy.

Dziewczyna spojrzała na niego kwaśno. Gdy wtęm brama zaskrzypiała leniwie i wejście do miasta stanęło otworem.

Przybyła para ruszył naprzód. Szli główną ulicą miasta odprowadzani podejrzliwym wzrokiem przez nielicznych strażników oraz mieszkańców. W końcu dotarli do okazałego budynku, gdzie otworzono przed nimi drzwi.

Wewnątrz tonącego w kolorach czerwieni i bieli gustownego wnętrza znajdował się szeroki stół wokół którego stał wianuszek krzeseł. Za stołem zasiadało koło siebie trzech starszych mężczyzn. Ten w środku był w biało-czerwonym mundurze. Zaś cywile po bokach ubrani byli w luźne, żółte szaty.

Wojskowy wskazał przybyłej parze, aby zajęła miejsca po drugiej stronie stołu, po czym oschle przemówił:

– Nie witamy was. Nie gościmy. Jednak skoro przybywacie w roli emisariuszy, wysłuchamy was.

– Gisha odkaszlnęła w dłoń i postarała się przemówić z silną chrypką:

– Poddajcie się – pisnęła i zawstydzona brzmieniem swojego głosu zasłoniła usta.

– Niby dlaczego mielibyśmy się poddać? – zapytał spokojnie wojskowy. Mamy zapasy, mury oraz silny garnizon. Ponadto oczekujemy odsieczy.

Mężczyźni w żółtych szatach pokiwali na zgodę głowami.

– Zanim przybędzie wasza odsiecz nadejdą golemi! – wyrwał się Wiron. – Wtedy nie będzie już negocjacji!

– Zaryzykujemy – odparł wojskowy.

Naraz Gisha silnie odepchnęła Wirona i syknęła do mężczyzn:

– Wy chyba nie zrozumieliście...

– Czego? – zainteresował się wojskowy i zmarszczył brwi.

– Nie przedstawiamy prośby. To było żądanie. Poddajcie się! – zakończyła tym razem z siłą w głosie.

– Grozisz nam?

– Tak!

– Wiemy kim jesteś... – Wojskowy odchylił się na krześle, jakby chciał znaleźć się w bezpieczniejszej odległości od dziewczyny. – To znaczy, wiemy za kogo chcesz uchodzić... Dotarły do nas plotki o twoim domniemanym okrucieństwie...

– Plotki?!

– Ano tak... Bo jak inaczej nazwać to, o czym słyszeliśmy...? – Wojskowy uśmiechnął się drwiąco i popatrzył

kolejno na mężczyzn po bokach, którzy odpowiedzieli mu podobnymi grymasami twarzy. Następnie kontynuował: – Mała dziewczynka, która wzięła się znikąd, miałaby porwać tłumy imperialnych, praworządnych obywateli i posłać ich na naszych oficerów? A potem rękoma motłochu zakatować generalicję na śmierć? Niewyobrażalne... Dlatego doszliśmy do przekonania, że to prowokacja Kardanoru. Chcecie nas w ten sposób skłócić ze sobą i zastraszyć. Wiedziecie, że się nie boimy.

Kiedy mężczyzna przestał mówić w Gishy zawrzał nieokiełznany gniew. To samo uczucie, które wcześniej rzuciło ją w obłęd i kazało dokonać straszliwej masakry.

Teraz dziewczyna gwałtownie wstała i wydarła się ile tchu aż wszyscy obecni, nie wyłączając Wirona, skulili się na swoich miejscach.

– Kurwa! Odrzucacie akt łaski?! Więc zapierdolę was wszystkich! Sprowadzę po stokroć większy ból niż możecie sobie wyobrazić! Sprowadzę go na wasze kobiety! Wasze dzieci! I na was samych! Zaprawdę za każdą kroplę mojej krwi, która spadnie na ziemię! Z waszych ciał wytoczę całą, jebaną fontannę! – Z talerza z owocami Gisha chwyciła nóż i zamaszystym uderzeniem przebiła ostrzem własne przedramię. Uniosła przeszytą na wylot rękę, z której zaczął płynąć krew.

Ze szokowanych obserwatorów tego zdarzenia pierwszy zareagował wojskowy:

– Opatrzcie ją, natychmiast! – wydarł się przeraźliwie. Wyjął z kieszeni chustkę i sam porwał się tamować krwotok. Zaraz za nim to sami poczynili pozostali, wzywając jedno-

cześnie lekarza i błagając o litość dla siebie i bliskich.

Kilka kropel krwi skapnęło na podłogę.

Kiedy jakiś czas potem opatrzona Gisha opuściła miasto, otwarta przed nią brama już się nie zamknęła. Oddziały Kardanoru zostały wpuszczone do Dakkisz, a imperialny garnizon złożył broń.

Z polecenia Gishy zachłostano na śmierć trzydziestu mieszkańców. W tym wojskowego mężczyznę, z którym negocjowała poddanie miasta oraz jego żonę.

IX. PODCHODY

Odkąd Kati zamieszkała w stolicy księstwa Varnes nie zatrudniła dodatkowej służby i sama przejęła część domowych obowiązków. Początkowo uczyniła to ze względu na fakt, że po opuszczeniu księstwa Aria wolała nie szastać majątkiem. Ponadto wynajęła dość skromny, niewielki dom, gdzie trudno byłoby ulokować dodatkową służbę, zapewniając jej godne warunki.

Tak oto, choć najcięższymi pracami nadal zajmował się stary sługa, Kati zaangażowała się w przygotowywanie posiłków. Początkowo przeklinała się w duchu, że ona, wysoko urodzona osoba zniżała się do tak niegodnego zajęcia. Jednak obecnie, po poznaniu prawdy o sobie i do pewnego stopnia pogodzeniu się z nią, była wręcz wdzięczna losowi za możliwość karmienia domowników. Jak mogła starała się docenić świat na nowo, a także sprawić, że osoby wokół niej będą szczęśliwe.

Kati weszła do pokoju Kegeny i na szafce koło łóżka postawiła tacę z jedzeniem.

– Dziękuję – oznajmił z zadowoleniem leżący mężczyzna, obliczając się na widok starannie pokrojonego pasztetu, z pietyzmem ułożonych kromek chleba z masłem i bogatego bukietu gotowanych warzyw. – Jestem już w stanie jeść samodzielnie – dodał. – I, proszę, podziękuję ode mnie Alistri.

– Za co? – zapytała Kati.

– Za przygotowywane przez nią posiłki, rzecz jasna, są do-
prawdy przepyszne.

– Oczywiście – uśmiechnęła się niewinnie Kati. – Prze-
każę jej podziękowania.

Kegen skinął głową i podniósł pajdę chleba. Zaraz jednak
odłożył ją na talerz i zafrasowany oświadczył:

– Dręczy mnie pewna rzecz... Nie daje mi wręcz spokoju.
Usiądź, proszę, koło mnie i porozmawiajmy.

Kati spełniła życzenie męża i zajęła miejsce na krześle.

– Chodzi o Drena...

Na wspomnienie tego imienia kobieta odruchowo
drgnęła, odczuwając chęć ucieczki. Kegen złapał ją za nad-
garstek i szepnął:

– Spokojnie, spokojnie... On już nie będzie sprawiał kło-
potów. Ale... Musisz mi w końcu powiedzieć, dlaczego cię
zaatakował...

– Nie domyślasz się? – rzuciła z pretensją Kati. W jednej
chwili opuścił ją cały dobry nastrój.

– Zamiast snuć domysły wolałbym usłyszeć od ciebie
szczerą prawdę – oznajmił twardo Kegen. Kati milczała
dłuższy czas, wpatrując się w tacę z jedzeniem i unikając
wzroku męża aż w końcu niepewnie rzekła:

– Dren mnie prześladował.

– Prześladował...?

– Tak... Groził, że jeżeli mu się nie oddam, to skrzywdzi
dzieci... – skłamała Kati.

– A ty mu odmówiłaś...

– Tak... To znaczy nie! – Kobieta wyszarpnęła rękę
z uścisku Kegen. – Wtedy w pokoju, gdy wróciłeś... On

chciał mnie zgwałcić... – Popatrzyła na męża z kwaśnym uśmiechem.

– Skoro tak twierdzisz...

– Tak było, naprawdę! – Kobieta złożyła ręce na piersi.

– Dobrze, już dobrze... Już po wszystkim, droga Kati... – westchnął.

– Pójdę już.

– Dokąd ci tak śpieszno?

– Do Nakis przychodzi niebawem nauczyciel. Chciałabym być przy pobieraniu przez nią lekcji.

– Nakis, nasza córka...

– Tak. To nasza córka.

Kegen uśmiechnął się drwiąco i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Długo jeszcze zamierzasz ją chować przede mną...? To niedorzeczne – powiedział.

– Nasza córka bardzo przeżyła śmierć Drena... Widziała jak wywlekano z domu jego zakrwawione ciało. Ciągłe jest w szoku...

– Tak długi czas...?

– Tak, jest bardzo wrażliwa...

– I nie może przez to odwiedzić swojego ojca, choćby na chwilę...?

– Tak.

– Dość tego! – Kegen uderzył pięścią w szafkę, aż podskoczyła na niej taca z jedzeniem. – Natychmiast pokaż mi moje dziecko – przedstawił żądanie.

– Dobrze... – odparł z wahaniem Kati. – Do rozpoczęcia lekcji pozostało trochę czasu. Przyprowadzę Nakis...

Poddenerwowana kobieta wyszła z pokoju. W poszukiwaniu córki trafiła do kuchni. Dziewczynkę zastała w towarzystwie siedzącej na parapecie Alistri.

– Kim jesteś? – zwróciła się do wysokiej kobiety Nakis. – Powiedz mi, kim jesteś? Nikomu nie powiem, obiecuję.

Kati patrzyła jak Alistri i Nakis spoglądają sobie głęboko w oczy. Czekala w nadziei aż siedząca na parapecie kobieta przemówi, ponieważ Kati sama z chęcią usłyszałaby coś więcej na jej temat. Jednak wobec przedłużającej się ciszy ukucnęła przed córką, wzięła ją za rączkę i łagodnie do niej przemówiła:

– Czas na małe odwiedziny. Spotkasz się z tatusiem, kochanie...

– Z jakim tatusiem? – skrzywiła się dziewczynka.

– Z twoim ojcem, który powrócił, leży w pokoju i pragnie zobaczyć swoją córeczkę.

– Nie chcę – odparła surowo Nakis.

– Ależ tak nie można, proszę...

– Nie chcę widzieć Kegeny!

Kati pogroziła córce wskazującym palcem.

– Nie używaj jego imienia, tak nie wypada – skarciła ją. – Chodźmy. – Wstała i pociągnęła dziecko za sobą.

W pokoju Kegeny matka i córka stanęły pod ścianą. Kati lekko spuściła głowę i złożyła ręce na swoim łonie. Podczas gdy dziewczynka miała na twarzy figlarny uśmieszek. Kegen wpatrywał się w nią usilnie, srogo marszcząc brwi.

– Nakis... tak? Tak się nazywasz? – odezwał się.

– Tak – odparła swobodnie.

– Podejdź do mnie. – Dziewczynka wykonała polecenie.

Zatrzymała się tuż przed Kegenem i bez słowa długo wpatrywali się sobie w oczy. W końcu mężczyzna nie wytrzymał jej spojrzenia. Przeniósł wzrok na czarne włosy dziewczynki i z lekką irytacją w głosie zapytał:

– Więc zaraz masz lekcje. Przychodzi nauczyciel, tak?

– Tak.

– Czego cię do tej pory nauczył?

– Wielu rzeczy.

– Na przykład?

– Pisać i czytać.

– Mama sama cię tego nie nauczyła?

– Nie.

– Dlaczego?

– Mama sama uczyła się czytać i pisać. – Dziewczynka uśmiechnęła się od ucha do ucha. Natomiast Kegen spojrzał pytająco na Kati.

– To dziecko, ma wybujałą fantazję – powiedziała na swoje usprawiedliwienie kobieta. Pospieszenie podeszła do córki i chwyciła ją za rękę. – Nauczyciel na pewno już przyszedł – dodała. – To kosztowne lekcje, musimy już iść. – Ruszyła z małą Nakis do wyjścia.

– Kati – odezwał się surowo Kegen.

– Słucham...? – Przystanęła.

– Wróć do mnie jak najszybciej, sama.

– Oczywiście.

Na korytarzu pani domu szybko powachlowała się dłonią. Nagle zrobiło jej się strasznie gorąco. Nienawidziła swoich kłamstw, czuła się przez nie okropnie, ale musiała chronić siebie, a także dbać o wizerunek córki. Przecież wiedziała, że

Nakis jest dobrym dzieckiem. Przykucnęła przy dziewczynce i rzekła do niej:

– Idź do swojego pokoju i poczekaj tam spokojnie aż przyjdzie nauczyciel.

– Przecież on ma przyjść jutro... – odparła markotnie.

– No tak, oczywiście... – zreflektowała się Kati, która momentami sama gubiła się w swoich kłamstwach. – Zatem pobaw się grzecznie w swoim pokoju. A gdybyś czegoś potrzebowała zwróć się do Alistri.

– Kim ona jest?

– Kto, Alistri?

– Tak.

– Twoją opiekunką – rzuciła na odczepnego Kati. – Idź już, kochanie. Kobieta odprowadziła wzrokiem dziewczynkę aż ta zniknęła za drzwiami swojego pokoju. Następnie nerwowo przeczesła ręką włosy, poprawiła na sobie suknię i powróciła do Kegeny.

– Usiądź koło mnie, żono... – oznajmił cierpko i wskazał na krzesło koło łóżka. Gdy kobieta zajęła miejsce, mówił dalej: – Nakis, nasza córka... Dlaczego jest taka wyrośnięta...? Ma trzy lata, a wygląda na... Na ile twoim zdaniem ona wygląda lat...?

– Na... cztery...? – zająknęła się Kati

– Cztery? – zdziwił się Kegen. – Moim zdaniem wygląda na pięć. Przypomina co najmniej pięcioletnie dziecko. I ten jej wygląd, jej włosy... One są czarne. Czarne jak smoła, jak... nieprzenikniony mrok... – Widać było po minie Kegeny, że był coraz bardziej zatroskany. Z kolei Kati poprawiła się na krześle, przełknęła ślinę i zaczęła wyjaśniać, jednocze-

śnie starając się całkiem nie zamotać się swoich kłamstwach:

– Widzisz... Kiedy porwali mnie Artowie to był dla mnie bardzo trudny czas...

– Wierzę ci. – Kegen chwycił kobietę za rękę.

– Ale był to ciężki czas nie tylko dla mnie... Oni, Artowie, raczyli mi okropnymi miksturami. Kazali mi pić wstrętne napary i spożywać złą żywność...

– To podłe. – Kegen silniej ścisnął kobietą dłoń.

– Tak, to było podłe – zgodziła się Kati. – I odbiło się to na wyglądzie naszej córki. Nie jest do nas podobna właśnie przez Artów. To oni to uczynili, truciznami, jakie kazali mi przyjąć...

– No tak... – Mężczyzna w zadumie podrapał się po brodzie. – To by wszystko wyjaśniało... – westchnął ciężko i już pogodniej powiedział: – Postaramy się zapomnieć o przeciwnościach losu i stworzymy razem z dziećmi kochającą się rodzinę. – Uśmiechnął się, na co Kati także się rozpozodziła.

Puścił kobietę i przesunął rękę po jej ciele aż do piersi. Zagłębił dłoń za materiał sukni i pieścił nagie ciało. Uśmiech na jego twarzy poszerzał się coraz bardziej, aż z żądzą w głosie przemówił:

– Tyle na to czekałem, droga Kati, tyle czasu... I nie ma zamiaru czekać już ani chwili dłużej... – Rozbierz się – zarządził.

– Ale...

– Żadnych ale, natychmiast.

– Jesteś jeszcze osłabiony. Nie powinienes...

– Doceniam twoją troskę – odparł lekceważąco Kegen. Ale jesteś moją żoną i masz spocząć ze mną we wspólnym

łóżu. – Mężczyzna ułożył się wygodnie na łóżku i pożerał Kati wzrokiem. Z zadowoleniem patrzył jak powoli zsuwa z ramion suknię i ukazuje mu pełne, nagie piersi. – Wstań i pokaż mi się cała naga – rozkazał.

Kobieta wstała.

Naraz ponownie nasunęła suknię na ramiona, zasłaniając swoją nagość. Okręciła się pięcie i wyszła z pokoju.

– Kati! Wracaj! Wracaj natychmiast! – krzyknął za nią wściekle Kegen. Na próżno.

*

– Huve...

– Tak?

– A może ty coś wiesz na temat Alistri?

– Tej dziwnej, wysokiej służącej?

– Tak, tej, która nie chce służyć. Mrok nie skrywa przede mną tajemnic, ale jej przeszłości nie widzę. Więc ona nie pochodzi z mroku.

– Przecież jest człowiekiem światła – zauważył chłopiec.

– To prawda. Więc kim ona jest?

– Nie wiem.

– Jak to? Przecież światło ma nie przed tobą tajemnic. A skoro ona nie pochodzi z mroku...

– Nie potrafię tego wyjaśnić – zafrasowała się Huve. – Ale ona nie ma swojej przeszłości w świetle. Ona...

– Tak...?

– Ona pewnego razu nagle po prostu się pojawiła...

– To dziwne...

- Tak, to bardzo dziwne.
- Nie ważne, idę pojeździć na hulajnodze.
- Też bym chciał! – rozmarzył się Huve.
- Masz tylko siedzieć i spoglądać w mrok, nic więcej.
- Kiedy...
- Zamknij się i rób co każę. Przecież gdy będę jeździła możesz patrzeć moimi oczyma.
- To nie to samo...
- Musi ci wystarczyć. Sam nigdy nie zaznasz niczego dobrego. Spoglądaj w mrok.

X. *TAJEMNICA*

Waltari odcięła od siebie przeszłość niczym pępowinę łączącą ją z dawnym światem. Śmierć jej najbliższych, zbrukane ciało, czy płonna wiara w moc Bogini Ziemi. Zostawiła to wszystko za sobą. A przede wszystkim ostatecznie wyrzekła się pragnienia najwyższej władzy.

Już dość się napatrzyła jak absolutna władza niszczy i deprawuje ludzi, sprowadzając śmierć i cierpienie na nich samych oraz niewinnych. Jeżeli Waltari rzeczywiście miała coś zmienić w świecie, to zrozumiała, że musi odstąpić od panujących w nim reguł. Dlatego na swoją zwierzchniczkę namaściła osobę, która po swoich przejściach niewątpliwie rozumiała ją lepiej niż ktokolwiek inny.

Waltari snuła dalekosiężne plany jak podbić poszczególne władztwa, aby zaprowadzić w nich trwały pokój. Jednak jeżeli któregoś z planów nie zaakceptuje Druga z Dziewięciu, wówczas go nie zrealizuje.

Taką podjęła decyzję, o której wiedział tylko krąg najbliższych jej osób. W zamyśle miała to być gwarancja, iż nie skusi jej miraż wielkiej władzy i nie odstąpi od swoich szczytnych ideałów na rzecz sprawowania bezwzględnej tyranii.

Ubrana w purpurową suknię kobieta przedstawiła swoje zamiary i klęcząc pokornie, czekała na decyzję. Siedząca na noszach Druga z Dziewięciu z trudem uniosła zabandażowaną rękę. Doszczętnie zgruchotane stawy rąk i nóg źle się

zrastały i oczywiste już było, że okaleczona kobieta pozo-
stanie kaleką. Z pomocą opiekunki jej dłoń opadła z wolna
na czoło Waltari, udzielając błogosławieństwa.

A więc decyzja została podjęta. Nadchodził czas wcie-
lenia w życie śmiałego przedsięwzięcia. W ostatnim czasie
Waltari aż nazbyt dobrze poznała, co znaczy dla mężczyzny
pragnienie ponętnego, kobiecego ciała i zamierzała to skwa-
pliwie wykorzystać.

*

Kobieta w purpurze, a także mężczyzna i osiem zakonni-
czek zatrzymali się na koniach przed bramą prowadzącą do
zamku. Była nim pradawna, potężna twierdza trzeciego rodzaju
wciśnięta pomiędzy dwa wyniosłe szczyty.

– Tylko kobieta w purpurze – oznajmił leniwie jeden z tu-
zina strażników uzbrojony w halabardę.

– Wykluczone – odparł mężczyzna na koniu. – Nie tak się
umawialiśmy.

– W porządku, Ron – powiedziała Waltari i zeskoczyła
z konia. – Czekaście aż wrócę, a wrócę na pewno – dodała.

Prowadzona przez zamkowy dziedziniec spokojnie roz-
glądała się na boki. Otaczała ją sielankowa atmosfera: widok
znużonych żołnierzy grających w karty bądź wylegujących
się na stogach siana, trochę krzątającej się służby, tu i tam
niemrawo ćwiczyli walkę młodzi giermkowie.

Następnie Waltari przeszła przez korytarz i wraz z parą
strażników dotarła na szczyt jednej z trzech górujących nad
okolicą wież.

Halabardnik zapukał do drzwi.

– Zapraszam... – Z komnaty dobył się męski, melodyjny głos.

Strażnik otworzył drzwi. Przepuścił kobietę w purpurze i razem z kompanem wkroczyli do sali żywo przypominającej pracownię malarską.

– Witaj Kiramie, głowo rodu Kelle – skłoniła się lekko Waltari.

Na jej widok siedzący przed sztalugą młody mężczyzna w prostej płóciennej koszuli i spodniach, zbaraniał. Odłożył na półkę paletę z farbami i niepewnie przemówił:

– To ty... Zapowiadano mi, że pragniesz się ze mną spotkać, kimkolwiek jesteś...

– Oto i jestem.

– Więc kim, jesteś...?

– Pragnę porozmawiać na osobności.

– Sam nie wiem... – Kiram się zafrapował i przeczesał krótko ostrzyżone blond włosy. Marszcząc łagodne rysy twarzy, podrapał się po dokładnie ogolonej brodzie. I cały czas przyglądał się z uwagą kobiecie w purpurze, jakby chciał odgadnąć czy nie jest przypadkiem naślaną zabójczynią.

– Niech strażnicy mnie przeszukają – zasugerowała w końcu Waltari.

– Niech tak będzie... – zgodził się Kiram.

Po dokonanej rewizji halabardnicy zgodnie oświadczyli:

– Nie jest uzbrojona.

– Być może... Poza tajemniczym wdziękiem, urokiem i czymś zaiste nieodgadnionym... – mruknął władca rodu Kelle i zwrócił się do strażników: – Dobrze, zostawcie nas

samych i oczekujcie za drzwiami.

Kiedy Waltari została sam na sam z Kiramem zdjęła z głowy kaptur.

– Intuicja mnie nie zawiodła... – oświadczył na widok jej twarzy mężczyzna. – Piękny głos należy do równie pięknej kobiety...

– Przyjmuję komplement.

– Zapewniam, że dla kogoś o tak wyjątkowej urodzie znajdę słodkich słów bez liku... I jestem niezmiernie ciekaw, pani, jak się nazywasz. Jesteś taka tajemnicza...

– Więc nazwij mnie Tajemnicą.

Kiram uśmiechnął się szczerze i aż przyklasnął w dłonie.

Naraz otworzyły się drzwi i do komnaty wpadli dwaj habardnicy.

– Pan wzywał?! – krzyknęli zgodnie.

– Ach, to... – Kiram przyjrzał się z zakłopotaniem swoim dłoniom i machnął nimi na odczepnego. – Znikajcie – rzucił do strażników i po chwili pozostał jedynie w towarzystwie kobiety w purpurze. – Więc co też cię tu sprowadza, Tajemnico...? – zapytał.

Waltari powoli podeszła do niego i zamiast odpowiedzieć popatrzyła na malowany obraz.

– Co takiego przedstawia ten wizerunek? – wyraziła zainteresowanie.

Kiram przybrał zadumany wyraz twarzy i drapiąc się po brodzie, wskazał pędzlem na płótno:

– To symboliczna mapa Królestwa Kardanor – powiedział. – Dookoła naniosłem górskie szczyty...

– To widzę.

– Dziękuję... – uśmiechnął się Kiram i tłumaczył dalej:
– Namalowany miecz na południu symbolizuje Ordów, włócznie na północy ród Kelle, a topór od strony mroku ród Witarion. Zaś od strony pierścieni światła mamy nagą pięść wolnych klanów...

– Ciekawe. A co będzie w centrum? Jest tutaj niezamalowane pole.

Kiram westchnął.

– O tym jeszcze nie zdecydowałem – oświadczył. – To znaczy Bogini Ziemi jeszcze nie zdecydowała. Choć ostatnie wydarzenia w królestwie wskazują na to, że miecz złamał topór, więc...

– A jeżeli zarówno miecz Ordów jak i topór rodu Witarion przeszłyby włócznie rodu Kelle? – Waltari oparła się o ramię mężczyzny i z ukosa popatrzyła mu w szare oczy. Ten z zakłopotaniem przecząco pokręcił głową.

– Nie... – powiedział. – Nie wezmę udziału w tej wojnie.

– Dlaczego?

– Chyba... – zamyślił się. – Zwyczajnie nie interesuje mnie wielka władza. Wolę malować, rzeźbić i...

– Stać z boku, podczas gdy inny będę kreślić losy tego świata?

– Tak, chyba tak...

– A gdyby znalazł się ktoś, kto by cię natchnął i poprowadził...? – Waltari oplotła ramiona wokół pleców mężczyzny.

– Więc z tym przybywasz, pani? Pragniesz mnie wciągnąć w krwawą wojnę...? – W głosie Kirama nie dało się nie wyczuć rozczarowania.

– Bez goryczy prowadzenia wojny nie ma słodkich

owoców zwycięstwa.

– Czyżbym nagrodę widział tuż przed sobą...? – Mężczyzna popatrzył z przyjemnością na zgrabną sylwetkę rozmówczyni.

– Zwycięstwo ma różne oblicza i różne niesie ze sobą dary. – Waltari odeszła krok do tyłu i zrzuciła z siebie okrywającą ją suknię. Okazała się pod nią naga.

– Nie powiem, kusząca propozycja... – Władca rodu Kelle wyciągnął rękę, aby dotknąć kobiecej piersi. Lecz Waltari odtrąciła jego dłoń i uczyniła kolejny krok do tyłu.

– Dlaczego...? – zapytał zbity z tropu.

– Już sięgasz po owoce zwycięstwa? Zanim chwyciłeś za oręż?

– Nie jestem uzbrojony... – oznajmił zniecierpliwiony mężczyzna i szeroko rozpostarł ramiona. Natomiast Waltari usiadła na podłodze i pokazała na pędzel.

– Mam cię... namalować? – zdumiał się Kiram.

– W ten sposób lepiej mnie poznasz. W każdym razie niektóre z moich atutów – pogładziła się po swoim ciele. – Maluj mnie – zarządziła.

– Niech będzie... – Kiram z zadowoleniem podjął wyzwanie. Przygotował świeże płótno i z zacięciem przystąpił do sporządzania aktu. Szło mu płynnie dopóki nie przechodził do malowania intymnych części kobiecego ciała. Wtedy uległ rozkojarzeniu. Wiercił się na krześle i marszczył brwi aż w końcu zrezygnowany zawyrokował:

– Nie mogę, jesteś, o pani, zbyt pociągająca, trzęsą mi się ręce...

– Więc się poddajesz?

– Tak, chyba tak, to upokarzające...

– Mówiłam ci, że potrzebujesz sojusznika, kogoś kto udzieli ci wsparcia, kogoś kto ci pomoże. – Waltari wstała i podeszła do mężczyzny, po czym odpięła mu pasek od spodni. – Lepiej? – zapytała.

– O tak... Zdecydowanie wygodniej... – Wyciągnął ku kobiecie ramię, a ona znów się cofnęła.

– I co teraz? W co gramy tym razem...? – Kiram z coraz większym trudem brał emocje na wodze.

– Pomogłam ci. Teraz sam podejmij wyzwanie i zaatakuj. Dla przyszłego zwycięstwa musimy działać wspólnie.

Zachęcony mężczyzna porwał się z miejsca, chwycił i uniósł kobietę. Posadził ją na stole i z trudem wciskał się między jej nogi.

– Wspaniała szarża – pochwaliła go. – Czy już dociera do ciebie co znaczy atakować? Co znaczy chwytać zakazany owoc dostępny tylko zwycięzcy?

– O tak! – Kiram chwycił łączywie piersi kobiety, po czym opuścił dłonie na jej nogi i starał się je rozsunąć.

– Czy zdecydujesz się sięgnąć po pełnię władzy? Zostaniesz królem?

– Królem! Tak! – siłując się, krzyczał entuzjastycznie.

– Więc zawalcz o to! – Kobieta dała sobie rozsunąć uda i Kiram wszedł w nią głęboko.

– Och! Tak! Och! – podniecał się coraz bardziej, kochając się z Waltari.

– Atakuj!

– To jest wspaniałe!

– To jeszcze nic! Poczuj rozkosz płynącą z wchodzenia na

szczyt i bycia królem!

- Dochodzę na szczyt!
- Poczuj rozkosz bycia władcą absolutnym!
- Tak! Tak!
- Poczuj to!
- To już!
- Poczuj!
- Co za obłąd!
- Poczuj!
- Czuję to! Och! Och! Och...

Po wszystkim Kiram oklapł na krzesło i ciężko dyszał.

- I jak było? – zwróciła się do niego Waltari.

- Myślałem, że kocham jedynie sztukę... Ale chyba się jednak myliłem... – posapywał. – To było niesamowite, prawdziwa ekstaza i... i pragnę jeszcze...

- Królowi niczego się nie odmawia. – Waltari zalotnie pogłaskała mężczyznę po klatce piersiowej i oschle dodała:

- Ale ty nie jesteś królem, jesteś jedynie głową rodu Kelle. – Zaczęła się ubierać.

- Więc aby cię mieć muszę zostać królem...? – jęknął Kiram.

- Tak.

- Hm... I będziesz przy mnie już zawsze, tak jak teraz...?

- Tak.

- I wspólnie zdobędziemy koronę, Tajemnico...?

- Zaprowadzę cię na nie jeden szczyt – oznajmiła namiętnie Waltari. Na co Kiram przełknął ślinę i podejrzliwie zapytał:

- A tak właściwie... Dlaczego ci tak zależy, abym ozdobił

swą głowę koroną?

– Mam ci to zdradzić? – uśmiechnęła się przebiegle na powrót ubrana w purpurę kobieta.

– W sumie... tak, poproszę.

– Nie mogę.

– A to czemu?

– Nie zapomniałeś o czymś?

– O czym?

– Przecież jestem Tajemnicą...

XI. RUCH OPORU

Drogę do pierwszego pierścienia światła Ern przebył szczęśliwie. Posiadał świadomość, że kradzież krwi dzieci światła i mroku mogła wiązać się z odwetem ze strony lorda Dagotha. Lecz ze względu na swoją moc, krew ta mogła się okazać w przyszłości bezcenna. Ponadto podczas pobytu w twierdzy Dagothar odniósł wrażenie, że jego matkę oraz lorda łączyła specyficzna więź. Pragnął przez to wierzyć, że w razie kłopotów Furstia wstawi się za swoim synem. I jak do tej pory nic nie wskazywało na to, aby tropem Erna podążali mroczni mściciele.

Natomiast w drugim pierścieniu światła, już na ziemiach Cesarstwa, Ern zdecydował się wyjść z ukrycia. Okazało się, że ruch oporu wobec Alifa dogorywał i trzeba było szybko porwać tłumy, aby przeciwstawić się wszechwładzy proroka.

Początkowo sprawy przybrały korzystny obrót. Na wieść o cudownym pojawieniu się cesarza do drugiego pierścienia światła napływały tłumy ochotników gotowych wesprzeć zbrojnie starania Erna o odzyskanie cesarskiego tronu. Praktycznie bez walki oddziały wyzwolenicze zajęły trzy z dziewięciu dystryktów Cesarstwa.

I wtedy nadszedł niespodziewany cios. Alif uzyskał potężnego sprzymierzeńca w postaci Zakonu Światła. Osiemnaście tysięcy zbrojnych zakonniczek wkroczyło na cesarskie ziemie i wspierane przez trzy tysiące zbrojnych Alifa ruszyło

zakończyć rebelię. Sytuacja stała się krytyczna.

Obecnie Ern w otoczeniu oficerów i zaufanego Markapa znajdował się na terenie obozu wojskowego w swoim namiocie. Zasepiony przyglądał się mapie Cesarstwa z zaznaczonymi pozycjami oddziałów wojskowych, zamkami i miastami. Przy czym czerwone figurki na mapie oznaczały jednostki cesarskie, zaś białe wojska wrogich sprzymierzeńców.

Naraz wszedł do namiotu goniec i wręczył Markapowi meldunek. Zaufany Erna przeczytał uważnie notatkę, marszcząc przy tym brwi, po czym skoncentrował się na fragmencie mapy z trzecim pierścieniem światła. Z zaznaczonej twierdzy wyjął czerwoną chorągiewkę i na jej miejsce wbił białą. Kolejny biały punkt pojawił się na namalowanej na mapie rzece, a ściślej wiodącym przez nią moście.

W namiocie rozległo się złowrogie pomrukiwanie. Na jego tle głos zabrał Markap:

– Odwrót na całej linii stał się faktem. Ponadto odnotowaliśmy pierwsze próby dezercji z naszych oddziałów.

– A nowi rekruci? – zapytał z nadzieją Ern.

– Ich napływ się skończył, zupełnie jakby wieść o przyłączeniu się do wojny Zakonu zakreśliła kurek z ludzkim potokiem.

– Fatalnie... – zafrasował się Ern.

– I co dalej, Wasza Wysokość?

– Mamy bardzo poważny problem... Widać, że ludzie boją się militarnej potęgi Zakonu oraz tego, że po jego stronie stoi Bogini Światła. Do tego są zmęczeni kolejną wojną. I jeżeli nie widzą szans na szybkie rozstrzygnięcie wolą po prostu

przyglądać się z boku.

– To wszystko prawda, Wasza Wysokość.

– Ano prawdą jest, że ludzie po prostu poprą zwycięzcę...

– Ern ciężko oparł się na stole. – Ilu mamy obecnie ludzi? – zapytał.

– Około jedenastu tysięcy. Połowę tego co wrogowie.

– Mamy czym opłacić żołd?

– Do tej pory płaciliśmy obietnicą zapłaty i wielkiej chwały.

Nic się w tym względzie nie zmieniło.

– A Artowie, a klany... Nie wiem, wilków? Niedźwiedzi?!

– Zdesperowany Ern uderzył pięścią w stół.

– Artowie i klan wilków pograżyli się w wojnie między sobą, co akurat stanowi nienajgorszą wiadomość.

– A to czemu?

– Przynajmniej nie grozi nam cios w plecy.

Ern opadł zrezygnowany na krzesło i spoglądając na mapę, zamyślił się. Przesunął wzrok na graniczące z Cesarstwem Królestwo Borgin i dalej na Królestwo Malgun, po czym smętnie zawyrokował:

– Niech wszyscy... Powtarzam, niech wszyscy oficerowie opuszczą namiot, natychmiast. Markap, ty jako jedyny zostajesz.

Gdy mężczyźni zostali sami ponownie odezwał się Ern:

– Skoro Alif uzyskał potężnego sojusznika nie pozostaje nam nic innego jak iść tym samym tropem.

– Niech zgadnę, masz na myśli sojusz z Królestwem Malgun, Wasza Wysokość?

Ern ponownie uderzył pięścią w stół i tym razem krzyknął z entuzjazmem:

– Nie inaczej, wejdziemy w sojusz z wdową Umbrią!

Twarz Markapa przybrała kwaśny wyraz.

– Nie zdążymy... – oznajmił jęklwie. – Zanim zakończą się negocjacje i dojdzie do interwencji zbrojnej Królestwa Malgun, Zakon zetrze nas z powierzchni ziemi.

– Myślisz, że o tym nie pomyślałem? – Uśmiechnął się kąśliwie cesarz.

– Więc? – Markap spojrzał na niego pytająco.

– Otóż wszystko czego teraz potrzebujemy, to osłabić i spowolnić wroga. A jak można to uczynić...?

– Nie mam pojęcia, Wasza Wysokość.

– Odpowiedź kryje się w Królestwie Borgin! – wypalił triumfalnie Ern i wskazał na fragment mapy. Na co Markap wyraził swoją wątpliwość:

– W Królestwie Borgin kryje się co najwyżej ognisko czerwonej zarazy.

– Aha! – podchwycił Ern.

– Masz na myśli, Wasza Wysokość, aby... – Markap zanieმოmówił.

– Wiem, że to pomysł godny mrocznego demona, ale nie mamy innego wyjścia. – Cesarz wykonał zamaszysty ruch ręką, jakby odganiał się od chmary latających insektów i kontynuował: – Zbierzemy z Królestwa Borgin wozy pełne chorych, umierających ludzi. W Cesarstwie zabijemy ich, aby... skrócić ich męki... – Ern skrzywił się na twarzy i z zakłopotaniem podrapał po karku. – Następnie wydamy Zakonowi małą bitwę i na pole walki podrzucimy zarażone trupy. Zarządzimy odwrót, a nasi wrogowie wezmą się za grabież poległych. W obozie naszych przeciwników niewątpliwie wy-

buchnie epidemia, to pewne.

– Więc mamy być jak hycle? – zapytał z odrazą Markap. – Mamy chwycić w Królestwie Borgin chorych ludzi, jak psy, a potem mordować ich z zimną krwią? – Popatrzył z boleścią na Erna. Ten odpowiedział mu równie cierpiętniczym spojrzeniem.

– Nie musisz brać w tym udziału – odparł. – Postaram się znaleźć na twoje miejsce odpowiednich ludzi. Takich, którzy nie będą mieli skrupułów, jeżeli im odpowiednio zapłacę. Ale to jedyne wyjście. Inaczej już dziś możemy rozwiązać nasze wojsko i ogłosić kapitulację. A drugiej szansy nie będzie.

– Wykonam rozkaz, Wasza Wysokość...

XII. OSACZONY

Alif uniósł rękę, po czym gwałtownie ją opuścił. Trzy topory opadły na karki trzech więźniów. Stalowe ostrza z łatwością przedarły się przez kręgosłupy, mięśnie oraz ścięgna i wbiły w drewniane pniaki.

Prorok popatrzył z niesmakiem na efekt egzekucji w postaci zbiorowej dekapitacji. Powiódł wzrokiem za głowami, toczącymi się po podeście niczym kule do gry w kręgle. Z obrzydzeniem zerknął na krew ściekającą z pniaków, jak deszczówka z rynny. Następnie wytarł dłonie w białą chustkę, która pozostała nieskazitelnie czysta i niespiesznie zaczął opuszczać miejsce kaźni, którym był pomniejszy plac cesarskiej stolicy.

Naraz przystanął, gdy za jego plecami rozległo się donośne buczenie nielicznych zgromadzonych na placu gapiów. Szepnął coś do dowódcy swojej osobistej gwardii i udał się dalej. Odprowadzał go odgłos krzyków i wrzasków właśnie aresztowanych buntowników, którzy śmieli nie wykazać entuzjazmu dla ścięcia trzech domniemych, cesarskich szpiegów.

Niedługo czas potem, podczas obiadu, Alif zasiadł w wykwintnej sali w towarzystwie testerów żywności. Bowiem wszystko, co trafiało na talerz proroka musiało przejść stosowną próbę. Mianowicie zostać uszczknięte przez kogoś, kto udowodni własnym przeżyciem, że potrawa nie jest za-

truta. Dodatkowo wszystkie sztuce na stole były drewniane, aby nie doszło za ich sprawą do spodziewanego zamachu.

I była to tylko część środków bezpieczeństwa, jakie Alif przedsięwziął, aby ochraniać swoje tak drogocenne życie. Zaś wśród jego ulubionych metod była natychmiastowa eks-terminacja ludzi podejrzanych o zamiar targnięcia się na jego osobę.

Tą drogą systematycznie pozbywał się on ze swego otoczenia zarówno mniej, jak i bardziej zaufanych współpracowników, czy też przedstawicieli zwykłego motłochu. Absolutnie nikt w jego obecności nie mógł się czuć bezpiecznie.

Co prawda skromne wojska Alifa zostały wparte militarną potęgą Zakonu Światła i ruch oporu wydawał się dogorywać. Jednak w przekonaniu proroka w żadnym razie nie umniejszało to groźby porwania się na jego życie. A wręcz przeciwnie, spodziewał się wymierzonego w siebie desperackiego ataku.

XIII. PRZEKLĘTA RUBIEŻ

W końcu para osób na wężowym skalencie szczęśliwie opuściła nieprzyjazną krainę Xarantis i w trzecim pierścieniu światła dotarła do Przekłętej Rubieży. Krajobraz zmienił się, ustąpiły mgły i podróżnikom ukazała się bezkresna, jałowa równina pozbawiona drzew i bujniejszej roślinności.

Wszechobecna, wymarła pustka odpowiednio koresponowała ze stanem umysłu Sageona. Dusił on w sobie każdą powstałą myśl, ponieważ każda wydawała się zasnuta mrokiem. Wciąż nie pogodził się z odejściem Barbet i już dotarło do niego, że ta zadra na zawsze pozostanie w jego sercu, czyniąc w nim otwartą ranę.

Tak, świat nie był sprawiedliwym miejscem i żadne, nawet najszlachetniejsze czyny nie zmieniały go w świetlistą krainę. Sageon wiedział to od dawna, ale utrata młodej Barbet przypominała mu o tym zbyt często i nazbyt boleśnie.

Zaś u boku cynicznej Orsis momentami w ogóle wręcz wątpił, czy w świecie można było coś zmienić na lepsze. A co za tym szło, czy naznaczona zagadkami życiowa misja Sageona, poprowadzenia światła w mrok, nie mijała się z celem.

Świadom był jednak, że poza tą nadzieją, że dokona czegoś dla innych istot, nie miał w sobie dosłownie nic. I gdyby wyzbył się pragnienia niesienia pomocy pozostałaby z niego tylko wypalona skorupa. Starał się więc tłumaczyć w sobie wszystkie wątpliwości i nie myśleć o niczym. Trwać

wiernie u boku Orsis z wiarą, aż zgodnie z przepowiednią ta nieokrzesana kobieta wskaże mu wreszcie właściwą drogę.

– Ta kraina, Przekłeta Rubież, trochę przypomina Does – przerwała ciszę Orsis. Na co Sageon odezwał się ponuro:

– Jak sama nazwa wskazuje to przekłete miejsce.

– Wolisz więc byśmy zawrócili, abym znowu musiała cię bronić? – docięła kobieta. Wojownik tradycyjnie nie dał się sprowokować i spokojnie odparł:

– Oczywiście, że możemy wrócić, tylko oddaj mi swoją broń.

– Ha! To nie byłaby uczciwa wymiana. Mój oręż okazał się magiczny, za to twój, to kupa rdzewiejącego żelastwa!

– Barbet... miała najwyraźniej rację, co do świetlanego mroku. To niezwykła broń. Dosłownie starła gadzie istoty na proch.

– A jedną, nazbyt wyrośniętą, podpaliła, ha! Przyznaję, że sama byłam zaskoczona, a rzadko mi się to zdarza.

– Tu także spodziewamy się niespodzianek? – Sageon z podejrzliwością rozejrzał się po wymarłej przestrzeni.

– Dotarliśmy na Przekłętą Rubież. Jak sam zauważyłeś nazwa jest dość wymowna.

– Czy piastunka straszyla cię legendami także o tej krainie?

– Nie inaczej.

– Zatem chętnie posłucham.

– Więc mamy tu amatora przerażających historii? Lubisz się bać? – Orsis z politowaniem się uśmiechnęła.

– Raczej wolałbym wiedzieć jakiego zagrożenia możemy się spodziewać.

- Obecnie, mam nadzieję, żadnego.
- A w zmierzchłych czasach?
- Wracamy do drugiej ery. Ponoć wtedy snuły się tu mroczne mgły, w których podążały rasy demonów.
- Mroczne mgły... – zadumał się Sageon. – Słyszałem o nich w wolnych miastach. Zdaje się powstały w wyniku klątwy mrocznych istot zesłanej na ludzi światła...
- Piastunka twierdziła inaczej.
- Co mianowicie?
- Opowiadała, że w drugiej erze to właśnie na Przekłętej Rubieży rozegrała się ostateczna bitwa pomiędzy połączonymi siłami światła oraz mroku, a gadzimi plemionami. Zaś mroczne mgły były tajną bronią wspomnianych plemion. Według piastunki zabici, gadzi przywódcy, odradzali się w ciemnej mgle, już jako demony i walczyli dalej.
- Tracili fizyczną postać?
- W mrocznej mgle mogą podobno się transformować.
- W jakim celu?
- Ponoć stają się potężniejsi i zabijanie przychodzi im z większą łatwością, gdy przybierają fizyczną formę. Lecz jednocześnie ich samych można wtedy ostatecznie zniszczyć.
- Twoja piastunka знаła się na rzeczy... – Sageon rozejrzał się z respektem po okolicy, zupełnie jakby spodziewał się zobaczyć nagle powstałą armię demonów.
- Kiedy inne dzieciaki uciekały z krzykiem, albo chowały się pod kołdrę, ja śmiałam się i prosiłam piastunkę o jeszcze straszniejszą opowieść. – W głosie Orsis pobrzmiiała nostalgiczna nuta. Sageon wychwycił to i zapytał:
- Tęsknisz czasem za domem, dawnymi czasami...?

– Nawet tego ze mną nie próbuj – syknęła kobieta.
– Czego? – obruszył się.
– Naciągać mnie na kliwie wspominki o ciepłku domowego ogniska.

– Więc było źle?

– Przede wszystkim, było. – Orsis silnie zaakcentowała ostatnie słowo. – To przeszłość, za którą zatrzęsnęłam drzwi. W małym pokoiku mojego umysłu zatrzęsnęłam za drzwiami wszystkie demony przeszłości i nie pozwolę się im wydostać, nigdy.

– W porządku... – odparł pojednawczo Sageon i się zadumał. Przypomniawszy sobie o własnym dzieciństwie tak daleko stąd i tak dawno, że wspomnienia te wydały się prawie nierealne. W głowie rozbrzmiały mu słowa wieszczki, które swego czasu wyrwały go z rodzinnego domu na wieczną tułaczkę: „twoim przeznaczeniem Sageonie jest zanieść światło w mrok. Aby temu podołać udaj się do dalekiej krainy Dore. Tam spotkasz półkobietę o naturze pijawki, która wskaże ci drogę”.

Wojownik zwrócił myśli ku wspomnianej w przepowiedni półkobiecie. Mimo, że Orsis nie podzielała jego idei niesienia pomocy innym nie przeszkadzało mu to. Poznał ją już na tyle dobrze, że nie dostrzegał w niej zła, osoby z którą chciałby skrzyżować oręż. Do pewnego stopnia wybaczył jej nawet porzucenie na tratwie Barbet na rzecz Danena. Czego by nie mówiła o podszeptach jej świetlistej i mrocznej połowy tam, na rzece, i tak musiała poświęcić jedno ludzkie życie.

Poświęcenie – zamyślił się mocniej i spojrzał na własne istnienie. Ponownie utwierdził się w przekonaniu, że on po-

święci swoje do końca, aby dokonało się to, co mu przepowiedziano – zaprowadzi światło w mrok, ponad wszystko.

– Gotowy poświęcić swe życie? – odezwała się drwiąco Orisi, jakby czytając w myślach Sageona. Ten niczym zbudzony ze snu rozejrzał się i zamarł. Na horyzoncie zauważył snującą się ciemną mgłę.

– Czy to... jest...? – zająknął się.

– Chcesz sprawdzić?

– Nie – odparł zdecydowanie. – Zawróć natychmiast.

– To nic nie da.

– Jak to? – Mężczyzna gwałtownie się obrócił i wszędzie nisko nad ziemią dostrzegł ciemne obłoki, dzielące się, to łączące razem.

– Nie przeslizgniemy się dołem, górą też nie – zawyrokowała Orsis.

– Spróbujemy pomiędzy obłokami?

– Tak. I cokolwiek nie miałoby się z nich wyłonić, bądź gotowy! Kobieta wysunęła grot świetlanego mroku przed łeb lecącego skalenta. Sageon poszedł za jej wskazaniem i obnażył ostrze swojego miecza. Przyjrzał się swojemu odbiciu na połyskującej klindze i wykonał kilka wymachów.

– Koniec rozgrzewki! – rzuciła hardo Orsis. – Wlatujemy w najbliższą lukę. No dalej, jaszczurko! – pogoniła lecące zwierzę. Pomknęło ono pomiędzy ciemnymi obłokami. Gdy naraz te zeszyły się ze sobą, pochłaniając węzowego skalenta.

Sageon rozejrzał się po zatopionym w szarej mgle otoczeniu i nagle doznał wrażenia, jakby znalazł się w innym świecie. Mijana wcześniej bladozielona trawa była tu szara, sucha i martwa. Ziemia zaś pokryta niezliczonymi szkiele-

tami ludzi, zwierząt i innych istot. Nie rozbrzmiewały tu żadne dźwięki. Panowała przytłaczająca, martwa cisza.

Wtem ciemne obłoki się rozstały i węzowy skalent kontynuował lot w uprzednim krajobrazie.

– To była mroczna mgła?! – krzyknął oszołomiony Sageon.

– Jej przedsmak! – wrzasnęła Orsis.

– Co masz na myśli?!

– One w niej są! I nie dadzą nam spokojnie przelecieć!

– We mgle?! Kto niby w niej jest?!

– Demony! Wyczuwam je!

Wtem ciemne chmury ponownie wchłonęły podróżników na węzowym skalencie. Sageon przedarł się wzrokiem przez szarą mgłę i dostrzegł w niej powietrzne wiry. Sunęły one z zawrotną prędkością w stronę węzowego skalenta, osaczając go. A im bliżej niego się znajdowały tym wyraźniejsze ukazywały swoje oblicze. Dziesiątki splecionych ze sobą niemal przezroczystych rąk, szponów i głów różnych istot, a wszystko to wirujące z wielką szybkością.

Orisis odwrócił się do Sageona i wydawało się, że krzyczy. Ale w przestrzeni nie rozchodziły się żadne dźwięki, widoczne były jedynie ruchy ust.

Naraz tuż przed Sageonem wir fantomowych ciał przybrał postać gadziego potwora z krwi i kości, po czym zamachnął się na wojownika szponiastą łapą. Zanim ta zadała cios, Orsis odcięła ją klingą świetlanego mroku. Zranione monstrum powróciło do fantomowej postaci, a wir z jego splecionych ciał się oddalił. Jednocześnie inne, podobne jemu byty, nadal podążały za węzowym skalentem. Ten znów wyskoczył

z mrocznej mgły. Z tą chwilą do uszu Sageona wlał się dziki wrzask Orsis.

– Walcz! Oślaniaj naszą jaszczurkę! Jeżeli ją zranią! To po nas!

I krajobraz ponownie przybrał postać cmentarzyska pełnego bielejących kości. Na szczęście Sageonowi minął już pierwszy szok po kontakcie z nowym, niezwykłym przeciwnikiem. Uniósł nad głowę miecz i gdy tylko tajemnicze wiry znajdowały się w jego zasięgu i przybierały fizyczną postać gadzich potworów, ciął je celnie odrąbując kawałki ich ciał.

Wespół z Orsis skutecznie odganiał się od przeciwników. Aż w pewnym momencie pojawił się na horyzoncie wir, który swoim rozmiarem górował nad wszystkimi innymi, a dodatkowo płonął. Za nim pojawiły się jeszcze potężniejsze byty, z których dla odmiany strzelały błyskawice. Te niespotykane twory zbliżały się z niesamowitą prędkością do węzowego skalenta. Gdy ten raptem wyleciał z czerniejącego wręcz obłoku i pozostawił go za sobą.

Przestrzeń oczyściła się z ciemnych mgieł, a wyczerpani podróżnicy kontynuowali już spokojny lot nad ziemią.

XIV. JUŻ CZAS

- Legendy Mroku.
- Rozdział dwudziesty piąty.
- Zabijcie mnie, po prostu mnie, kurwa, zabijcie, nie torturujcie dalej, błagam... – histeryzowała Barbet, raz po raz uderzając głową w poduszkę. Niezrażone mroczne kapłanki kontynuowały:
 - Młodziutka, drobniutka i subtelna czarodziejka.
 - Tak, wręcz bardzo młodziutka i bardzo subtelna.
 - Tak i drobniutka.
 - Oczywiście i czarodziejka.
 - Spotyka na swojej drodze mrocznego lorda
 - Nieziemsko mrocznego lorda.
 - Tak, jest bogaty, wysoki i umięśniony.
 - O tak, jest bardzo bogaty i bardzo wysoki.
 - Oczywiście i doskonale umięśniony.
 - Tak, jak to mroczy lord, oczywiście.
 - I rozpala się między nimi wielkie uczucie.
 - Naturalnie wręcz płoną ogniem namiętności.
 - A wielki, bogaty, mroczny lord.
 - Tak, ten umięśniony.
 - Ma wielkiego, wręcz olbrzymiego.
 - O tak po prostu gigantycznego.
 - Nie! – zawyła rozpaczliwie Barbet i podskoczył niemal pod sufit, po czym spadła na nogi. Przyjęła wyzywającą po-

stawę i bezczelnie się wydarła: – Mam dość! Wy chyba same piszecie te jebane, mroczne romansidla! I... co za fantazja! Ja pierdolę! Te same ckliwe teksty słyszałam od nastoletnich koleżanek w zakonnej szkole! On, kurwa, nieziemsko bogaty stanowi ucieleśnienie męskości i dzikości. Ona chodząca niewinność, śliczna jak kwiatuszek, malutka, drobna i wprost... Kurwa! Mam dość! Dość! Dość! – Barbet zastygła w napięciu i czekała na reakcję mrocznych kapłanek. Te, jakby lekko speszzone, po chwili się odezwały:

- Same piszemy.
- Oczywiście, że samodzielnie.
- Lecz opieramy się na sprawdzonych wzorcach.
- Tak, literackich kanonach.
- Wszystkie idiotki kochają twardzieli.
- A głupich jest bez liku tak, że ich nie zliczysz.
- Inaczej dla kogo mamy pisać?
- Właśnie za mało słuchaczy i czytelników.
- Mam to wszystko w dupie! Rozumiecie?! Mam to wszystko w mojej mrocznej dupie! Możecie mi nawet przeschępić zamiast gardła waginę mrocznej wiewiórki! Sram na to! Bylebym tylko nie musiała was więcej słuchać! Rozumiecie?! Wy pizdy!
- Nie będzie musiała słuchać.
- Tak, w każdym razie nie nieustannie.
- Widzimy ozdrowieńczą siłę.
- No, proszę, stanęła na nogi, cóż za poprawa.
- Kuracja poskutkowała.
- Zabiegi udane.
- Zatem nasz brat już czeka.

- Tak musi się do niego udać.
- On wskaże drogę.
- Oczywiście, tę do świetlistego serca.
- Dziewczyna niech idzie.
- Naturalnie, nie można jej zatrzymywać.
- Więc... Naprawdę mogę odejść...? – wyszeptała słodko niczym ptaszyna Barbet, nie dowierzając w swoje szczęście.
- Tak, otrzyma mapę.
- Dokładnie z zaznaczoną wyspą.
- Tam mieszka nasz brat.
- Braciszek, Oko, które Patrzy.
- Oko, które Patrzy... – powtórzyła niepewnie Barbet.
- O tak, spogląda na jasną stronę świata.
- Tak, tę świetlistą.
- Ale to sprytna bestia.
- Oczywiście, bardzo przebiegła.
- Odnajdzie sposób, aby zajrzeć w mrok.
- Dokładnie, spojrzysz weń i odnajdzie tam dziecko.
- Te świetliste.
- Tak, nie inaczej.
- Mogę wyruszyć choćby natychmiast! – wrzasnęła z entuzjazmem Barbet i znowu podskoczyła do góry, tym razem wczepiając się w sufit.
- Stała się zręczna.
- O tak, niebywale.
- To zwiększy szansę na powodzenie misji.
- Tak, jak najbardziej.
- A zatem otwarte wrota, tratwa i mapa.
- To będą nasze dary.

- Do tego habit.
- Ubranie w czarnym kolorze.
- Nie może iść naga, to nieprzyzwoite.
- Wręcz obsceniczne, tak jej nie puścimy.
- Mogłyśmy jej wszyć więcej futra.
- Oczywiście, a nawet skórę mrocznej jaszczurki.
- Dość! – zawyła rozpaczliwie Barbet. – Muszę stąd wyjść,
w czymkolwiek, byle natychmiast!

XV. PROROCTWO

Trzon armii Kardanoru pod dowództwem samego króla Orafa zszedł z gór i ruszył do serca Imperium Agaszika. Natomiast lekka konnica górskiego królestwa, która ostatecznie nie otrzymała wsparcia golemów, dostała rozkaz nękania wroga na północnych połaciach jego ziem.

Tymczasem po zdobyciu Dakkisz osoba Gishy przestała stanowić jedynie intrygującą ciekawostkę. Niepozorna dziewczyna sprawiła, że wysłane do boju lekkie chorągwie Kardanoru kroczyły od zwycięstwa do zwycięstwa, nie ponosząc żadnych strat. Dlatego, gdy Gisha poprosiła o prawo odbicia wyprawy do Kryształowej Świątyni nikt nie śmiał się sprzeciwić. Za towarzysza podróży wybrała sobie Wirona. On z kolei dokooptował na wyprawę eskortę w postaci dwunastu jeźdźców.

I tak ruszyli do piątego pierścienia światła przez gorące, słabo zaludnione, równinne tereny. Przez całą drogę sprzyjało im szczęście: zarówno dobra pogoda jak i brak napotkanych patroli wroga.

Po dziewięciu cyklach snu dotarli do Świątyni Światła. Jako, że żaden mężczyzna nie mógł przekroczyć progu Kryształowej Świątyni, Wiron i jego ludzie rozłożyli obozowisko nad brzegiem jeziora Amadest i tam oczekiwali na powrót Gishy.

Ona sama właśnie przebyła na piechotę długi most i trzy

razy uderzyła kołatką w kryształową bramę. Wrota otworzyły się i ku dziewczynie wyszły uzbrojone zakonnice. Gisha bez słowa pokazała im pierścień światła na swoim palcu. Na co kobiety wskazały jej drogę za sobą, zupełnie jakby spodziewały się tej wizyty.

Chwilę potem Gisha stanęła na otoczonej poręczami szerokiej platformie. Dwie potężnie zbudowane kapłanki chwyciły za znaczących rozmiarów korbę i z mozołem zaczęły nią kręcić. Mechanizm został wprowadzony w ruch i platforma z Gishą ruszyła powoli do góry.

Na najwyższym piętrze dziewczyna udała się kryształowym korytarzem prosto do sali narad. Samodzielnie rozchyliła wrota i znalazła się w znanej sobie komnacie. Poczowała się naprawdę dziwnie, gdy dostrzegła naprzeciw siebie dziewięciokątny stół, a wokół niego osiem najwyższych kapłanek w złocistych szatach. Wszystkie miały zdjęte kaptury, jednak zgodnie z przewidywaniami żadna z twarzy nie wyglądała znajomo.

Kobiety skłoniły się równocześnie, jakby witały spodziewanego gościa i cały czas trwały w ciszy. W końcu odezwała się Gisha:

– Jest wśród was najwyższa z dziewięciu, czy też wszystkie jesteście sobie równe, siostry?

– Ty jesteś najwyższą z dziewięciu – odparły zgodnie.

– Ja...? Ja nią jestem...? – zająknęła się dziewczyna, nie mogąc ukryć zdumienia. Kobiety zaś odezwały się kolejno:

– Ty nią jesteś.

– Czekaliśmy na ciebie.

– Wszystko wypełniłyśmy tak jak zostało przepowiedziane.

– Dziecko światła złożono w ofierze.
– Mrok osłabił Imperium.
– Królestwo Kardanor i Królestwo Sybilli ruszyły zadać ostateczny cios władcy Agaszika.

– Tylko... – Ostatnia z kobiet zawiesiła głos, po czym zapytała z podejrzliwością: – Dlaczego nie jesteś Świetlistym Promykiem...? Dlaczego wbrew przepowiedni wsparłaś Kardanor...?

I najwyższe kapłanki ponownie przemówiły jedna po drugiej:

- Dlaczego?
- Dlaczego?
- Nie jesteś Świetlistym Promykiem?
- Nie jesteś Świetlistym Promykiem?
- Więc kim?
- Więc kim?
- Odpowiedz.
- Daj nam odpowiedź.

Kompletnie zaskoczona takim powitaniem Gisha przeczuwała, że nie znajdzie odpowiedzi, która zadowoliłaby najwyższe kapłanki. Sama zamierzała spotkać się z zakonniczkami, aby otrzymać wyjaśnienia i wsparcie. Lecz miała coraz silniejsze przeczucie, że te kobiety się jej obawiały. Przedstawiły jej spełniające się proroctwo, które znała z opowiadań matki. Jednak jedynym elementem, który zawiódł w przepowiedni było zachowanie samej Gishy. Czyżby czyniła na przekór swemu przeznaczeniu? A jeżeli tak rzeczywiście było, to w Świątyni Światła nie mogło jej czekać nic dobrego. Uświadomiwszy to sobie, wszystko w niej aż krzyczało, aby stąd uciekać.

Naraz kobiety podniosły głos, w którym rozbrzmiała wyraźna nuta gniewu:

- Ty nie jesteś Świetlistym Promykiem!
- Nie jesteś Świetlistym Promykiem!
- Oszukałaś czas!
- Oszukałaś czas! Chcesz oszukać i nas!
- Bądź przeklęta!
- Przeklęta!
- Zdrajczyni!
- Zdrajczyni!

Gisha okręciła się na pięcie, otworzyła drzwi komnaty i pognała co sił z powrotem. Dopadła do schodów wiodących na dół, lecz dwie strażniczki zagrodziły jej drogę skrzyżowanymi włóczniami. Dziewczyna obróciła się i pobiegła na platformę, po czym szarpnęła za linkę zakończoną dzwonkiem. Na parterze świątyni rozległ się dźwięk, nakazujący zakonnikom przy korbie opuścić pomost.

Wtem ktoś szarpnął Gishę za ramię, w ostatniej chwili ściągając ją z platformy, która runęła w dół. Przerażona dziewczyna spojrzała na swoją wybawczynię w zakonnych szatach przewiazaną w pasie szarym sznurem. Zanim Gisha zdołała wydusić z siebie choćby słowo, zaatakowały ją strażniczki, wcześniej zagradzające drogę po schodach. W mgnieniu oka padły one martwe na kryształową podłogę zasztyletowane przez niedawną wybawczynię Gishy.

Uzbrojona w sztylety kobieta pobiegła po spiralnych schodach na dół, a ocalona dziewczyna w ślad za nią. Co kilka kondygnacji ktoś stawał im na drodze i ginął od ciosów sztyletem.

Na samym dole uciekinierki stanęły naprzeciw zamkniętej bramy i kilkunastu uzbrojonych strażniczek. Wybawicielka Gishy wskazała jej okno na wyższym poziomie i pchnęła ją w tym kierunku. Następnie ruszyła na przeciwniczki.

– Kim jesteś?! – krzyknęła za nią rozpaczliwie dziewczyna.

– Jestem po to by służyć – padła odpowiedź. Kobieta uniosła sztylety i rzuciła się w wir walki.

W tym czasie Gisha wbiegła na pierwsze piętro i otworzyła okno. Stała na parapecie, nabrała powietrza do płuc, po czym skoczyła. Jej ciało z gracją zanurzyło się w wodną toń jeziora Amadest, którą przeszło także kilka strzał. Szybko przebijając kończynami, dziewczyna oddalała się zarówno od świątyni, jak i powierzchni wody. Jednocześnie w głowie układała sobie dalszy plan ucieczki.

Gdy na moment wynurzyła się, aby zaczerpnąć tchu, znowu wystrzelono w jej stronę salwę strzał. Jednak Gisha zdążyła się rozejrzeć ponad powierzchnią i teraz była już pewna, że zmierzała we właściwym kierunku. Zanurkowała by niebawem wyjść na brzeg w miejscu, gdzie obozował Wiron z jeźdźcami. Padła wyczerpana w ramiona znanego sobie młodzieńca.

– Uciekajmy... – wyszeptała tylko.

Niedługi czas potem gнали co sił na rumakach drogą, którą dopiero co przemierzili.

W końcu konie musiały odpocząć. Uciekinierzy zatrzymali się na krótki postój na otwartym terenie, aby ewentualny pościg nie umknął ich uwadze.

Gisha usiadła na płaskim kamieniu i z niepokojem lustrowała horyzont. Wiron przysiadł się do niej i wręczył jej ka-

wałek słodkiego ciasta, nabytek od mijanych w poprzednim cyklu snu wieśniaków.

– Nie jestem głodna – odparła dziewczyna, ale przyjęła poczęstunek i zaczęła jeść. Choć myślami cały czas wydawała się być daleko stąd.

– Rozumiem, że sprawy w Świątyni Światła nie potoczyły się za dobrze? – Wiron odezwał się po raz pierwszy od rozpoczęcia ucieczki.

– Wszystko poszło bardzo źle. One chciały mnie zabić.

– Kto? Najwyższe kapłanki?

– Tak.

– Każda z dziewięciu? – niedowierzał młodzieniec.

– Każda z ośmiu – poprawiła Gisha.

– Ha! Więc przynajmniej dziewiąta stanęła w twojej obronie!

– Ja jestem dziewiątą... – Dziewczyna pokazała połyskujący w świetle pierścień.

– Zaraz... Przecież mówiłaś, że nie pochodzisz z tego czasu... – wyraził swoją wątpliwość Wiron.

– Wygląda na to, że przynależę do dwóch czasów. A w obecnym coś poszło nie tak.

– Co i dlaczego?

– Najwyższe kapłanki mówiły o prorocестве, które wypełniało się aż do mojego przybycia. Od tej pory sprawy się skomplikowały. Okazało się, że nie jestem tą, na którą czekały... To znaczy jestem, ale nie działam po ich myśli i one mają świadomość, że obiecana im w przepowiedni władza może im się wymknąć.

– Więc mam rozumieć, że świętym siostrom popsulaś szyki?

– Na to wygląda i wierz mi, nie są tym zachwycone. – Dziewczyna uniosła suknię, ukazując krwawą szramę na udzie: dzieło wystrzelonej w nią strzały.

– W takim układzie przynajmniej wiesz, od kogo wypada trzymać się z daleka – podsumował Wiron i ostrzegawczo dodał: – Choć zaczynasz przysparzać sobie wielu wrogów: Imperium, Zakon Światła, te wszystkie piękne niewiasty, zazdroszczące ci urody... – Ukradkiem zerkał na udo Gishy, którego nie zasłoniła na powrót suknią.

– Ale na ciebie mogę liczyć, prawda...? – zapytała nieśmiało dziewczyna i spojrzała Wironowi głęboko w oczy. Ten uśmiechnął się szeroko i radośnie oznajmił:

– Moje serce i topór należą o ciebie, pani!

– Nawet po tych wszystkich okrucieństwach, jakich dokonałam...? – Dziewczyna przybrała bolesciwą minę. – Po tym, co uczyniłam w imperialnym obozie i potem w Dakkisz, kiedy myślałam, że już nikogo nie skrzywdzę...?

– Tam w Dakkisz, byłem tego światkiem... To było dziwne, wiesz, jakby cię coś opętało. A później znowu byłaś sobą...

– Czułam to tak samo... Jakby zawładnęło mną jakieś mroczne zło...

– Czy w twoim pierwotnym świecie też ci się coś takiego zdarzało?

– Nie, nigdy...

– Więc może te, nazwijmy je opętania, mają związek z tym, że wspomniana przepowiednia teraz się nie wypełnia?

– Ale dlaczego sprawy potoczyły się inaczej?

– Być może jakąś odpowiedź znajdziemy w Azzarisz.

– To miasto?

– Tak. To imperialne miasto-twierdza w trzecim pierścieniu światła. Znajduje się tam wielkie archiwum. Nieprzeliczona ilość ksiąg, zapisków i prorocstw. Podobno jeżeli o czymś nie napisano w archiwach Azzarisz to nie istnieje.

– Możemy się tam dostać? – zapytała z nadzieją Gisha.

– Tak, ale jedynie za sprawą brutalnej siły. Armia, do której powracamy ma zająć pewną miejscinę. Potem oblegamy właśnie Azzarisz.

Podniesiona na duchu dziewczyna pocałowała Wirona w policzek i oznajmiła:

– Dziękuję ci.

– Za co? – udał zaskoczenie.

– Za wszystko. – Na drugim policzkuложиła mu kolejnego całusa.

XVI. PRAGNIENIA

Kati stała przy kuchennym stole i w zamyśleniu drobno kroїła warzywa. Ostry nóż w jej ręku raz po raz wykonywał zdecydowane, szybkie i precyzyjne ruchy. Jednak dla odmiany myśli kobiety były chaotyczne i nieuporządkowane. Niektóre z nich odganiała niczym natrętnie owady.

Na przykład wspomnienia dręczących ją snów. Kiedyś nieustannie prześladowało ją złowrogie widmo Elei. W snach widywała ją zakapturzoną, jak w otoczeniu kapłanek w złocistych szatach zasiada w niezwyklej kryształowej komnacie. W sennych wizjach spotykała ją także w innych miejscach, w tym w jej pokoju. Przy czym były to tak realistyczne sny, że czuła wręcz przy Elei własną obecność, zupełnie jakby poruszała się za nią niczym jej cień. Śniąc, pewnego razu wyciągnęła rękę ku kapłance i ściągnęła jej z głowy kaptur. A wtedy Elea ukazała jej swoje przerażające oblicze.

Od tamtego czasu, gdy tylko Kati śniła o Elei, siłą woli uciekała z tych snów, z Kryształowej Świątyni i się budziła. Lecz ostatnio zaczęły ją nawiedzać podobne senne wizje, jednak znajdowała się u boku innej osoby. Zgwałconej, okaleczonej kobiety, jednej ze dziewięciu strażniczek Waltari, której prawdziwe imię zapomniano i obecnie zwano ją Drugą z Dziewięciu.

Kati skończyła kroić warzywa. Wrzuciła je do garnka z gotującą się wodą i nakryła przykrywką. W podobny sposób

pragnęłaby zamknąć gdzieś swoje sny, aby ich więcej nie doświadczać.

Tymczasem wzięła się za krojenie owoców i zwróciła myśli w inną stronę: Kegen powracał do zdrowia i czynił jej coraz więcej wyrzutów z racji tego, że nie spełniała w łóżu małżeńskiej posługi. Sari zapewne nie miałyby z tym najmniejszego kłopotu, tak, niewątpliwie. Ale Kati, obecna Kati, czuła w sobie silny opór przed oddaniem się prawie obcemu mężczyźnie.

Przy czym usilnie zastanawiała się na ile ten mężczyzna był dla niej rzeczywiście obcy, a przez to czy jej opór był naprawdę zasadny. Przede wszystkim Kegen był przecież jej mężem i ojcem jej dzieci. Myślała też o tym, ile spędzili już razem czasu, do tego czasu, gdzie poza wiciem się Kati w gąszczu kłamstw, potrafili nieraz szczerze ze sobą porozmawiać.

Kobieta spojrzała w zadumie na słoneczną jasność za szybą i naraz syknęła, gdy zraniła się w palec. To zdarzenie wyrwało ją z głębokich rozważań. Przypomniało, że ze względu na swoją przeszłość, na wzgląd na siebie i dzieci powinna być przede wszystkim ostrożna. A jeżeli odda się Kegenowi, a ten zorientuje się, że zachowuje się w łóżu inaczej niż jego dawna Kati? I znowuż będzie zmuszona zasłaniać prawdę gmatwaniną kłamstw. A jeżeli kiedyś się w nich zaplącze do tego stopnia, iż prawda wyjdzie na jaw? Do tego absolutnie nie można było dopuścić i tym też Kati ostatecznie usprawiedliwiała swoją oziębłość.

Gdy nastał czas kolacji poniosła tacę z jedzeniem i stanęła przed drzwiami Kegen. Zapukała i czekała na zaproszenie,

lecz nikt nie odpowiadał. Nie zastanawiając się długo, weszła do środka. W pokoju aż ją замуrowało.

Na łóżku leżał Kegen. Na nim zaś siedziała okragiem naga, rudowłosa kobieta i wila się na mężczyźnie. Kiedy spostrzegła Kati zastygła w bezruchu i spojrzała pytająco na swego kochanka. Ten popatrzył drwiąco na Kati i oznajmił z błogością do rudowłosej kobiety:

– Nie przerywaj...

Kobieta na nim powróciła do wykonywania jednostajnych ruchów, choć wolniejszych i mniej zamasztych.

– Kim ona jest...? – zapytała słabym głosem Kati.

– Przecież wiesz, kim. O tak... – Kegen gładził niewielkie, kobiece piersi. – To Mika, którą sprowadził mi nasz stary sługa, abym znowu mógł się poczuć mężczyzną. O tak...

Kati wyszła z pomieszczenia i zatrzasnęła za sobą drzwi. Oparła się o nie i tak zastygła. Wzburzona coraz szybciej oddychała. Jej piersi falowały rytmicznie w dół i w górę, zupełnie jak dopiero co oglądanej kochanki Kegen. Przez umysł Kati przebiegały naprędce galopujące myśli, nad którymi nie była w stanie zapanować. Niespodziewanie pojawiły się coraz silniejsze uczucia, które kazały jej natychmiast wrócić do pokoju.

Z impetem otworzyła drzwi. Energicznie podeszła do łóżka i tak silnie cisnęła na szafkę tacę z jedzeniem, aż z talerza wylała się zupa. Następnie popatrzyła złowrogo na dziwkę, która na powrót przestał się poruszać i uderzyła ją w twarz. Spoliczkowana kobieta otworzyła ze zdziwienia usta, a wtedy Kati, wskazując ręką drzwi, bezceremonialnie wydarła się do niej:

– Zabieraj stąd swoje ubranie, ty szmato! Wynoś się stąd i nigdy nie wracaj!

– A zapłata...? – syknęła.

– To jest zapłata! – Kati uderzył ją w drugi policzek. W odpowiedzi kobieta zeskoczyła na podłogę. W pośpiechu zebrała swoje porozrzucane ubranie i wybiegła z pokoju.

– Może mam ci jeszcze podziękować...? – oświadczył zrezygnowany Kegen, patrząc z niechęcią na żonę.

– Zamknij się – odparła. Zagłębiła rękę pod swoją obszerną spódnicę i ściągnęła majtki. Rzuciła je w kąt pokoju, po czym usiadła na Kegenie. – Och... – jęknęła i teraz to ona kochała się ze swoim mężem. Jednocześnie obserwowała, jak na twarzy maluje mu się zdziwienie, które przechodzi w zadowolenie i błogość.

– Kati, najdroższa, Kati, nareszcie... – szeptał rozkosznie. Zsunął suknię kobiety z jej ramion i pogłodził piersi. Potem objął ją w pasie i przesunął dłonie na nagie pośladki. Kobieta widziała, że nie mógł się wręcz nasycić jej ciałem. To wzmacniało także i jej pożądanie.

– Jeszcze trochę... – jęknął z lubością Kegen. – Jest tak cudownie, jeszcze chwila...

Wtem drzwi otworzyły się i w progu stanęła mała Nakis. Trzymała w ręku lalkę bez głowy i z zaciekawieniem przyglądała się parze na łóżku.

Zmieszana Kati zastygła w bezruchu. Chciała zejść z Kegeny, ale ten przytrzymał ją w pasie i warknął do dziewczynki:

– Wyjdź stąd, natychmiast.

– Nie – odparła obojętnie.

– Wyjdź! – Kegen podniósł głos.

– Chcę popatrzeć jak się pieprzycie.

– Nakis! – Tym razem to Kati nie wytrzymała. Zdjęła sobie z talii ręce swojego męża, podeszła do dziewczynki i bezceremonialnie wypchnęła ją za drzwi, po czym zatrzasnęła drzwi.

– Przepraszam za nią... – powiedziała już spokojnie.

– Nic się nie stało, chodź do mnie... – Od niespodziewanego wtargnięcia Nakis z twarzy Kegeny nie ustępował cierpki wyraz. Kati powróciła na łóżko i usiadła koło mężczyzny.

– Dokończmy – zasugerował i zagłębił rękę między udami kobiety.

– Jeszcze raz przepraszam za dziecko... – zafrasowała się Kati, która straciła ochotę na dalszą miłość. Na co zniecierpliwiony Kegen podźwignął się na łóżku i szarpnął kobietę raz i drugi tak, że ustawił ją tyłem do siebie.

– Mniejsza o dziecko... – wycedził z narastającą żądzą przez zaciśnięte zęby. Położył dłonie na pośladkach kobiety i posiadał ją. Ona poddała mu się i pochyliła nisko głowę. Kegen położył się na jej plecach. Wykonywał coraz bardziej energiczne ruchy biodrami i sycił się kobiecym ciałem. Gdy wtem zastygł, naprężając wszystkie mięśnie.

– To już...? – zapytała go Kati.

– Nie – rzekł surowo.

– Nie...? Dlaczego...?

– Chcę... Chcę żebyś wiedziała, że żywię względem ciebie szacunek... – wysapał, z trudem panując nad sobą. – Pragnę, abyś także doznała ze mną rozkoszy...

Na te słowa kobiet powoli odwróciła się i położyła na plecach. Popatrzyła Kegenowi w oczy i nieśmiało uniosła do góry nogę, zawieszając stopę na wysokości jego ust.

– Nie rozumiem... – odezwał się zaskoczony.

– Pocałuj...

– Nigdy nie...

Kobieta nie dała mu dokończyć zdania i zasłoniła stopą usta. On ujął ją w dłonie i delikatnie pocałował.

– Och, tak... – szeptała w błogości Kati. Kegen zaś pieścił jej stopę coraz bardziej. Ssał palce u nóg i składał na nich pocałunki. – I tutaj też... Och... – Wijąc się z rozkoszy, kobieta założyła mężczyźnie obie stopy na ramiona. Ten pieścił je dalej, aż chwycił ją za kostki i szeroko rozłożył jej nogi. Położył się na niej i znowu znalazł się w niej.

– Masz ciało bogini... Najdoskonalszej bogini – posapywał. – Tak bardzo je ubóstwiam ...

– Och, tak... – jęczała. – Mocniej... – Zaczęła drżeć. – To już, już. – Sama poruszała biodrami. Chwyciła męskie pośladki i silnie przycisnęła do siebie. Naraz Kegen wtulił się w jej ciało i stęknął z niewysłowioną ulgą, a Kati z rozkoszą przyjęła go w sobie.

*

Przez wydlubaną w drewnianej ścianie dziurę mała Nakis spoglądała do wnętrza sąsiedniego pokoju.

– Ale ją zerznął – powiedziała z uznaniem. Podobało ci się, Huve?

– Zamknąłem oczy.

– Znowu? Co za mięczak – fuknęła dziewczynka.

– Jesteśmy małymi dziećmi, nie powinniśmy oglądać takich rzeczy.

– Jakich? – obruszyła się małą Nakis. – I przede wszystkim nie jesteśmy zwykłymi dziećmi – dodała z przekonaniem. – Mamy po trzy lata, ale wyglądamy na sześć, a nasze umysły są jeszcze o wiele dojrzałe.

– I co z tego?

– Ano to, że szybko wkroczymy w dorosły świat i czas zacząć go poznawać, Huve. – Naraz mała Nakis zmarszczyła czołko i powiedziała ze złością. – Nie rozumiem, czemu ta dziwka Sari od razu nie wskoczyła Kegenowi do łóżka tylko zgrywała taką trudną.

– Nie mów tak o niej, to twoja matka.

– Jesteś niepoprawny. Mówiłam ci już, moją jedyną matką jest Bogini Mroku. Tak jak twoją Bogini Światła. A na pewno za ojca nie masz jurnego Kegen. Chociaż.... Myślisz Huve, że nasz Kegen mógł bzyknąć też Boginię Światła? – docięła dziewczynka.

– Jesteś taka zepsuta...

– Szczególnie jak na trzylatkę, prawda?

– Po prostu się zamknij.

– Kiedy nie chcę. Chcę natomiast wiedzieć jak tam Eingen. Już urodziła?

– Naprawdę cię to ciekawi? – zapytał z żywą nadzieją Huve.

– Tak, o ile się dowiem, że poroniła.

– Nienawidzę cię!

– Nienawidzisz? Nareszcie zaczynamy się dogadywać. Powiedz, jak mnie nienawidzisz. Tak jak Azaela?

– Nie zabiłem go! Przecież wszystko widziałaś! – krzyknął, jakby z przestachem chłopiec.

- To prawda, nie zabiłeś.
- Właśnie...
- Ty tylko trzymałeś mu nogi, kiedy Eingen go dusiła po uprzednim otruciu ziołami.
- On krzywdził tę kobietę... On był zły, tak jak ty...
- Może za dużo czasu spędził w mroku, nie uważasz? A w świetle wstąpiłby nawet do świętego zakonu w krainie Dores i odpokutował wszystkie winy. Ale nie... Huve, dziecię światła, mu to uniemożliwił, zamordował go z zimną krwią. Zły Huve, niedobry Huve.
- Przestań! Wiesz, że tak by nie było...
- Co tam może wiedzieć trzylatka, prawda? Poza tym, że pewien jej rówieśnik jest bezwzględny zabójcą.
- Proszę... przestań... – Głos Huwego zaczął się załamywać.
- Przestanę dopiero jak się znowu popłaczesz. Co za mazgaj... Ale ja cię jeszcze wychowam. Czekaj... – Mała Nakis się ożywiła. – Kegen włożył jej rękę między uda. Założę się, że tym razem weźmie ją na ostro.

XVII. BITWA O KARDANOR

Waltari otrzymała kolejne błogosławieństwo Drugiej z Dziewięciu. Zatem nie było już odwrotu. Stała w otoczeniu swoich najbardziej zaufanych ludzi – Rona oraz ośmiu zakonniczek i potwierdziła wcześniejsze rozkazy:

– Czekaj na umówiony sygnał – zwróciła się do mężczyzny. – Po bitwie wypatrujcie najbardziej bezwzględnych wojowników. Takich, którzy bez skrupułów dobijają rannych i okradają ich truchła – poleciła kobietom. Następnie dosiadła rumaka i samotnie pognała na miejsce nadchodzącej bitwy.

*

– Więc jednak przybyłaś... – Na widok kobiety w purpurze Kiram uśmiechnął się nerwowo.

– Miałabym pozwolić, aby ominęły mnie takie atrakcje? – Znajdująca się z Kiramem na wzgórzu kobieta zdjęła kaptur i popatrzyła ze swego rumaka na rozciągającą się panoramę. W otoczeniu lasów oraz gór w niewielkiej kotlinie stały naprzeciw siebie dwie armie: rodów Kelle i Ordów.

Spoglądając na wrogie oddziały, Kiram z zacięciem obgryzał paznokcie.

– Za dużo mieczy... – odezwał się z niechęcią.

– Jeszcze więcej włóczy. – Waltari wskazała na będące

w gotowości wojsko Kelle, którego nastroszona broń drzewcowa upodabniała je do gigantycznego jeża.

– A gdybym się tak wycofał...? – mruknął mężczyzna.

– Zgodziłabym się.

– Naprawdę...? – Wybałuszył oczy.

– Gdybyś choć raz użył takich słów w naszym łóżu.

– Ech... masz mnie. – Kiram uderzył pięścią w swoją otwartą dłoń.

– Abyś walczył i zwyciężał hartowałam twojego ducha własnym nagim ciałem. Wspomnij ile dało ci rozkoszy i pomyśl ile jeszcze możesz otrzymać.

Władca rodu Kelle przyjrzał się z lubością kobiecie i już pewniejszym głosem spytał:

– Zatem co dalej? Mam tak po prostu wydać komendę do ataku...?

– Nie odrobiłeś lekcji.

– Czyżby?

– Przypomnij sobie, co ustaliliśmy: ty prowadzisz armię, ale to ja wydaję rozkazy.

Kiram się zafrasował.

– Nie wiem czy to dobry pomysł – oznajmił. – Co prawda stałaś się stałą bywalczynią dworu. Moi ludzie znają już kobietę w purpurze. Jednakże ciągle pozostajesz dla nich, jak i dla mnie, tajemnicą...

– Więc sam wygłosisz bitewną mowę?

– Tego nie powiedziałem...

– Słońce niebawem schowa się za chmury. To idealny moment aby zaatakować. Nie będzie oslepieć naszych żołnierzy. Zatem decyduj władco rodu Kelle: pošlesz ludzi w bój, nie

tłumacząc im o co walczą i giną, czy też zaszczepisz w nich ducha walki. A może jednak pozwolisz, abym ja to uczyniła? Czas nagli.

– Przekłęte słońce... – Kiram zmrużył oczy, spoglądając z niezadowoleniem na chmurzące się niebo. – Prawdę powiedziawszy najchętniej postąpiłbym tu jeszcze i pogawędził. Ale, skoro już zdecydowałaś, że łoże będziesz dzielić tylko z królem, nie mogę dopuścić, aby był nim ten tłusty Ozaesz z rodu Ordów. Na samą myśl, że ty i on... – Kiram aż się wzdrygnął i jęknął: – Idź zatem. Natchnij moich ludzi, aby wiedzieli za co walczą i giną... Czyli za to, abym mógł zabawić się w łożu z pewną Tajemnicą... Ja zaś uwiecznię moje wielkie zwycięstwo dla potomnych: – Wskazał na rozstawioną sztalugę z farbami. – Nie często zdarza się tak intensywne doznanie artystyczne, jak obserwowanie krwawej masakry...

Waltari pozostała niewzruszona.

– Bywaj – rzekła i pognąła ze wzniesienia na prawej flance wprost na równinę przed zwarte szeregi włóczników.

Na miejscu zatrzymała się i przyjrzała marsowym żołnierskim twarzom. Następnie przemaszerowała dostojnie stępą przed armią rodu Kelle, tak aby każdy z żołnierzy dostrzegł nie tylko ją, ale i hart jej ducha. W pewnym momencie wyciągnęła do góry włócznię i krzyknęła doniośle:

– Włócznie przeciw mieczom! Włócznie przeciw mieczom! Ile razy opiewano to w pieśniach?! Miecze przeciw włóczniom! Miecze przeciw włóczniom! Ile razy pisano o tym wzniosłe poematy?! A pomiędzy mieczami i włóczniami topory! Topory! Topory! To krwawa historia Kardanoru! Za-

klęty krąg, z którego kraina nie jest się w stanie wyrwać! Ale od dziś zaczniemy pisać historię na nowo! Sprawimy, że włócznie, miecze i topory jeszcze staną w jednym szeregu ku chwale Kardanoru! Zjednoczymy krwawiące królestwo i osadzimy na tronie Kirama Kelle, przyszłego króla! Ale zanim to się stanie musimy wygrać bitwę!

Waltari zamilkła, po czym wciąż przemierzając przestrzeń przed włócznikami, ze stępa przeszła w szybszy kłus i dalej wojowniczo pokrzykiwała:

– Włócznie! Włócznie! Włócznie! Gotować broń i do ataku! – zakończyła wskazując na szeregi wrogich mieczników.

Uzbrojeni w broń drzewcową żołnierze rodu Kelle jak jeden mąż spojrzeli na pobliskie wzniesienie. Stojący tam adiutant Kirama pomachał im łopoczącą na wietrze flagą, przedstawiającą dwie skrzyżowane włócznie. Był to tradycyjny sygnał do ataku.

Piechurzy wysunęli w poziomie broń drzewcową. Zasłoniли torsy niewielkimi tarczami i w zwartym szyku ruszyli z wolna na wroga, maszerując w takt wybijany na bębnach. Z kolei Waltari pognęła na lewą flankę, gdzie oczekiwało jej osiem zakonniczek. Kiram pozostał na prawej flance w otoczeniu swojej pieszej gwardii i nielicznej kawalerii.

Tymczasem na dźwięk trąbki zwarte dotąd szeregi mieczników podzieliły się na cztery prostokąty. Wszystkie części się rozsunęły, a dwie środkowe dodatkowo cofnęły do tyłu. Wyszła przed nie grupa łuczników i posłała we włóczników salwę płonących strzał. Zanim te sięgnęły celu bębny rodu Kelle przyspieszyły rytm, a włócznicy przeszli w trucht, dzięki

czemu większość strzał spadła za ich plecami. Kolejna salwa strzał posłana został na niższym pułapie. Z tą chwilą bębny jeszcze bardziej przyspieszyły bicia, a włócznicy rozpoczęli szturm. Jednocześnie na dźwięk trąbki zewnętrzne prostokąty mieczników przesunęły się bardziej na boki i cała armia Ordów stworzyła przerywane, szerokie półkole. W efekcie kiedy wrogie wojska starły się ze sobą, nacierający włócznicy wpadli do kotła i znaleźli w częściowym okrążeniu.

Waltari obserwowała stracie ze spokojem. Nie spodziewała się łatwej przeprawy z zaprawionymi w bojach zastępami Ordów, którym i taktyka wojskowa nie była obca. Po dłuższym czasie kobieta dostrzegła, że flanki włóczników zaczynają się łamać. A więc stało się jasne, że Ordowie wystawili tam najlepszych wojowników celem przełamania w tym miejscu szyków wroga i zamknięcia go w kotle.

Widząc, na którą stronę przechyla się szala zwycięstwa, odezwała się jedna z zakonnicek:

– Pani...?

– Czekamy – rozległ się zdecydowany głos Waltari.

Wtem z armii Ordów wyłonił się pokaźny oddział kawalerii i pognał wprost na wzniesienie, gdzie znajdował się Kiram ze swoimi ludźmi. Mimo trudnego podejścia wrogiej konnicy władca rodu Kelle ani swoim jeźdźcom ani gwardii nie wydał rozkazu do kontrataku. I tak na wzniesieniu rozgorzała walka.

– Do broni! – rozkazała Waltari, zwracając się do zakonnicek. – Za wszelką cenę chroncie Kirama! Nie może zginąć!

Kobiety pognały konno na prawą flankę. Waltari zaś do pobliskiego zagajnika. Pośród drzew zeskoczył z konia i sa-

modzielnie pootwierała klatki z gołębiami. Uderzała bronią w klatki tak długo, aż spłoszyła całe ptactwo, które poderwał się wysoko ku górze.

Z chwilą, gdy gołębie zatrzepotały skrzydłami na zachmurzonym niebie dało się słyszeć piskliwy dźwięk kobzy. Z lasów wyskoczyły oddziały toporników i rzuciły się z impetem na flanki niczego nie spodziewających się mieczników. W jednym momencie szala zwycięstwa się odwróciła, a oddziały Ordów przeszły do rozpaczliwej obrony.

Po dłuższym czasie Waltari skierowała konia na środek kotliny i tam się zatrzymała, spokojnie obserwując dogasającą bitwę. Wkrótce resztki mieczników uciekły w popłochu. Natomiast konnica Ordów pognała ze wzniesienia w ślad za nimi.

Przy ogłuszającym wtórze wiwatów zwycięskiej strony do kobiety w purpurze podjechał Ron i siedem zakonniczek.

– Kiram? – zwróciła się do strażniczek Waltari.

– Uciekł do zamku na samym początku bitwy.

– Brakuje tu jednej z was.

– Poległa, pani...

– Rozumiem... Zbierzcie tyle łupów ile zdołacie i połowę przekazcie jej rodzinie.

– Tak się stanie.

– I pamiętajcie o swoim zadaniu: przyglądajcie się wojownikom i wyszukujcie bezwzględnych zabójców – oznajmiła Waltari. Spięła konia i pojechała w sam środek niedawnej, krwawej jatki. Jechała dumnie pomiędzy trupami, konającymi oraz rannymi. Pozdrowiała tych, którzy przeżyli, a którzy teraz wznosili na jej cześć uroczyste wiwaty. Wszyscy wojownicy musieli zobaczyć zwycięską kobietę w purpurze.

W asyście Rona i siedmiu zakonniczek Waltari dotarła do Skalnego Zamku w stolicy Królestwa Kardanor, Ebrim. Już samotnie udała się do sali tronowej, gdzie oczekiwał jej przywódca rodu Kelle.

– Bądź pozdrowiona, Tajemnico, oto wita cię Kiram Niezwyciężony, twój król! – krzyknął radośnie na widok kobiety. Jednak nie odstępował od sztalugi ani nie odłożył pędzla i dalej w skupieniu malował.

Waltari przeszła przez tronową salę, rozglądając się po niej z dziwnym uczuciem obcości. Bowiem odkąd pamiętała przebywał tu jej ojciec, zazwyczaj sam, a czasem w otoczeniu rodziny czy doradców. Teraz zaś majestatyczna dotąd komnata została przerobiona na pracownię malarską, pełną porostawianych w nieładzie sztalug, zwiniętych w rulon płócien czy półek z farbami.

Przemierzywszy salę kobieta zatrzymał się koło Kirama. Ten objął ją ręką w pasie, a drugą, zaopatrzoną w pędzel, z zadowoleniem wskazał na malowany przez siebie obraz.

– Czyżby to była walka w kotlinie? Bitwa o Kardanor? – zapytała Waltari, patrząc na panoramę bitwy, gdzie pośród wysokich gór i lasów kotłowała się zbrojna konnica i piechota.

– Nie inaczej – odparł dumnie Kiram. – To wiekopomne starcie nazwałem Włócznie i Topory przeciw Mieczom. Na cześć twojej dziwnie brzmiącej, aczkolwiek wielce inspirującej przemowy oraz naszych niespodziewanych sojuszników.

- Niesamowite – zakpiła Waltari.
- Naprawdę tak uważasz?
- Naturalnie...
- Doskonale! Tak czy inaczej zwyciężyłem i jestem królem Kardanoru!
- A gdzie twoja korona? – zapytała kobieta w purpurze, spoglądając na pozbawionego nakrycia głowy Kirama.
- Gdzieś tu się zapodziała... Zaiste oto i ona! – pokazał pędzlem na skalny tron, gdzie leżała poplamiona czerwoną farbą korona.
- Niech żyje król – oznajmiła chłodno Waltari i równie obojętnie dodała: – Obecnie będziemy musieli się postarać, aby chronić króla.
- Co masz na myśli? – zaniepokoił się nowy władca.
- Postąpiłeś wbrew tradycji Królestwa Kardanor. Koronowałeś się bez zgody wszystkich rodów.
- Za twoim podszeptem...
- Nie zmienia to faktu, że swoim śmiałym...
- Bezczelnym...
- Że swoim śmiałym... działaniem narobiłeś sobie wielu wrogów, którzy patrzą na ciebie wilkiem.
- Tylko wymień moich oponentów, a wybijemy ich w pień!
- Kiram dumnie uniósł pędzel.
- Ordowie liżą rany w swoim zamku na skraju królestwa i zbierają posiłki.
- Hm...
- Trójca ich swego czasu poparła i działa to silnie na twoją niekorzyść.
- Więc co zamierzasz? To jest, co my, zamierzamy...?

– Będziemy musieli zmiażdżyć Ordów, ale uczynimy to w dogodnym momencie. Natomiast na ten czas podejmę się misji wyplenia z królestwa pozostałych wrogów.

– Ubóstwiam cię... – Kiram przystąpił do malowania na sukni kobiety nagich piersi. Ona, nie zwracając na to uwagi, kontynuowała:

– Pozwól mi wybrać z twojej armii trzydziestu ludzi. Wraz z nimi udam się w misję.

– Zgadzam się, wiesz, że niczego nie jestem ci w stanie odmówić. Ale zastanawiam się...

– Jakieś wątpliwości?

– Chciałem zapytać, co z rodem Witarion? W bitwie wsparli moich ludzi topornicy, wojownicy wspomnianego rodu.

– Uczynili to na moje polecenie.

– Domyślam się, Tajemnico... Ale nie chcę snuć czczych domysłów, skąd masz nad nimi taką władzę...

– Wielu ludzi rodu Witarion oddało się pod moją komendę.

– A czemuż to...? Ze względu na twój niespotykany wdzięk i urodę...?

– Przywódczynią tego upadającego rodu została kobieta.

– Tak, moi doradcy nie omieszkali mi o tym donieść.

– Nic nie znacząca kobieta.

– Tak też zawyrokowali doradcy...

– Jest kapłanką Zakonu Światła.

– To po prostu żalosne...

– Właśnie.

– Rozumiem do czego zmierzasz – westchnął lekceważąco

Kiram. – I już się nie dziwię, dlaczego ludzie rodu Witarion odchodzą od swej macierzy. Uspokoiliś mnie, Tajemnico. – Mężczyzna skończył malować piersi na sukni kobiety i zajął się podkreślaniem farbą jej łona.

Z kolei niezrażona Waltari popatrzyła na obraz na sztaludze, gdzie górujący nad wszystkimi jeździec wznosił wysoko zakrwawioną włócznię.

– A cóż to za wspaniały wojownik? – zainteresowała się. Kiram nadął się z dumy i odparł:

– To niejaki Kiram Niezwyciężony, czyli ja, prawdziwy bohater! – Zaraz przybrał nieco kwaśną minę. Podrapał się po ogolonej brodzie i jękliwie zapytał: – Nie sądzisz, że powinienem przemaalować swoją zbroję z koloru srebra na złotą? A na grot włóczni mógłbym na ten przykład nadziać świńską głowę Ozaesza...

– Sądzę...

– Tak...?

– Że zniszczyłeś mi suknię.

– Hm.... Kiram popatrzył w zadumie na pomalowane odzienie kobiety i naraz zakwitł promiennym uśmiechem, oznajmiając: – Faktycznie użyty przeze mnie kolor wyszedł już z mody. Zaraz temu zaradzimy. – Chwycił kubek czerwonej farby i chlusnął wprost na Waltari.

– Och! – krzyknęła zaskoczona kobieta. Natomiast Kiram poprawił następnymi kubkami z farbą zieloną i żółtą, po czym wykrzyczał:

– Kimkolwiek jesteś, Tajemnico! Jesteś tak nadęta, iż szczerze żałuję, że nie mam pod ręką igły! Ale w takim układzie posłużę się farbą! Podkoloryzujemy cię tu i ówdzie i zo-

baczmy, jaki będziesz przedstawiać sobą obraz!

Ociekająca farbą Waltari popatrzyła na Kirama z ogniem w oczach. Następnie nie wytrzymała i sama się roześmiała. Chwyciła najbliższe wiadro pełne brązowej farby i wylała na mężczyznę.

– Ha, ha! – zaśmiała się triumfująco.

– Aha! – Kiram się wręcz uradował. – Obdarowałeś mnie, o pani, barwą Bogini Ziemi! – wrzasną z zapalem. – Za to ja mam dla ciebie coś specjalnego! Podskoczył do kubła z białą farbą, podczas gdy kobieta chwyciła pojemnik z czarną i chlusi snęli na siebie nawzajem. Potem padli sobie w ramiona i obdarowali namiętnymi pocałunkami, bynajmniej na tym nie poprzestając. Kochali się do upadłego w wielobarwnej farbie, która dokładnie oblepiła ich rozgrzane miłością nagie ciała.

XVIII. SZCZĘŚLIWA PARA

Najkrótszą możliwą drogą Ern samotnie dotarł do Królestwa Malgun. Uczynił to w przebraniu, przemierzając ziemie Cesarstwa oraz Zakonu, a omijając Królestwo Borgin. Nie był jednak wytrawnym jeźdźcem, toteż wcześniej na dwór królowej Umbrii dotarli cesarscy gońcy, zapowiadając rychłą wizytę cesarza. Dzięki temu, gdy już się zjawił, od razu udzielono mu audiencji.

Królowa Umbria uczyniła to, goszcząc Erna w pałacowych ogrodach pełnych egotycznej roślinności, jak i niezwyklego ptactwa. Najwyraźniej nie obca była jej słabość cesarza do takowej scenerii, która przygotowana została jakby specjalnie dla niego.

Ern zaś do tego stopnia poddał się urokowi ogrodów królowej, że z początku za nic nie mógł się skupić na rozmowie. Zacznie bardziej jego uwagę przykuwały rozłożyste pawie ogony, przechadzające się dumnie wielobarwne bażanty, czy pstrokate papugi pozmykane w gustownych klatkach. A wszystko to w oprawie kwiatowych rabatek, karłowatych drzewek i oczek wodnych pokrytych gęsto liliami.

– Przepraszam, ale... nie dosłyszałem. – Ern w końcu przemógł się i spróbował skoncentrować na rozmowie z królową.

– O czym prawiłaś, szlachetna pani...? – zapytał uprzejmie.

– Wspominałam, że mój świętej pamięci mąż... uwielbiał spędzać tu czas. Właśnie tu, razem ze mną, na tej ogrodowej

ławce. Zupełnie jak my teraz...

– Pani świętej pamięci małżonek miał wyśmienity gust zarówno, co do otaczającej go niezwyklej przyrody, jak i towarzyszących mu przepięknych osób... – odparł kurtuazyjnie Ern, z trudem odrywając wzrok od egzotycznych ptaków i kierując go na wdowę. Blisko sześćdziesięcioletnią, otyłą kobietę dosłownie tonącą w kremowej, koronkowej sukni z obszernym dekoltem, z którego wręcz wylewały się obfite piersi. Do tego monstrualnych rozmiarów peruka białych loków i gęsta warstwa pudru na twarzy z różem na policzkach dopełniały wątpliwego dla Erna uroku. Mimo to robił co mógł, aby nie zapominać o wymuszonym uśmiechu i obowiązkowym prawieniu komplementów.

– Więc mój małżonek, zanim został okrutnie zamordowany przez tchórzliwych spiskowców... – Pragnęła ciągnąć uprzedni wątek królowa. Jednak Ern postanowił zakończyć ten temat, oznajmiając:

– Oto dowody – wręczył królowej dokument.

– Dowody na co...? – Zaskoczona kobieta rozwinęła rulon papieru i zaczęła czytać. – Och... – westchnęła z przejęciem, kładąc sobie dłoń na piersiach.

– Zgadza się – oświadczył Ern. – To wyrok śmierci na pani wspaniałego małżonka podpisany własnoręcznie przez najwyższą kapłankę Zakonu Światła.

– Wiedziałam, zawsze wiedziałam... – mówiła ze złością Umbria i naraz spojrzała podejrzliwie na Erna, zapytując: – Ale tę najwyższą kapłanką okazała się... pańska siostra...

– Wobec niezbitych, obciążających ją dowodów wyrzekam się jej. Już nie jest moją siostrą, a jedynie podstępna,

żądną krwi kapłanką przeklętego Zakonu – odparł dumnie Ern i ostentacyjnie uderzył się w tors. Jednocześnie pochwalił się w duchu za to, że zatrzymał pewien dokument Magi, odkryty niegdyś w cesarskim skarbcu zrabowanym wspólnie z ludźmi Świetlistej Drogi.

Tymczasem wdowa Umbria popatrzyła na cesarza z niekłamany podziwem i zakwitając szczerym uśmiechem, oznajmiła przymilnie:

– Nie wiem. Doprawdy nie wiem, jak mogłabym się odwdzińczyć – zatrzepotała wdzięcznie przedłużonymi rękami.

– Nie szukam wdzięczności – odpowiedział męźnie Ern. I choć nie dał tego po sobie poznać, ton jego głosu coraz bardziej go bawił. Aby się nie uśmiechnąć chrząknął w dłoń i z powagą kontynuował: – Poszukuję prawdziwej miłości, o pani. Dlatego nie chciałbym, aby przedstawiony przeze mnie dowód na zdradę Zakonu był zwykłym prezentem – zaznaczył. – Pragnąłbym, że tak się wyrażę, aby był to prezent ślubny, nie inaczej. Czy zatem...

– Och! – Ern nie zdążył dokończyć oświadczyć, ponieważ pochwycony w masywne ramiona wdowy Umbrii został wciśnięty między jej pełne piersi. Z trudem łapiąc oddech, wsłuchiwał się w naprędce wykrzykiwane przez królową polecenia o przygotowaniu ceremonii ślubnej.

Dalej, zgodnie z oczekiwaniami, wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Po wyprawionym w następnym cyklu snu hucznym weselisku nadszedł czas na ostatnią bitwę Erna w Królestwie Malgun, a mianowicie na skonsumowanie związku.

Na szczęście jego obawy w tym względzie okazały się

płonne. Wielce spragniona cielesnej miłości królowa była nad wyraz wdzięczną i pomysłową kochanką. A jej ciało miękkim i pachnącym wykwintnymi perfumami oparciem, dającym nad wyraz wiele przyjemności.

Toteż, kiedy Ern żegnał się z Umbrią czynił to wręcz z trudem. Jednak inne sprawy wzywały, ponieważ miłość do ojczyzny i przede wszystkim cesarskiego tronu również nie były mu obojętne.

Tak oto, pokrzepiony wieściami o czerwonej zarazie szalejącej we wrogim obozie, udał się w drogę powrotną do Cesarstwa. Jednocześnie pozdrawiał podążające na północ zwarte szeregi wojsk Malgun. Bowiem tak się złożyło, że królowa Umbria sama pozwoliła mu wybrać prezent ślubny. On zaś poprosił o miesiąc miodowy w Kryształowej Świątyni Światła. Jak nietrudno było przewidzieć, królowa nawet nie myślała mu odmawiać.

XIX. VAREKAI

– W Kardanorze doszło do niespodziewanego przełomu – wychrypiała ponuro Elea, przewodnicząca kolejnemu zgromadzeniu rady. – Wojska Ordów zostały pokonane przez neutralny do tej pory ród Kelle. Uzyskał on niespodziewane wsparcie rodu Witarion, któremu przewodzi obecnie... zaginiona Waltari. – Elea skupiła uwagę na wolnym krześle wspomnianej kobiety i kontynuowała: – Głowa rodu Kelle, Kiram Kelle, wbrew tradycji, mimo sprzeciwu trzeciego rodu, koronował się na króla Kardanoru. Ordowie nie składają broni i zapowiadają dalszą walkę. Tymczasem nasza kampania w Cesarstwie napotkała niespodziewane trudności. W sojuszniczym obozie wybuchła epidemia czerwonej zarazy. W wyniku choroby zmarły już setki zakonniczek. Cierpi także miejscowa ludność. Przy czym definitywnie wykluczamy przypadek. Nowe ognisko choroby wybuchło z dala od terenów objętych epidemią. Jest to niewątpliwie haniebne dzieło obozu cesarskiego. I poprzysięgam, że jego przedstawiciele poniosą srogą karę. – Elea zawiesiła głos i cedząc przez zęby, złowieszczo dodała: – Zgotuję im coś znacznie gorszego niż zwykła śmierć... – Popatrzyła po obecnych w komnacie najwyższych kapłankach i mówiła dalej: – Wszystkie już słyszałyście, siostry, o małżeństwie cesarza Erna z królową Malgun. Przekaz jest oczywisty: nadchodzi wielka wojna. Ogłosiliśmy mobilizację i wysłałyśmy wiadomość do

naszych sojuszników. W szczególności liczymy na pozytywny odzew naszych braci z krainy Dores. Czeka ich długa droga. Jednak przyobiecałam im, że kiedy dotrą na miejsce nie będą musieli już wracać. Po zwycięskiej wojnie, a wygramy ją niewątpliwie, połowę Królestwa Malgun ofiaruję męskiemu Zakonowi Braci Światła. To wszystko, zamykam obrady.

Po wyjściu z sali narad Elea udała się na platformę, którą zgodnie z wolą najwyższej z dziewięciu opuszczono na parter. Kobieta przemierzyła krótki odcinek drogi i znalazła się w podziemiach. Tutaj skorzystała z kolejnej platformy tym razem opuszczanej daleko na sam dół podziemi.

Po drodze Elea przyglądała się w zadumie granitowym ścianom, które z każdym, niższym poziomem robiły się coraz cieplejsze. Jej myśli zatrzymały się przy Cesarstwie. Choć zarówno Magi, jak i Marint przepadły bez wieści, niespodziewanych problemów aż nadto nastroczał ich brat. Należało więc z całą siłą bezwzględnie go zgnieść. A wtedy ziemie cesarskie już nigdy nie uświadczą na tronie cesarza. Co do proroka, zadławi się kością podczas obiadu lub wypadnie z pałacowego balkonu. W nieodległej przyszłości pozbawienie go władzy, pozbawiając zarazem życia, w taki czy inny sposób, będzie dziecięcą igraszką. Za to jedynym przeciwnikiem z jakim należało się liczyć było Królestwo Malgun z jego sojusznikami w postaci księstw Varnes, Ottoro i Lumio. Elea była przekonana, że to tutaj rozegra się decydująca batalia o władzę nad tą częścią świata. A gdy już zwycięży nie stanie jej na drodze do pokierowania losem dzieci światła i mroku. Najpierw jednak musiała je odnaleźć, a w tym celu potrzebowała do dyspozycji jak najwięcej varekai. Bowiem

nie było od nich lepszych tropicieli.

Na najniższym poziomie najwyższa z dziewięciu zwróciła jeszcze myśli ku swojemu bratu. W cudowny sposób samotnie powrócił do światła, a potem udał się do swojej żony, gdzie został poważnie zraniony. Ten incydent nakazywał Elei cały czas mieć baczną uwagę na niejaką Kati de Szon. Doszła też do wniosku, że powinna przeprowadzić śledztwo względem samego Kegeny. Znała go, a sama nie wierzyła w przypadki. Niewątpliwie ktoś porwał go i więził, a w zamian za uwolnienie wymusił na nim ustępstwa i obietnice. Elea wcale by się ni zdziwiła, gdyby jej brat ogłosił się nagle księciem Aarii i wstąpił do sojuszu królowej Umbrii. Zważywszy całokształt okoliczności było to więcej niż prawdopodobne. Czy więc nie należałoby po prostu po cichu pozbyć się brata, a także jego żony? Morderstwo – proste, eleganckie i jakże skuteczne rozwiązanie.

Zabić wszystkich – z tymi myślami Elea zeszła z platformy, która po długiej jeździe uzyskiwała kontakt z twardym podłożem.

Na najniższym poziomie było nieznosnie duszno i gorąco tak, że skóra i ubranie momentalnie nasączały się potem. Poza tym całość wielkiego pomieszczenia dosłownie tonęła w oślepiającym świetle.

Elea uczyniła kilka kroków w kierunku centrum komnaty, gdzie wycięta była wielka, kolistą dziura. Kobieta przystanęła na jej skraju i przysłaniając ręką czoło, spojrzała poniżej. Znajdowała się tam pulsująca, oszałamiająca wręcz światłość. Było to serce Kryształowej Świątyni i powód, dla którego wzniesiono ją dokładnie w tym miejscu.

Z powodu oślepiającego światła Eela szybko poczuła ból w oczach i zadarła głowę do góry. Jej wzrok spoczął na zawieszanej pod sufitem klatce z kilkunastoma kobietami w środku.

Obecnym w komnacie zakonniczkom najwyższa z dziewięciu dała umówiony znak ręką i kapłanki zaczęły z wolna opuszczać klatkę. Znajdujące się w niej kobiety krzyczały i błagały o litość, ale wywoływały tym jedynie pełen politowania uśmiech na twarzy Elei. Ich los został przypieczętowany, podobnie jak wszystkich więźniarek, które trafiały do Kryształowej Świątyni.

Niebawem klatkę opuszczono poniżej poziomu podłogi i zagłębiła się ona w jaskrawym, białym świetle. Przestrzeń wypełniły istic upiorne wrzaski więzionych kobiet pełne rozdzierającej rozpacz i bólu. Wsłuchując się w tę koszmarną melodię, Elea nacięła ostrzem swój kciuk i upuściła sobie kroplę krwi, która skapnęła na dół i zniknęła w promieniach światła.

I nagle przerażające krzyki ustały. Zamiast nich do pomieszczenia zawitała martwa cisza, wśród której najwyższa z dziewięciu wskazała, aby wyciągnięto klatkę.

Gdy ta wyłoniła się ze światła, można było odnieść wrażenie, że jest pusta. Lecz Elea dobrze widziała, że mimo, iż niewidoczne, uwięzione kobiety cały czas tam przebywały, tylko pod postacią posłusznych jej teraz varekai.

Z zadowoleniem pomyślała, że wśród nich była również niejaka Iris. Osoba nazwana przez Kati de Szon jej siostrą. Jednak podczas długich tortur wspomniana Iris nie potwierdziła pokrewieństwa z żoną Kegena. Trudno było więc

stwierdzić do czego mogłaby być przydatna poza tym, do czego właśnie posłużyła. Oto stała się świetlistą varekai – bezwolnym narzędziem w rękach Elei.

XX. OSTRZA

Danen w końcu się przemógł i zamiast dalej siać spustoszenie w klanie wilków ruszył z Marint do księstwa Varnes. Jechali konno na skraju pierścieni światła oraz mroku, co pewien czas czyniąc wypadły do ludzkich siedzib, gdzie Danen nasyczał się krwią i kazał ją spożywać także Marint. Tak przemierzali tereny należące do Artów, przekroczyli na tratwie rzekę Doran i posuwali się na południe księstwa Aria.

– Czuję głód... – powiedział w pewnym momencie Danen i skierował rumaka ku pierścieniom światła. Marint podążyła w ślad za nim.

Po dłuższym czasie napotkali samotną kobietę. Szła powłócząc nogami przez nieskosszone łąny zbóż, nie zdając sobie sprawy z obecności podążających jej tropem jeźdźców.

Danen nieco przyspieszył i przeszył kobietę włócznią. Ostry grot przebił się przez plecy i wyszedł klatką piersiową. Sprawca tego czynu zeskoczył z konia i czekał.

Wkrótce dołączyła do niego Marint i zajęła się martwą, leżącą na brzuchu postacią. Posłusznie poderżnęła jej gardło nożem, który otrzymała od Danena i napełnia miskę krwią.

– Tak drażni mnie pragnienie, ja pierwszy – warknął mężczyzna. Kobieta podała mu naczynie. Kiedy skończył pić odetchnął z ulgą i oddał miskę, w której pozostało trochę czerwonej cieczy. – Wypij resztę – polecił.

Marint przejęła naczynie i nachyliła je w kierunku swoich

ust. Gdy wtem Danen gwałtownie uderzył miskę, aż jej zawartość wylała się kobiecie na twarz i skapywała na jej ubłocną, szarą suknię.

– Przewróć ją na plecy – polecił skrzywiony na twarzy Danen, wskazując na martwą postać. Marint spełniła polecenie i przestraszona aż odskoczyła do tyłu. Na policzkach martwej kobiety czerwieniły się jątrzące wrzody.

– Czerwona zaraz... – wyszeptała ze zgrozą Marint i spojrzała na Danena. Ten zgiął się w pół i obficie wymiotował krwią. Padł na kolana i jeszcze długo wymuszał w sobie opróżnianie żołądka.

W tym czasie Marint zdjęła z siebie zakrwawioną suknię i jej czystą częścią dokładnie wytarła sobie twarz. Pozostając w samej koszuli i bieliźnie zwróciła się z troską do Danena:

– Czy ty także możesz zachorować?

– Już jestem chory... – jęknął.

– To niemożliwe. Pierwsze objawy pojawiają się najwcześniej tydzień po zakażeniu.

– Nie rozumiesz. Połowa mojej krwi to krew zwiastuna mroku, która jest niezwykle agresywna i nie toleruje intruzów. Już walczy w moich żyłach, abym wyzdrowiał.

– Więc wyzdrowiejesz?

– Chyba tak, ale teraz słabnę... – Danen pozostał w pozycji na klęczkach i z trudem łapał oddech. Marint powoli podeszła do niego od tyłu z nożem w ręku. – Tak słabnę... – powtórzył. – Ale zmysły mam wciąż wyostrzone... Zabijesz mnie moim własnym ostrzem...? – wyrzęził.

– Dlaczego miałabym to zrobić...?

– Raczej czemu miałabyś tego nie zrobić. Ludzie mają ty-

siące powodów, aby się nawzajem zabijać...

– Ile ty ich masz...?

– Wystarczająco wiele, alby posłać do Bogini Światła całe zastępy...

– W tym moją siostrę...

– Tak.

Marint schowała nóż. Pomogła Danenowi wstać i do-
siąść konia. Jednak, gdy tylko puściła mężczyznę, ten zwałił
się na ziemię jak kłoda. Dlatego w dalszą drogę udali się na
grzbiecie jednego wierzchowca.

– Jedźmy w mrok. Tam odpocznię... – oznajmił półżywym
głosem Danen. Marint skierowała konia w tym właśnie kie-
runku. Lecz tuż przed linią mroku zmuszona była się za-
trzymać.

Z wysokiej trawy niczym spod ziemi powstała grupa pół-
nagich, uzbrojonych Artów. Było ich dwunastu i z miejsca
otoczyli przybyłą parę. Najwyższy z nich wykonał potężny
zamach mieczem i niemal odrąbał głowę rumakowi pary
jeźdźców. Ci padli na ukwieconą polanę razem z martwym
zwierzęciem.

Artowie otoczyli kobietę i mężczyznę ciasniejszym krę-
giem. Naraz zabójca konia zaśmiał się głośno. Wskazał na
niezasłoniętą kapturem część twarzy Danena i po artyjsku
przemówił:

– Co on powiedział? – zapytała drżącym głosem Marint,
która nie знаła zasłyszanego języka.

– Oświadczył, że poznaje moją plugawą twarz, na którą
zaraz nasra, a potem potnie.

– Dlaczego?

– Obiecałem dostarczyć Artom broń.
– Nie zrobiłaś tego? To bardzo nierozsądne.
– To twoja siostra, Magi, miała im zapłacić. – Danen splunął z odrazą.

– Nie zapłaciła? Jak mogła...

– Kolejny powód, aby ją zabić, ćwiartując powoli...

Wtem Art z mieczem ponownie przemówił i skoncentrował się na osobie Marint. Ta zapytała Danena:

– Chcą czegoś ode mnie?

– Tak. Nasz nowy przyjaciel rzekł, że zapłatą zamiast broni będzie moja śmierć oraz ty, jako jego niewolnica. Masz się do niego zbliżyć, podchodząc na kolanach.

Marint uklękła i wykonała polecenie. Niespodziewanie Art z mieczem wręczył jej nóż i odkopnął ją w stronę Danena. Ten ponownie splunął i drwiąco wycharczał do Maint:

– Jak widzę masz w usługiwaniu prawdziwą wprawę. Teraz skorzystaj z innej nabytej ostatnio umiejętności.

– Jakiej...?

– Oni żądają, abys ty poderżnęła mi gardło.

Kobieta dłuższy czas wpatrywała się w Danena aż powoli przystawiła mu nóż do szyi. Czyniła to wśród śmiechów Artów, którzy parodiowali jej niezgrabne ruchy, przeciągając pod swoimi gardłami własne dłonie. Jedynie Art z mieczem zachowywał zimne spojrzenie i nie spuszczał klęczącej pary z oka.

– Jesteś gotowy...? – szepnęła do Danena Matint. Ten odezwał się głosem, w który złość mieszała się ze smutkiem:

– Od dawna jestem gotowy. Odkąd sprowadziłem na swoich bliskich śmierć. Od tamtej pory jestem martwy...

– Martwy...?

– Tak.

– Otóż nie – odpowiedziała z siłą w głosie Marint. – Nikt z nas w tym cyklu snu nie umrze. – Wyciągnęła drugi nóż i błyskawicznie podskoczyła do rozśmianych Artów. Jednemu rozcięła trzewia, jednocześnie drugiemu podrzynając gardło. Zrobiła piruet i kolejnemu umieściła ostrze w oku. Uniknęła ciosu mieczem. Przetoczyła się po ziemi i przywódcy Artów wbiła nóż w krocze. Skoczyła na nogi i zaatakowała następnych przeciwników, kładąc ich zakrwawionych na ziemię. Zanim zdołała dopaść kolejnych ci salwowali się ucieczką do pierścienia mroku.

Nastąpiła martwa cisza przerywana przez niespieszne kłaskanie.

– Niesamowite... – uśmiechnął się kąśliwie Danen. – Na pewno jesteś siostrą Magi? A może jednak jakimś mrocznym demonem...? – drwił dalej. Po jego słowach Marint, jak wyrwana z transu odrzuciła sztylety na ziemię i w przerażeniu spojrzała na swoje zakrwawione dłonie. Danen zaś kontynuował:

– Nie bez powodu połem cię krwią ludzi światła. Jako po części zwiastun mroku poznałem jej moc, która oddziałuje także na moją ludzką połowę. I oto okazuje się, że działa również w przypadku czystej istoty światła. Ta szybkość, bezwzględność... Lecząca zastanawia mnie, skąd tak doskonała technika...?

Marint w końcu odwróciła wzrok od swoich dłoni i spoglądając w ślad za pierzchającymi Artami, w zamyśleniu oznajmiła:

– Stary lokaj mojego brata, niemowa. To on mnie uczył. Podpatrzyłam go kiedyś jak ćwiczył walkę sztyletami.

– Rozkazałaś mu, aby cię uczył?

– Prosiłam go...

– Oczywiście...

– Jednak nie sądziłam, że kiedyś użyję ostrzy, aby zabić...

– I jakie to uczucie?

– Miałeś rację... Zależy kogo i dlaczego się zabija. Ci ludzie zasłużyli na śmierć. Zabiliby nas, a potem zabijaliby innych.

– Jak słyszę posiadamy różne motywacje, ale bez takich czy innych stajesz się owcą prowadzoną na rzeź. Aby prze-trwać niezbędna jest pewna doza bezwzględności. Pomożesz mi wstać?

– Oczywiście, za chwilę. – Marint przywdziała spodnie jedynego martwego Arta, który takowe posiadał. Za pasek od spodni wcisnęła noże i udała się do Danena, aby służyć mu swoim ramieniem.

Niebawem wspólnie przekroczyli granicę światła i mroku. Danen spoczął w ciemnościach jednak nie poczuł się lepiej. Zsiniały mu wargi i zaczął silnie dygotać. Nie pomogła także świeża krew Artów, którą po nabraniu w usta natychmiast zwrócił. Pewne ukojenie przyniósł mu dopiero bliski kontakt z ciałem Marint. Ułożyła ona głowę mężczyzny na własnych piersiach. Wtedy zapadł w ozdrowieńczy sen.

Gdy się przebudził był sam. Spróbował podźwignąć się na nogi i z zadowoleniem odkrył, że wszelkie objawy choroby ustąpiły, a w jego ciało wstępowały nowe siły.

Rozejrzał się za Marint, ale nie dostrzegł jej w ciemno-

ściach, więc udał się na poszukiwanie kobiety. Nieopodal na skraju światła i mroku zauważył ją nad wąskim strumieniem. Przykucnęła przy nim i obmywała swoje nagie ciało.

Danen z przyjemnością spoglądał jak woda łagodnie spływała jej po plecach i dalej pomiędzy pośladkami. Przykuł do nich wzrok i pomyślał o żonie z klanu wilków, którą nieraz obserwował ukradkiem w podobnych okolicznościach.

– Wilczy Kieł... – szepnął i poczuł żądzę inną niż głód krwi, lecz niemal równie silną, która wręcz pchała go na przód do nagiego ciała.

Podszedł do kobiety od tyłu i przylgnął do jej pleców. Zaskoczona skuliła się, a on powiedział jej cicho do ucha:

– Uratowałeś mnie, ale to nic między nami nie zmienia, masz mi służyć, rozumiesz?

– Tak...

– Służyć na wiele sposobów. – Przeciągnął rękę po jej kroczu.

– Ale... Ja jeszcze nigdy...

– Jesteś dziewicą?

– Tak...

– Tym lepiej. Będzie bolało, czasem musi boleć. Po prostu krzycz, wyj jak wilczyca. – Pchnął klęczącą Marint tak, że wsparła się na łokciach. Położył dłoń na jej pośladku, a szponami objął piersi, które zranił.

– Jestem gotowa, jestem twoja... – wyszeptała i pochyliła głowę, zanurzając czoło w szemrzącym strumieniu. Spoglądała jak z piersi skapuje jej krew i coraz szybciej oddychała, gotowa przyjąć w siebie mężczyznę, który w połowie był zwiastunem mroku. Nagle ogarnął ja strach. – Poczekaj...

– powiedziała błagalne i chciała się wyrwać, po czym przestrzeń wypełnił jej krzyk: – Och!

XXI. PIERWOTNY MUR

Opuściwszy Przekłątą Rubież Sageon i Orsis dotarli do wolnych miast położonych na północ od ziem Cesarstwa. Ze względu na fakt, że podróżowali na grzbiecie węzowego skalanta dalszą drogę na południe zdecydowali się kontynuować przez tereny rzadko zamieszkane przez ludzi.

Wybór padł na trasę wiodącą wzdłuż Pierwotnego Muru w piątym pierścieniu światła. Pośród tropikalnej roślinności mieli nadzieję nie niepokojeni dotrzeć przez ziemię Zakonu aż do Królestwa Malgun. Stamtąd zaś, już bez pomocy dosiadanego obecnie zwierzęcia, do celu swojej podróży czyli księstwa Varnes.

– Za każdym razem, gdy spoglądam na tę konstrukcję robi na mnie niespotykane wrażenie. – Sageon z podziwem popatrzył na gigantyczny mur, którego szczyt ginął niemal w ciemniejących na niebie chmurach.

– Ha! – parsknęła Orsis. – A może chcesz posłuchać, co na temat tej bariery wspominała moja piastunka?!

– Sam nie wiem... – powiedział kwaśno wojownik. – Opowieści twojej piastunki są jak samospełniające się przepowiednie, złowrogie przepowiednie...

– Masz na myśli nasz ostatni kontakt z rasą demonów w mrocznych mgłach?

– Nie inaczej, to były demony, Orsis. I te demony żywo mi kogoś, czy raczej coś, przypominały, gdy przybierały fizyczną

postać. Niewątpliwie także to zauważyłaś...

– Wierz mi, z moim zmysłem zwiastuna mroku dostrzegłam o wiele więcej.

– Zatem...?

– Prawdą jest, że zmierzylśmy się z inną formą naszych gadzich znajomych.

– Właśnie...

– Ale czy nie zastanowiło cię do kogo należały bielejące na ziemi kości oraz splecione ze sobą, wirujące ciała?

– Aż boje się spytać...

– To nie pytaj.

Zapadła dłuższa cisza.

– No wyduś to z siebie, Orsis... – jęknął Sageon.

Kobieta uśmiechnęła się drwiąco i oznajmiła:

– W każdym wirze znajdowały się uwięzione duchy istot zabitych przez demony i służące im jako niewolnicy oraz wspólnicy w dokonywaniu kolejnych mordów.

– Powiedz, że to nieprawda...

– Ano prawda, zawsze ją mówię! – wypaliła gromko kobieta.

– Więc żeby uwolnić zniewolone dusze...

– Trzeba zabić ich pana, demona we własnej osobie – dokończyła zdanie Orsis.

– Więc powinniśmy tam wrócić.

– I dołączyć do grona niewolników po swoim niechybnym zgonie? Powodzenia, sam widziałeś ile jest tych mgieł, a w nich demonów, z których wielu dysponuje straszną siłą, że o ich wielkości nie wspomnę.

– Nie sądziłem, że taki koszmar może istnieć na tej nie-

szczęsnej ziemi...

– Ta planeta jest nasączona cierpieniem i krwią. Są jak nawóz, z którego wyrastają chwasty, czyli wszystkie istoty tego świata.

Sageon chciał właśnie powiedzieć coś na obronę świata, a szczególnie ludzi światła, lecz zamiast tego wskazał ręką do góry i krzyknął:

– Uważaj!

Kobieta szybko skierowała węzowego skalenta w bok i dzięki temu uniknęła spadającej z Pierwotnego Muru lawiny kamieni.

– Mało brakowało – syknęła.

– Zobacz na to... – Sageon wbił wzrok w potężne pęknięcia na kamiennej barierze. – Więc według twojej piastunki przed czym właściwie ma chronić ta niszcząca konstrukcja? – zainteresował się.

Orsis ostentacyjnie westchnęła i rzekła:

– Jak sama nazwa wskazuje Pierwotny Mur powstał dość wcześniej. Czyli tuż po stworzeniu świata na początku pierwszej ery. W tamtym czasie Boginie Światła i Mroku podobno nie ogarnęły całego burdelu po walce z Boginią Ziemi i za tą barierą zamknęły jej moc, a ją samą pod ziemską skorupą.

– O tym słyszałem. A o czym nie słyszałem, za to twoja piastunka tak?

– Za barierą świat się zmienił i ma być niepodobny do naszego. Ale co tam tak naprawdę jest, tego nikt nie wie, nawet moja piastunka.

– Zapewne nie ma tam niczego dobrego...

Po słowach Sageona przez szczyt Pierwotnego Muru prze-

wiesiła się monstrualnych rozmiarów macka jakiegoś stwora i kolejna lawina kamieni runęła w dół.

– Zdaje się, że za Pierwotnym Murem jest coś, co ma ochotę się stamtąd wydostać i czyni interesujące postępy – skwitowała ostatni widok Orsis.

XX. CHLEB

Z Dakkisz Gisha i Wiron udali się do niezbyt odległego imperialnego miasta Betisz. Na miejscu zastali trwające oblężenie. Jak się dowiedzieli ciągnęło się już trzynasty cykl snu i było przeprowadzane w sennej atmosferze: najeźdźcy postanowili zmusić obrońców do kapitulacji głodem. Jednak na widok Gishy dowódcy jeźdźców entuzjastycznie przyklasnęli dla pomysłu wysłania dziewczyny na negocjacje w nadziei, że dokona ona przełomu, jak podczas oblężenia poprzedniego miasta.

Niestety tym razem nawet najwymyślniejsze przekleństwa nie pozwoliły Gishy przekroczyć miejskiej bramy. Gdy tylko dziewczyna zdradziła swoją tożsamość w jej stronę posypały się strzały oraz włócznie i musiała ratować się ucieczką.

Przekaz był jasny – dowódcy miejskiego garnizonu nie zamierzali rozmawiać z Gishą. Nie chcieli pozwolić, aby zła- mała morale obrońców i doprowadziła do poddania Betisz.

Dała więc za wygraną i wraz z niemal nieodstępującym jej na krok Wironem, przeprowadziła wizytację własnego oddziału – ludzi, którzy podróżowali z nią od zniszczonego, imperialnego obozu. Obecnie pozostało ich około tysiąca. I jak usłyszała od nich Gisha, pozostali tylko dlatego, że nie mieli dokąd wracać. Za to solidarnie skarżyli się na kiepskie wyżywienie i brak żołądu. Ich przywódczyni postanowiła temu zaradzić.

– Ta błyskotka... – pokazała Wironowi połyskujący pierścień na swoim palcu. – Ile może być warta?

Młodzieniec przyjrzał się zaprezentowanej biżuterii, choć Gisha odnosiła wrażenie, że jego spojrzenie co raz ześlizgiwało się na jej palce. W końcu swobodnie przemówił:

– Dłoń, którą zdobi ów pierścień uważam za absolutnie bezcenną. Każdy z drobnych paluszków jest niewątpliwie wart największych skarbów świata. Jednak sama błyskotka... – zadumał się. – Nie mam pojęcia ile może być warta. – Rozłożył bezradnie ręce i zaraz dodał: – Choć zdaje się, że mam w oddziale kogoś, kto swego czasu wytwarzał biżuterię. Proponuję zasięgnąć u niego opinii.

– A więc w drogę.

Domniemanym rzeczoznawcą okazał się mężczyzna w sile wieku z długimi kasztanowymi włosami, wąsami i brodą. Nie miał on trzech palców u prawej dłoni, co bezpośrednio wpłynęło na zmianę wykonywanej przez niego profesji, mianowicie zajęcie się wojaczką. Przyjrzał się on z uwagą wręczonemu mu pierścieniowi i pewnym siebie głosem oświadczył:

– Walczymy po jednej stronie, pani. Do tego z Wirona jest dobry kompan. – Puścił do młodzieńca oko. – Dlatego nie będę cię, pani, oszukiwał.

– To bezwartościowe szkiełko...? – zapytała posępnie Gisha. Mężczyzna szybko wyprowadził ją z błędu:

– To niezmierzone bogactwo, którego ja, Kasad, nigdy nie widziałem na oczy.

– Ale... – zająknęła się Gisha. – W moich czasach pierścienie

najwyższych kapłanek nie są tak wiele warte. Materiał z ja-

kiego są wykonane jest dość powszechny.

– W pani czasach...? – zainteresowała się Kasad.

– Skoncentrujmy się na pierścieniu – wtrącił pośpiesznie Wiron.

– Zatem dobrze... – Kasad zmierzył młodzieńca wzrokiem, po czym wpatrując się w pierścień, kontynuował: – Mamy przed sobą unikatowy minerał zwany klazurytem. I o ile mi wiadomo jego naturalne złoża nie występują na naszej planecie.

– Więc skąd się tutaj wziął? – zapytała Gisha.

– Z nieba – uśmiechnął się dobroduszenie Kasad. – Legendy głoszą, że wręcz z samego słońca. Klazuryt odnaleziono na drugim krańcu świata. Tam, gdzie spadają meteory, czyli w Pasie Gwiazd.

– I jesteś pewien, że możemy dostać za niego wysoką cenę? – niedowierzała Gisha.

– Bardzo, ale to bardzo wysoką cenę – poprawił Kasad.

– Klnę się na moje pozostałe palce – pokazał otwarte dłonie z siedmioma palcami.

Niebawem niedawna trójka rozmówców zmierzała do pobliskiej wioski. Jak zdążyła się dowiedzieć Gisha na zajmowanych terenach najeźdźcy z Kardanoru starali się utrzymać co najmniej poprawne relacje z miejscową ludnością. Musiała ona płacić podatek wojenny, jednak określonej wysokości, który nie rujnował doszczętnie mieszkańców. Natomiast o grabieniu i paleniu wiosek nawet nie było mowy. Stanowiły one jedyne źródło zaopatrzenia dla wojsk i bez nich niemożliwe było przeprowadzanie długich kampanii wojennych.

Tymczasem trzej jeźdźcy zajechali na piaszczysty plac

usytuowany pomiędzy drewnianymi zabudowaniami. Ze-
szli z rumaków i kazali przyzwać do siebie osobę sprawującą
pieczę na mieszkańcami zwaną starszym wioski.

Okazał się nim nieco otyły mężczyzna z ogorzałą twarzą
i chytrymi, piwnymi oczkami. Ugościł on przybyszów na
świeżym powietrzu, sadzając ich na długiej ławie. Sam stanął
naprzeciw nich i w zadumie oglądał zaprezentowaną mu błę-
skotkę.

– Więc powiadacie, że to pierścień najwyższej kapłanki.
Z tego kazurytu, he...? – mruknął.

– Klazurytu – poprawił Kasad.

– Klazurytu... – powtórzył pod nosem starszy wioski. –
Sam nie wiem... – westchnął ciężko, przypatrując się błę-
skotce z wyraźną niechęcią. – Czy to nie jest przypadkiem
podróbka...? – Spojrzał na pierścień pod światło i paskudnie
się zmarszczył.

– Jeżeli ten pierścień jest podróbką to ja też – odparła pre-
tensjonalnie Gisha. W jej obronie natychmiast stanął Wiron:

– Zapewniam, że przybyła z nami dama nie jest podróbką
– uśmiechnął się zawadiacko.

– Aha... – Starszy wioski nie wydawał się przekonany.
W końcu wysmarkał się ostentacyjnie na ziemię i zmęczonym
głosem oświadczył:

– Ze względu na piękną panią... – Spojrzał na Gishę. –
Mogę zaproponować osiemnaście koszy chleba i dwa kosze
świeżych warzyw. Niech stracę...

– Serdecznie dziękujemy – powiedział Kasad.

– Naprawdę...? – Starszy wioski nagle się rozpromienił.

– Dziękujemy za pogawędkę i żegnamy. – Kasad zabrał

pierścień z ręki wioskowego przywódcy i rażnym krokiem skierował się do przywiązanych w pobliżu koni.

– Czekaj! – wydarł się za nim starszy wioski, który raptem odzyskał wigor i przygaśł ponownie. – Ja...

Kasad przystanął.

– Tak, ty...? – zapytał.

– Ja... – Starszy wioski, krzywiąc się na twarzy nie mógł znaleźć właściwych słów. – Ja...

– Jestem oszustem – pomógł mu Kasad. – Jestem podłym oszustem, który węsząc okazję chciał beczelnie oszukać piękną damę i szlachetnych wojowników Kardanoru.

– No cóż... – Starszy wioski załamał ręce i wbił wzrok nisko w piaszczystą glebę. Niedługo czas potem rozesłał do okolicznych wiosek posłańców, aby zdobyć ustaloną zapłatę.

Tym sposobem pod murami obleganego Betisz Gisha pojawiła się na czele długiego sznura wozów. Wypełnione były koszami z jedzeniem i klatkami z drobiem. Za wozami podążało stado bydła. Na dodatek do siodła dziewczyny przytroczono dwa pękate worki z irium.

Jednak zamiast skierować się do swojego obozu dziewczyna niespodziewanie zapowiedziała postój. Podeszła do rzędu katapult ciskających na miasto kamienie i siłą swego autorytetu wymusiła na obsłudze urządzeń poddanie się jej rozkazom.

Skonsternowani żołnierze załadowali na katapulty kosze z chlebem i wystrzelili wprost na głodujące miasto. Następnie Gisha kazała czekać.

W pewnym momencie ponad murami niespodziewanie załopotała biała flaga, a brama do miasta się otworzyła.

Zgodnie z oczekiwaniem dziewczyny uratowani od śmierci głodowej mieszkańcy Betisz sami rozbroili stacjonujący tam garnizon wojskowy.

Wiwatom na cześć Gishy nie był końca i to z każdej strony. To było jej małe zwycięstwo, a jednocześnie odkupienie. Zdobyła miasto bez przelewu krwi.

W kolejnym cyklu snu dziewczyna siedziała z Wironem nad brzegiem strumienia. Zamyśleni moczyli stopy w wodzie i wpatrywali się w okoliczne, ukwiecone łąki, aż młodzieniec zabrał głos:

– Podsumujmy, pani imperator... Jeźdźców Kardanoru przeprowadziłaś przez szmat ziem Imperium. Oddałaś w ich władanie dwa miasta. Samotnie rozgromiłaś imperialny obóz. Czy może zatem dziwić, że dowódcy jeźdźców uklękli przed tobą? Oddali ci pokłon i samych siebie pod twoją komendę?

– Nie wszyscy – odparła Gisha.

– To prawda. Właśnie stanęłaś na czele sześciu tysięcy jeźdźców rodów Witarion i Kelle. Z oczywistych względów Ordowie cię nie poprą. W końcu król pochodzi z ich rodu. Jednak i tak daje to wielką siłę. A nie zapominajmy o czterech tysiącach piechoty w twoich szeregach.

– Aż cztery tysiące? – zdziwiła się Gisha.

– Stałaś się słynna, o pani! – krzyknął radośnie Wiron.
– Jesteś tak szczodra i zwycięska, że wszyscy garną się, aby służyć pod twoją komendą. Do dwóch tysięcy urósł zaciąg imperialnych chłopów, którzy w dupie mają imperatora. Natomiast z Kardanoru przybyły posiłki w postaci kolejnych dwóch tysięcy piechurów.

– Niech zgadnę z rodów Witarion i Kelle...?

– Nie inaczej. I jak tak dalej pójdzie zostaniesz nie tylko nową imperator, ale i królową mojego kraju!

– Stonuj emocje... – Gisha nabrała w dłonie zimnej wody i uśmiechając się, wylała młodzieńcowi na głowę. Ten otrząsnął się, a dziewczyna kontynuowała: – Wiesz, że kiedy zbyt urosnę w siłę znajdą się tacy, nawet w obozie sojuszników, którym będzie to wadzić.

– Na razie jesteś języczkiem uwagi i nikt nie śmie walczyć z niezwyciężoną Gishą Pogromczynią. – Wiron puścił kobiecie oko i odruchowo odsunął się przed spodziewanym kuksańcem. – Ajć – nie zdążył. Zaraz spowaźniał i mówił dalej: – Główne siły Imperium w sile trzydziestu tysięcy ludzi są daleko na południu. Szachują się tam z trzonem armii Kardanoru, która szczyli się podobną liczebnością. No i z jednej strony stoją golemi, a z drugiej doświadczeni, bitewni magowie. My prowadzimy działania dywersyjne na północy. Lecz właśnie gruchnęła wieść, że do wojny przystąpiła jeszcze jedna siła.

– Niech zgadnę. Zgodnie ze znanym mi proroctwem Królestwo Sybilli z północy?

– Dokładnie tak. Dwadzieścia tysięcy zbrojnych Sybilliańczyków ruszyło w kierunku rzeki Doran. Razem z królem Kardanoru chcą wziąć wojsko Ultarona w kleszcze. Może dojść do wielkiej bitwy.

– W historii, którą znam, doszło...

– I kto wygrał? – zapytał łakomie Wiron.

– Bitwa była straszliwa i wszyscy jej uczestnicy okazali się przegranymi...

– Hm... Z jednej strony brzmi to źle... Z drugiej natomiast

toruje drogę do imperialnego tronu właśnie dla ciebie...

– Myślisz, że tak jak w poprzedniej wersji historii ja, czyli Świetlisty Promyk, poprowadziłam do potęgi Zakon Światła. Tak teraz, jako mianowana przez króla Kardanoru imperator, mogę nie dopuścić do upadku Imperium i władać nim?

– Wyjęłaś mi to z ust.

– Zaiste byłaby to straszliwa zemsta na zakonie... – szepnęła, jakby do samej siebie Gisha.

– Co powiedziałas? Nie dosłyszałem. – Wiron nadstawił ucha.

– Nie, nic... Zatem co teraz proponujesz?

– Unikajmy konfrontacji i nie róbmy sobie wrogów. Spokojnie rośniemy w siłę, a inni niech się wykrwawiają.

– Czyli zgodnie z rozkazem króla Kardanoru ruszamy na Azzarisz?

– Tak, powinniśmy... – zgodził się Wiron, po czym wyraził swoje wątpliwości: – Niestety Azzarisz nie jest po prostu kolejnym miastem, które zdobędziesz chlebem czy przekleństwami...

– Czemu?

– To potężna twierdza z regularnym wojskiem i... bitewnymi magami – wzdrygnął się na ostatnią wzmiankę Wiron.

– A jeżeli nie wykonamy rozkazu i nie udamy się pod mury Azzarisz, to jak zareaguje władca Kardanoru?

Wiron zasępił się.

– Jeżeli król stwierdzi, że przestałaś być jego sojusznikiem, może uznać cię za wroga, a wtedy sprawy mogą pójść bardzo źle...

– A więc postanowione.

- Co takiego?
- Przystąpimy do oblężenia Azzarisz i zgodnie z rozkazem króla zdobędziemy miasto w przeciągu dwudziestu siedmiu cykli snu. A przy okazji osłabimy potencjalnego wroga.
- Nie rozumiem?
- Ordowie w naszych szeregach...
- Chcesz wysłać ich w pierwszej linii, na śmierć...? – skrzywił się młodzieniec.
- Wiem, że to okrutne...
- Ale jakże skuteczne... – westchnął Wiron. – To dobry plan...
- Myślisz, że znowu opętał mnie demon? – spytała z pewnym bólem Gisha. Na co jej rozmówca z zakłopotaniem podrapał się po karku. – Otóż nie, nie opętał. Dlatego ja także pójdę z Ordami. Ruszę razem z nimi w pierwszym szeregu – powiedziała odważnie dziewczyna.
- To szaleństwo... Masz wielką szansę, aby zginąć... – Twarz Wirona naznaczył smutek.
- Wiem, ale muszę tak zrobić.
- Czy... Czy ty umiesz chociaż walczyć...?
- W życiu nie trzymałam w dłoni miecza i nie zamierzam.
- Ech... – Wiron spuścił głowę i pokiwał nią smętnie.
- Ale liczę, że pójdiesz razem ze mną i mnie ochronisz...
- Gisha położyła dłoń na ramieniu młodzieńca. Ten spojrzał na nią i już pogodnie odpowiedział:
 - Pójdę za tobą wszędzie, choćby w ogień i przede wszystkim znajdę ci wielką tarczę...
- Gisha się uśmiechnęła i pocałowała go w usta. Wiron ją objął, a wtedy raptownie się odsunęła.

– Wystarczy – spoważniała. – Mówiłam ci... Ostatnie lata spędziłam wyłącznie z kobietami. I kiedy jesteś tak blisko, gdy cię dotykam i kiedy ty mnie dotykasz...

– W porządku, już w porządku. – Wiron uśmiechnął się szczerze i pokazał otwarte dłoni, jakby się poddawał. – Za obietnicę wstawiennictwa w przyszłej bitwie i tak otrzymałem już prawdziwe bogactwo. – Przyłożył palce na swoich ustach i wywrócił oczy do góry.

– Dobrze... – Gisha się rozluźniła. – Zatem zarządzę wymarsz na Azzarisz. I pamiętaj, że jest to nie tylko twierdza do zdobycia.

– Masz na myśli dostęp do wielkiego archiwum?

– Tak, muszę dowiedzieć się co poszło nie tak i dlaczego nie jestem Świetlistym Promykiem...

XXIII. ŚWIATŁO W MROKU

Coś, co w pewnym momencie wydawało się już tylko przebrzmiałą historią, obecnie ziszczało się jako prawda i miało na imię szczęście. Tak, Kegen czuł się szczęśliwy i to nie z powodu bogactwa i władzy, których na ten czas nie posiadał tak wiele. Niekłamaną radością nappełniało go rodzinne życie w świetle z dala od przekłętego mroku.

Z dumą spoglądał na rosnące dzieci, a przynajmniej na jedno z nich, bo wobec Nakis ciągle odczuwał dystans. Jednak przede wszystkim był szczęśliwy u boku ukochanej kobiety. Ponadto kobiety, która choć wydawała się inna niż przed jego porwaniem, to bezsprzecznie ją kochał i pragnął mieć z nią kolejne dzieci.

Rodzina. To słowo znaczyło teraz dla Kegeny więcej niż kiedykolwiek przedtem.

*

Kati ucałowała w czoło małą Nakis oraz Albiego i zostawiła dzieci pod opieką Alistri. Sama wraz z mężem udała się dorożką na peryferia miasta. Tam zatrzymali się przy stadninie koni i wynajęli parę płowych rumaków.

Był przepiękny słoneczny czas, a nieskazitelny błękit nieba nie kalala najmniejsza nawet chmura przez co pogoda wręcz sama zapraszała na dłuższą przejażdżkę.

I tak ruszyli żwawo galopem w kierunku trzeciego pierścienia światła, gdzie rozpościerały się żyzne ziemie Królestwa Malgun. Mijali słabo zaludnione tereny pełne ukwieconych łąk i trawiastych pastwisk dla bydła. Tu i ówdzie napotykali wyrosnięte łąny zbóż gładzone łagodnymi powiewami wiatru. Czasem przejeżdżali przez sady i nie scho-
dząc z koni chwyтали z drzew dojrzałe owoce. Raczyli się ich słodkim miąższem, śmiali się przy tym i toczyli beztrudne rozmowy. Wydawali się naprawdę szczęśliwi i tak byli zaabsorbowani otaczającą naturą, a przede wszystkim sobą nawzajem, że nawet nie zauważyli, kiedy niebo nad nimi gwałtownie pociemniało.

– Znosi się na burzę – oznajmił Kegen, zadzierając wysoko głowę.

– To prawda – zgodziła się Kati. – Zdażymy wrócić do miasta?

– Nie damy rady. Najciemniejsze chmury idą od strony pierścieni mroku.

– Więc co zrobimy?

Kegen wstrzymał konia, a za nim Kati. Mężczyzna rozejrzał się uważnie po okolicy i oświadczył:

– Przeczekamy burzę w ustronnym miejscu. Może tam...? – wskazał niewyraźny zarys drewnianych zabudowań widoczny na północnym horyzoncie.

– Świetna myśl – przystanęła na ten pomysł Kati i nawróciła konia. – Ścigajmy się! – krzyknęła i pognęła co sił do przodu. Za nią pogalopował Kegen. I tak, śmiejąc się, wraz z pierwszymi rzędistymi opadami wspólnie dotarli do zniszczonej szopy.

Mężczyzna zeskoczył z wierzchowca i pomógł zsiąść kobiecie. Spętał konie i przywiązał do drewnianej belki. Następnie krytycznie popatrzył na odnalezione schronienie.

– Marnie to wygląda... – powiedział, spoglądając na pozbawioną dwóch ścian szopę z podziurawionym dachem, która tylko sobie znanym sposobem jeszcze się nie zawaliła.

– W tym miejscu będzie chyba najbardziej sucho. – Kati podciągnęła długą, żółtą suknię i stanęła w jedynym rogu szopy osłoniętym ścianami oraz wydawało się szczelniejszym dachem.

Kegen podszedł do żony. Razem wsłuchiwali się w narastające opady deszczu i wpatrywali w coraz większe strugi wody, przeciekające przez zniszczony dach.

Nagle silnie zagrzmiało i Kati odruchowo wtuliła się w Kegen. Ten objął ją mocno i dla pocieszenia pomasaował po plecach.

– Dziękuję ci, że jesteś... – szepnęła mu na ucho Kati.

– Cała przyjemność po moje stronie – odparł czule. Uśmiechnął się i pocałował ją w usta. Trwali długo we wspólnym pocałunku aż mężczyzna przeniósł dłonie na pośladki kobiety, po czym zaczął z wolna podwijać jej suknię do góry.

– Chcesz to zrobić tutaj, teraz...? – Kati lekko skrzywiła się na twarzy.

– Chcę się kochać z tobą zawsze i wszędzie – odpowiedział jak natchniony. – Obecnie dałaś mi tak wspaniały czas, jakiego nie jestem w stanie sobie przypomnieć. Jesteś doskonała niż kiedykolwiek przedtem... – Ponownie pocałował kobietę w usta i obsypał jej szyję pocałunkami.

– Wspanialsza niż kiedykolwiek przedtem...?

– Tak, bez wątpienia... I do pełni szczęści potrzebuję teraz tylko jednego... – Kegen podwinął suknię do końca. Odwrócił kobietę tyłem do siebie i ściągnął jej z pośladków bieliznę. Sam odpiął klamrę od paska do swoich spodni. – Oprzyj się rękoma o ścianę – powiedział do Kati. On spełnił polecenie. – Jesteś gotowa? – zapytał namiętnie.

– Nie... jeszcze nie...

Naraz rozległ się potężny grzmot od przeszywającej niebo błyskawicy i z tą chwilą Kati poczuła, że mężczyzna znalazł się w niej.

– Och! – krzyknęła. I przy każdej kolejnej błyskawicy, gdy Kegen kochał się z nią coraz mocniej, krzyczała jeszcze głośniej. W pewnym momencie mężczyzna przyspieszył oddech i silnie wpił palce w talię kobiety. Ona wiedziała co to oznacza i w ostatniej chwili się wysliznęła. Odwróciła się i opuściła suknię.

– Przepraszam... ale... – zająknęła się zakłopotana.

Kegen patrzył na nią osłupiały.

– Co się stało...? – wydusił z siebie.

– Zapomniałam...

– Czego zapomniałaś...?

– Zapomniałam przyjąć napar z ziół... – Kati wbiła wzrok nisko w błotnistą glebę.

– Nie rozumiem, jakich ziół...?

– Owszem, rozumiesz... Wiesz jakich...

Kegen przetarł dłonią zmoczoną deszczem twarz i z ciężkością w głosie powiedział:

– Więc przyjmujesz zioła... Niech zgadnę: mroczne zioła,

które sprawiają, że dziecko ludzi światła nie wyjdzie z mroku, z kobiecego łona...

– Tak...

– Kati... – Kegen chwycił ją za ramiona i łagodnie się do niej zwrócił: – Czemu to robisz? Nie rozumiem tego...

– Powiedziałeś niedawno, że jestem wspanialsza niż kiedykolwiek wcześniej... – Z wolna uniosła głowę i popatrzyła Kegenowi w oczy. – Naprawdę tak uważasz, czy były to tylko piękne słowa, podarowane jak bukiet kwiatów...?

– Kati... – Kegen uśmiechnął się lekko. – Nie da się ukryć, że ty i ja się zmieniliśmy. Po powrocie z mroku nie jestem już szczeniakiem z przerostem ambicji, spoglądam dalej. Przynajmniej chciałbym wierzyć, że tak właśnie jest. Ty zaś...

– Musnął kobietę po policzku. – Przyznaję, że na początku, po moim powrocie, było mi trudno cię zaakceptować, to jak się zachowywałaś. Lecz potem... – Mężczyzna zamknął oczy i głęboko westchnął. A kiedy znowu spojrzał na Kati z czułością mówił dalej: – Potem odkryłem w tobie rzeczy jakich nigdy się nie spodziewałem odnaleźć. Zaskoczyłaś mnie, a ja na powrót się w tobie zakochałem tyle, że...

– Tak...?

– Zakochałem się jak nigdy w życiu i po stokroć bardziej. I ponad wszystko pragnę owocu tej miłości. Pragnę abyś dała mi następne dziecko, droga Kati...

Kobieta spoglądała dłuższy czas na stojącego przed nią półnagiego mężczyznę. Potem rozpięła guziki swojej sukni. Zdjęła ją i zawiesiła na metalowym haku. Rozebrała się do końca i niczym w wykwintnej pościeli ułożyła w miękkim błocie. Uśmiechnęła się kusząco i wykonała zapraszający gest dłonią.

Kegen czym prędzej zdarł z siebie koszulę i utonął w błogości kobiecego ciała. Oboje kochali się szaleńczo, tarzając się w błocie. Smagał ich deszcz, grzmiało i strzelały błyskawice, a oni nie poprzestawali na namiętności. Kochając się, całowali i pieścili nawzajem swoje ubłocone ciała. Nie zważając na nic, aż do całkowitego spełnienia, obdarowywali się czystą rozkoszą.

XXIV. ODWET

Z pomocą opiekunki Druga z Dziewięciu zdjęła dłoń z czoła klęczącej Waltari. Ta odezwała się:

– Dziękuję, pani, za błogosławieństwo. Tak, jak obiecałam, zwyciężyliśmy. Ordowie zostali pokonani. – Klęcząca kobieta zrobiła pauzę i nie podnosząc wzroku, kontynuowała: – Teraz jednak, proszę, pani, abyś zdecydowała o kolejnym kroku, o którym wspominałam. Wiem, że proszę o wiele. Zdaję sobie sprawę, że to zamach na największą świętość. Zostało nam zaszczepione, że nie możemy nawet pomyśleć o tym, aby podnieść na nich rękę. Ale to są źli ludzie. I z ich poczynań wyjdzie samo zło. A przede wszystkim stoją nam na drodze. Muszą zginąć i nikt nie może zająć ich miejsca.

Waltari zamilkła i czekała na błogosławieństwo. Jednak czas mijał i nic się nie działo.

– Odejdź, ona się nie zgadza. – Głos zabrała jedna z opiekunek Drugiej z Dziewięciu. Okaleczona kobieta nie była w stanie samodzielnie poruszać ani nogami ani rękoma. Nie mogła sama jeść. A poza porą przyjmowania posiłków jej usta były stale zabandażowane, tak sobie życzyła. – Powiedziałam odejdź, ona się nie zgadza – powtórzyła opiekunka.

Waltari wciąż czekała, coraz silniej zaciskając pięści. Podejrzewała, że taka chwila nadejdzie prędzej czy później. Sytuacja, w której Druga z Dziewięciu nie poprze jej planów. Lecz nie zdawała sobie sprawy, iż tak ciężko będzie jej przyjąć odmowę.

Wreszcie zebrała się w sobie.

– Niech i tak będzie, pani – oświadczyła z ciężkością w głosie. – Nie wcielę w życie przedstawionych zamierzeń. Wstała z klęczek, skłoniła się i odwróciła.

– Czekaj – usłyszała za sobą głos opiekunki. Spojrzała przez ramię na Drugą z Dziewięciu. Jej ręka zadrżała. – Uklęknij.

Waltari poszła za tym skazaniem.

Okaleczona kobieta uniosła lekko rękę, a opiekunka poprowadziła jej dłoń na czoło Waltari.

– A więc postanowione – rzekła z ulgą obdarowana błogosławieństwem kobieta. – Nie zawiodę cię, pani.

*

Minęło kilkanaście cykli snu i kobieta w purpurze z prawie setką zbrojnych ludzi dotarła do Garnok. W skład jej oddziału weszły najbardziej bezwzględne szumowiny jakie udało jej się znaleźć w karczmach Ebrim oraz w szeregach wojowników Kelle i rodu Witarion.

Jednak nauczona doświadczeniem tym razem nie zamierzała popełnić starych błędów. Przywódcom wspomnianych trzech grup z miejsca zapowiedziała, że jeżeli któryś z ich ludzi podniesie rękę na Waltari, bądź jej strażniczkę, wówczas pozostałe dwie grupy zmasakrują oddział prowodyra. Przekaz był jasny i skutkował tym, że prowadzony przez kobietę oddział był karny i zdyscyplinowany. Teraz natomiast musiał zdać kolejny egzamin, a mianowicie bezwzględnego okrucieństwa.

Przed jedyną bramę prowadzącą do podziemnego miasta Garnok wyszła przedstawicielka Trójcy, Daut. Za nią ustawiło się kilkunastu miejskich strażników.

Starsza kobieta postąpiła naprzód i zatrzymała się przed stojącą na śniegu, wysuniętą samotnie Waltari.

– Masz to, czego żądałaś. – Daut wysiliła się na nieszczerzy uśmiech i złożyła u stóp kobiety w purpurze przewiązane wstążkami woluminy.

– To na pewno wszystko? – Chciała się upewnić Waltari.

– Wszystko, co świątynia przechowuje na temat golemów, zapewniam. A teraz, zgodnie z umową, pozwól mi odejść.

– Pozostali z Trójcy są w mieście?

– Tak. Jak również przeszło dwie setki pielgrzymów i trzydziestu praktyków. Pozwól mi odejść.

– Wracaj tam, gdzie twoje miejsce – rzuciła lodowato Waltari, wskazując otwartą bramę prowadzącą do miasta. – Wracaj – warknęła.

– Więc tyle znaczy twoje słowo...?

– Wracaj tam, gdzie dane słowo nie znaczy nic! – Waltari poniósł gniew. – Wszystko mogło potoczyć się inaczej! To wasze kłamliwe słowa i dwulicowe półuśmiechy sprawiły, że ściągacie na siebie zgubę! Wracaj!

– Nie wrócę tam...

– Owszem, wrócisz. – Waltari wyciągnęła sztylet i z zimną krwią przejechała nim po gardle Daut. Ta padła na kolana, a biały śnieg zrosiły czerwone krople jej krwi.

– Strzelcy! – krzyknęła kobieta w purpurze. Wystąpiła przed nią grupa kilkunastu kuszników. Na ich widok strażnicy świątynni zaczęli się wycofywać za bramę. – Strzelać

i do ataku! – zakomenderowała Waltari. Za salwą bełtów, które położyły trupem kilku strażników, pognęła grupa ludzi uzbrojonych we włócznie i topory. Kiedy dotarli do bramy ta została już zamknięta i zaryglowana. – Taran! – Kilkunastu oprychów pociągnęło na linach przymocowane do kół ogłoszone z gałęzi drzewo. Nie minęło wiele czasu, a taran zrobił swoje i droga do Garnok stanęła otworem. Waltari wskazała na Daut. Dwie osoby wzięły trupa za ręce oraz nogi i wrzuciły przez zniszczoną bramę do miasta. – Wozy! – Kobieta w purpurze wydała następny rozkaz i zniszczoną bramę zaryglowano wozami pełnym siana. – Ogień! – Wozy zostały podpalone, a wojownicy wrzucili płonące pochodnie do kominów wentylacyjnych podziemnego miasta Garnok. – Wszyscy zginął... – zakończyła, mówiąc już do samej siebie Waltari.

W nadchodzącym cyklu snu zezwoliła swoim ludziom splądrować spalone miasto i zabrać z niego wszelkie kosztowności. Wiedziała, że za sprawą bogactwa, jakie wpadnie w ich ręce, potem sami pójdą za nią choćby w ogień.

Kiedy grabież się dokonała kobieta w purpurze skierowała się ze swoim oddziałem w okolice Ebrim, gdzie zamierzała się spotkać z Drugą z Dziewięciu.

Okaleczona kobieta to właśnie na zniszczenie Garnok i zabicie Trójcy oraz pielgrzymów początkowo nie chciała wyrazić zgody. Jednak Waltari uważała to za niemal konieczność. Wiedziała, że dzięki wpływom Trójcy, z jej inicjatywy mogło w każdej chwili wybuchnąć w Kardanorze zbrojne powstanie. Teraz natomiast, dodatkowo po masakrze pielgrzymów, każdy będzie się lękał reaktywować kult Bogini Ziemi. Tak jak zaplanowała Waltari zasiała w Kardanorze

strach. Z kolei cała odpowiedzialność za bezwzględną masakrę miała spaść na kobietę w purpurze, której prawdziwa tożsamość na zawsze powinna pozostać tajemnicą.

XXV. KONFRONTACJA

Ubrana w porwaną, ubłoconą sukienkę dziewczynka wytarła smarki spod nosa i wyszła przed szereg obszarpanych gapiów. Wszyscy spoglądali na maszerujące równo uzbrojone we włócznie zakonniczki. Kobiety szły po dziewięć w szeregu i były ich całe zastępy. Cała rzeka wijąca się drogą z cesarskiej stolicy wprost na rozległe pole, gdzie niebawem miała rozegrać się wielka bitwa.

Dziewczynka spojrzała na ściskane w rączce przegniłe jabłko i cisnęła nim w paradę włóczniczek. Jedną z nich trafiła prosto w czoło. Zepsuty owoc rozbryzgnął się na kobiecej twarzy, pozostawiając na niej nieco brązowej mazi. Lecz trafiona zakonniczka nawet nie drgnęła tylko w skupieniu maszerowała dalej.

Naraz ze strony wieśniaków posypał się na zakonniczki prawdziwy deszcz zepsutych warzyw, owoców i kurzych jaj. Włóczniczki nie dały się jednak sprowokować i jak w transie postępowały naprzód.

*

Po powrocie Erna do Cesarstwa losy wojny szybko się odwróciły. Wrogie wojska najpierw przetrzebiła czerwona zaraza. Potem znaczną część zbrojnych zakonniczek odesłano na odsiecz obleganej Świątyni Światła. Ponadto w obliczu

wzmocnienia cesarskiego obozu sojuszem z Królestwem Malgun także wojska Alifa z wolnych miast były coraz mniej skore do walki i większość najemnych żołdaków powróciła do macierzy.

Jednym słowem Ern triumfował. Wraz z powiększoną do piętnastu tysięcy armią żołnierzy dotarł aż do dystryktu cesarskiego w pobliże samej stolicy. I od jej zajęcia dzieliła go tylko jedna bitwa, w której to on był faworytem

Obecnie cesarz stał na wzgórzu w towarzystwie Markapa, mając w zasięgu wzroku miejsce, gdzie niebawem miały się rozstrzygnąć losy cesarskiego tronu.

– Wygląda na to, że dopiąłeś swego, Wasza Wysokość. – Markap w zadumie rozejrzał się po okolicy pełnej zbrojnych zastępów. – Mam nadzieję, że było warto...

– Masz na myśli zgłiszcza jakie pozostawiliśmy za sobą?

– Myślę o tych, którzy zginęli, jak i tych, którym wkrótce przyjdzie zginąć z powodu tego, że ktoś walczy o władzę...

Ern westchnął.

– Masz prawo do własnej oceny sytuacji – oznajmił. – I nie winię cię za brak entuzjazmu dla wojaczki. W końcu przez większość życia byłeś nie oficerem, a kupcem.

– Lecz nigdy nie handlowałem cudzym życiem. – Markap popatrzył z obrzydzeniem na swoje dłonie, zupełnie jakby były brudne. – Zawsze przywoziłem ludziom pożądane przez nich produkty: żywność, narzędzia, a nigdy nie raczyłem ich cierpieniem, śmiercią czy... zarazą...

– Zaiste... Nasza tajna broń trochę wymknęła się spod kontroli – rzucił nonszalancko Ern.

– Trochę, Wasza Wysokość? W środkowych dystryktach

Cesarstwa zaraza rozszałała się na dobre. Zginęły już tysiące niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci...

– Na szczęście nie my zostaliśmy o to posądzeni. – Ern poprawił się w siodle. Upewnił się, że nikt nie podsłuchiwał toczącej się, nieco kłopotliwej rozmowy i zdecydowanie dodał: – Epidemia na ziemiach Cesarstwa wybuchła w zakonnym obozie. I ludzie to kupili. Uwierzyli, że właśnie zakonniczki przywlekły zarazę. Plan okazał się doskonały. Osłabił naszych wrogów, a nam przysporzył sprzymierzeńców.

– Więc teraz to zakonniczki przyniosły zarazę...? – Markap przestał z odrazą patrzeć na swoje dłonie i z równą niechęcią spojrzął na Erna.

– Przyjmujemy, że tak – odparł wymijająco cesarz. – Dla dobra sprawy zakonniczki oskarżymy o całe zło tego świata. Takiego podejścia wymaga od nas racja stanu.

– Mówimy o tych samych zakonniczki, w których szeregi zaszczepiliśmy zarazę i których setki zostały w niewoli zgwałcone przez naszych żołnierzy?

– Nikt nie zapraszał tutaj tych walczących kobiet. Poza tym sam wiesz, że nie mamy czym opłacać żołdu.

– Więc opłacamy go ciałami tych kobiet, abyś mógł, Wasza Wysokość, zasiąść na tronie?

– Tak. To właśnie prawo brutalnej wojny. Tak to wygląda i nie ma się czego brzydzić. To konieczność dziejowa. – Ern zrobił pauzę i z siłą w głosie zaznaczył: – Bez pewnych poświęceń i bezwzględnych działań nie można osiągnąć niczego wielkiego, stało się!

– Więc idź, Wasza Wysokość. Zdobywaj swoje wielkie rzeczy, ale uczynisz to beze mnie... – Markap nawrócił konia

i począł się z wolna oddalać.

– Co ty robisz, wracaj! – wrzasnął za nim Ern. – Rozkazuję ci, wracaj! To cesarski rozkaz!

Odjeżdżający jeździec nie posłuchał wezwania. Wobec tego Ern pokręcił z niezadowoleniem głową i zamiast dać się pochłonać wyrzutom sumienia, skoncentrował się na nadchodzącej bitwie:

W centrum przyszłego pola walki znajdowało się dziesięć tysięcy cesarskich piechurów, a na skrzydłach po dwa tysiące kawalerii. Cesarz był do tego stopnia pewny swego, że nie zostawił żadnych wojsk w odwodzie. Powód był prosty: naprzeciw jego armii znalazło się zaledwie sześć tysięcy zakonniczek – samych kobiet, które w zwartym szyku ustawiły ścianę z tarcz oraz włóczni i czekały. Ern posiadał wręcz pewność, że po zakonnych trupach rychło wkroczy do stolicy, gdzie Alifa chroniła tylko garstka jego osobistej gwardii.

Sam plan ataku był banalnie prosty: frontalne związanie wroga walką – piechota przeciw piechocie. Oskrzydlenie go konnicą i miażdżąca szarża na flanki. Taktyka może niezbyt wyrafinowana, ale za to niezwykle skuteczna, która przy małych stratach pozwalała zgnieść wroga do cna, nie dając mu szans na odwrót.

Ern uniósł rękę. Zamierzał zaraz raptownie ją opuścić i tym samym dać sygnał do natarcia. Lecz zanim to uczynił zamyślił się. Przez umysł przemknęło mu wspomnienie ostatnich burzliwych lat. To jak został cesarzem, poznał proroka i prawdę o swojej chorobie. Przypomniwał sobie jak okrutnie obszedł się z Magi i zdobył władzę w Cesarstwie, by następnie utracić i władzę i siostrę. Na zakończenie zaś pomyślał o zło-

wrogiej przepowiedni matki. O tym, że w niedalekiej przyszłości cały świat mógł dosłownie zniknąć. Pomyślał, że być może sam właśnie przykładał rękę do tej katastrofy, syćąc śmiercią i zniszczeniem wszech niszczycielskiego ducha.

Naraz coś go zaniepokoiło. Skoncentrował na się na północnym odcinku, gdzie do cesarskich wojsk szybko zbliżały gęste, szare mgły, unoszące się tuż nad ziemią. Ciemne obłoki to łączyły się w jeden, to dzieliły na kilka i przyspieszały.

Aż nagle pochłonęły cesarską konnicę na prawej flance. Zatrzymały się dłuższy czas, po czym ruszyły dalej w kierunku piechoty. Ern zaś z przerażeniem się zorientował, że po przeszło dwóch tysiącach koni i zbrojnych nie pozostało nawet śladu.

Opuszczając bardzo powoli rękę otworzył szeroko usta i szokowany wyszeptał:

– Mroczna mgła... To mroczna mgła, której nikt nie widział od tysięcy lat...

Tymczasem w szeregach cesarskich wojsk już dostrzeżono śmiertelne zagrożenie. Zarówno konnica jak i piechota nie podjęły walki z nowym wrogiem tylko pierzchały we wszystkie strony z pola bitwy. Jednak pogrom był już nieunikniony. Szare obłoki poczęły się rozdzielać na coraz mniejsze. Ścigały przerażone grupki cesarskich żołnierzy i pochłaniały ich, nie pozostawiając po nich śladu.

Rozdygotany Ern nawrócił czym prędzej konia i pogalopował traktem, który nie tak dawno przemierzył Markap. On, cesarz, został nagle zupełnie sam. Bez swojej armii, wiernego druha, a nawet zaufanego sługi, który w ostatnim czasie zniknął w tajemniczych okolicznościach. Ernowi pozostał

wyłącznie koń z przytroczoną do boku torbą, w której znajdowały się fiolki z niezwykle krwią.

Być może w niedalekiej przyszłości cały świat miał obrócić się w niwecz. Ale Ern odnosił wrażenie, że jego własny świat i marzenia już dosięgła absolutna katastrofa.

XXVI. OBLĘŻENIE

Wraz z czworgiem najwyższych kapłanek Elea stała na obszernym, kryształowym balkonie. Znajdował się on poza zasięgiem katapult na jednej z najwyższych wież Świątyni Światła. Przybyłe z wojskiem Malgun maszyny oblężnicze, kolejny cykl snu prowadziły zmasowany ostrzał kryształowych zabudowań.

– Najnowszy raport – syknęła Elea z głową tradycyjnie skrytą w obszernym kapturze.

Jedna z najwyższych kapłanek zabrała głos:

– Po przybyciu posiłków siły Malgun wzrosły do ponad dwudziestu tysięcy żołnierzy. Posiadają na stanie siedemnaście katapult, które zdążyły wyrządzić znaczne szkody.

– Pożary?

– Wszystkie błyskawicznie ugaszono.

– Ostatni szturm?

– Odparty bez trudu tak jak poprzednie.

– Myślą, że jedyna droga do świątyni prowadzi przez most? – uśmiechnęła się drwiąco Elea. – Naiwni głupcy...

– Niestety wróg podjął już także inne środki... – odezwała się ostrożnie, wypowiadająca się uprzednio najwyższa kapłanka.

– Mów.

– Żołnierze z Malgun budują tratwy. – Kobieta wskazał na ogołoceny z drzew fragment lasu.

– Dobrze... Kiedy wsiądą na te swoje tratwy, kontratakujemy. Wszystkie jednostki na pozycjach?

– Tak.

– Więc czas na przedsmak zapowiadającego się widowiska... Przyprowadźcie najwyższą kapłankę, którą zdemaszkowałyśmy jako perfidną zdrajczynię...

Niebawem na parkiet kryształowego balkonu wprowadzono skrzępowaną kobietę ubraną w tradycyjny strój z Królestwa Malgun – luźne wielobarwne szaty.

Elea odezwała się drwiąco do więźniarki, wskazując na odległy, okazały namiot we wrogim obozie.

– Jak widzisz twoja kuzynka, Umbria, zdecydowała się złożyć nam zbrojną wizytę. Ty zaś, jeżeli rzeczywiście twierdzisz, że jest to okrutny akt napaści, proszę, daj temu wyraz. Przemów tej szalonej władczyńi do resztek jej rozumu.

– Ale jak...? – zapytała przerażona kobieta, a w oczach stanęły jej wielkie zły.

– Po prostu wrzeszcz. Przekonaj swoich pobratymców wykrzyczanymi słowami, aby odstąpili od oblężenia.

Skrzępowana kobieta podeszła do barierki i drżącym głosem krzyknęła:

– Zaklinam cię, Umbrio! Błagam! Odjedź! Czeką cię tutaj tylko śmierć! Błagam!

– Głośniej...

– Błagam! – wydarł się kobieta i się rozpłakała.

– Ostatnia szansa...

Związana najwyższa kapłanka zaczęła się trząść i łkać coraz bardziej. Nie mogła wydusić z siebie z żadnego słowa. Te, jakby więzły jej w gardle.

– Dość tego cyrku – syknęła najwyższa z dziewięciu i wykonała prosty gest do przybyłych z więźniarką strażniczek. Te pochwyciły skępowaną kapłankę i bez ceregieli przerzuciły ją za balustradę.

Elea popatrzyła za spadającą kobietą aż ta uderzyła w most, wprost w kotłowisko leżących tam żołnierskich trupów.

Chwilę potem w obozie Malgun rozległo się donośne bicie w bębny. Przed mostem ustawiła się kolejna grupa szturmowa zaopatrzona w taran. Z kolei po bokach wodowano tratwy, na które wchodzili schowani za tarczami wojownicy.

– Nareszcie... – warknęła Elea.

Gdy taran po raz pierwszy uderzył w bramę, a tratwy znalazły się na jeziorze, najwyższa z dziewięciu oznajmiła złowrogo:

– Niech serce Kryształowej Świątyni zajaśnieje morderczym światłem sprawiedliwości.

Na tę komendę jedna za strażniczek zniknęła za drzwiami balkonu.

Elea spokojnie obserwowała szturm przeprowadzany w gradzie spadających strzał i włóczni. Aż w pewnym momencie w całym gmachu świątynne kryształy rozjarzyły się nieśmiałym światłem.

W tej chwili skończył się ostrzał wroga, po czym wszystkie zakonniczki przesłoniły oczy dłońmi. I nagle cała Świątynia Światła zaślniła tak oślepiającym blaskiem niczym sam rdzeń świetlistego słońca. Elea, która także przesłoniła oczy wiedziała, że każdy, kto tego nie uczynił, właśnie stracił wzrok.

Wkrótce oszałamiająca jasność, której źródłem był najniższy poziom Świątyni Światła, ustąpiła. Obrończynie po-

nownie spojrzały na pole bitwy i ukazał im się widok kompletnie zdezorientowanego wroga.

Nie było to jednak kres niespodzianek jakie Elea zgotowała najeźdźcom. Intensywny rozbłysk stanowił bowiem także sygnał do ataku. Zarówno dla kilkunastu tysięcy zbrojnych zakonniczek, które przez dżunglę udały się na tyły wroga, jak i przede wszystkim dla kilkuset varekai. Te ostatnie rzuciły się raptownie na oślepięne zastępy żołnierzy Malgun i dokonywały wśród nich niewyobrażalnej masakry.

Elea obserwowała w uniesieniu, jak cała wroga machina wojenna ulegała całkowitej destrukcji. Wojska Malgun dosłownie pożerał chaos w ich szeregach i atakujący je niewidzialny wróg. Kiedy z tropikalnych lasów wyłoniły się w końcu zakonne włócznie, dzierżącym je kobietom nie pozostało nic innego, jak dobijać konających przeciwników.

Niedługo czas potem Elea kroczyła dostojnie po polu bitwy. Zaściełało je blisko dwadzieścia tysięcy żołnierskich trupów w tym poległa królowa Umbria.

Wokół miejsca potyczki ustawiły się w równych szeregach zakonne oddziały, które nie poniosły praktycznie strat. Tu i ówdzie zbiły się w grupki varekai widoczne jedynie z tego powodu, że niemal całe pokryte były czerwoną krwią swoich ofiar.

Naraz do Elei podbiegła zakonniczka i wręczyła jej list. Najwyższa z dziewięciu z satysfakcją przeczytała o bezpiecznym triumfie Zakonu w bitwie pod cesarską stolicą. Następnie wsunęła list w usta królowej Umbrii, której odciętą głowę niesiono demonstracyjnie na kryształowej tacy. Elea uśmiechnęła się znacząco i w geście zwycięstwa uniosła ręce do góry. Triumfowała i to na każdym froncie.

XXVII. KONIEC LOTU

Od kilku cykli snu wężowy skalent szybował tuż nad kwiecistymi łąkami. Mijał sady, pola uprawne, a także ludzkie siedziby. Z powodu coraz częstszego pojawiania się tych ostatnich Orsis zarządziła w końcu dłuższy postój.

– Nie sądziłam, że kiedykolwiek powiem coś takiego, ale... ciężko mi się rozstać z naszą jaszczurką. – Poklepała skalenta po głowie. Ten otarł się przymilnie o ciało kobiety i kontynuował pożeranie upolowanej krowy.

– Obawiam się, że samotnie nie przeżyje zbyt długo w Królestwie Malgun. – Sageon wyciągnął z boku zwierzęcia wbitą strzałę. – Ale udanie się na nim do Varnes byłoby czystym szaleństwem. – Wojownik podrapał się po karku i z kwaśną miną dodał: – Powinniśmy byli już dawno wypuścić to zwierzę, gdzieś z dala od ludzkich domostw. Teraz rozsądne byłoby je zabić. Skalent będzie atakował ludzi, a ludzie jego...

– Nie zabijemy go – warknęła Orsis. – A wcześniej nie mogliśmy puścić go wolno. Czas gra istotną rolę w dotarciu do Varnes, aby odnaleźć tam Danena.

– I dziecko mroku...

– Jak tam sobie chcesz. Dla ciebie może być i mroczne dziecko. Mnie interesuje tylko Danen.

– A nie powinien. Istnieją ważniejsze sprawy.

– Naprawdę? Chcesz mnie pouczać, ty?! – zwróciła się gniewnie do Sageona Orsis. Jednak zanim wojownik zdążył

odpowiedzieć na zaczepkę zmrużył oczy i wpatrzył się usilnie w odległy horyzont.

– Zbierajmy się – oświadczył po chwili.

– Co tam wypatrzyłeś?

– Kolejne oddziały wojsk Malgun zmierzają w stronę ziem Zakonu.

– Wojna?

– Albo coś ją poprzedzającego...

– To nie nasza sprawa – rzuciła obojętnie Orsis. – Niech nasza jaszczurka naje się do syta. Potem podlecimy do jakiejś wioski po parę rączych rumaków. Przesiądziemy się i ruszymy do Varnes.

– Czym zapłacisz wieśniakom za konie? – zapytał posępnie Sageon.

– Darowaniem im życia – uśmiechnęła się kąśliwie Orsis.

– To będzie ich szczęśliwy cykl snu.

XXVIII. MRO CZNY BRAT

Ubrana w za duży habit Barbet wreszcie opuściła Kryształową Świątynię Mroku. Miejsce, gdzie czuła się więźniem. W konsekwencji mimo, że trafiła samotnie prosto w matnię mrocznych pierścieni, zachłysnęła się poczuciem wolności. W szybkim odnalezieniu się w nowym otoczeniu pomogła jej zmieniona, fizyczna postać. Wyostrzone zmysły, sprawność i siła powodowały, że nie lękała się czyhających w mroku niebezpieczeństw. Więcej, sama odkryła w sobie pchający ją naprzód głód walki i chęć podejmowania nowych wyzwań.

Tak oto, siedząc na tratwie podarowanej jej przez mroczne kapłanki, spływała w ciemnościach wodami znanej już sobie potężnej rzeki. Co pewien czas cumowała środek transportu i udawała się na brzeg w poszukiwaniu zwierzyny.

Pochwycone okazy tutejszej fauny dosłownie zagryzała i rozrywała na strzępy, po czym do upojenia raczyła się świeżym mięsem, wnętrznościami i krwią. Odnalazła w sobie dzikie zwierzę i z zaciekawieniem dostrzegąa, że coraz bardziej się jej to podobało.

Aż w pewnym momencie wypłynęła na tratwie z mroku wprost na otwarty akwen. Zgodnie z instrukcjami mrocznych kapłanek i wskazaniem na mapie, wypatrywała niewielkiej wyspy. Jednocześnie przeklinała swój wzrok, ponieważ nie spoglądała na świat ludzkimi oczyma i cały wodny krajobraz jawił się jej zamazany.

Zaskoczona zorientowała się nawet, że wręcz zatęskniła za mrokiem. Jednak już postanowiła, że odnajdzie tajemniczego brata mrocznych kapłanek. Potem zareaguje adekwatnie do sytuacji. Być może po prostu zabije go i nasyci się jego ciałem.

W końcu dostrzegła niewielki ciemny punkt na horyzoncie. Jakiś czas później przybiła do brzegu jałowej wyspy i udała się do widocznego szałas na oczekiwane spotkanie.

– Goście! A właściwie jeden, mający w sobie wiele postaci!

W środku przywitał dziewczynę entuzjastyczny głos. Jego właściciel siedział na ziemi z rozpostartymi czterema ramionami i uśmiechał się kąśliwie. Jego pozbawiona nosa twarz i oko umiejscowione pośrodku czoła przedstawiały wizerunek, który bynajmniej nie wzbudzał zaufania. Jednak nie pozostawiał także wątpliwości, że Barbet nie pomyliła adresu.

– Przybywam od mrocznych kapłanek – oznajmiła kwaśno, zastanawiając się jak smakuje jej rozmówca i jak go najprościej zabić. Z obojętnością zauważyła, że myśl o szybkim odnowieniu ciała coraz mniej ją absorbowała. Chciała po prostu szybko coś zjeść, najlepiej coś krwistego.

– Jest duży i mięsisty... – kontynuowała tymczasem jednooka postać. Na te słowa dziewczynie zaczęła aż cieknąć ślinka. Choć zaraz wzdrygnęła się na myśl, że domniemany brat mrocznych kapłanek raczył ją kolejnymi legendami mroku o jakimś mitycznym przyrodzeniu. Na szczęście jednooka postać szybko sprecyzowała do czego odnosiły się jej słowa:

– Sageon, Sageon... – wyszeptała kusząco.

– Znasz go?! – podniosła głos zaskoczona Barbet. Nagle oczyma wyobraźni zobaczyła barczystego, pocziwego osiłka

u boku którego spędziła ostatnie lata. Na to wspomnienie poczuła lekkie ukłucie w ludzkim sercu. Z jej perspektywy łączyło ich coś więcej niż zwykła znajomość.

– Sageon, Sageon... – nie przestawała powtarzać imienia wojownika jednooka postać, zupełnie jakby wypowiadała zaklęcie. I widząc zakłopotanie Barbet, czyniła to z postępującym zapalem.

W dziewczynie zaś coraz silniej ścierały się elementy światła i mroku. Coś krzyczało w niej, aby zabiła Oko, które Patrzy, zapomniła o swej ludzkiej naturze i powróciła w mrok. Jednocześnie coś innego zagłuszało ten krzyk i przypominało jej co znaczy być człowiekiem światła i żywić ludzkie uczucia.

Naraz Barbet chwyciła się za głowę i jak opętana zaczęła skakać, przewracać się i turlać po ziemi.

– Sageon byłby tym widokiem wielce niepokieszony... – oznajmiła skonsternowana jednooka istota i dodała: – Zjedz rybkę, to ci pomoże się uspokoić.

Na tę sugestię dziewczyna silnie pociągnęła nosem i poczuła rybi odór. Rzuciła się w kąt szalasu i odnalazł tam jeszcze żywą rybę. Oderwała jej głowę i wywlekła wnętrzności, po czym pospiesznie uraczyła się świeżym filetem.

– Nie krępuj się. Nie jestem głodny... – mruknęło Oko, które Patrzy. Jednak Barbet zdawała się i tak nie słuchać, zajęta właśnie pochłanianiem rybiej głowy i flaków.

Po napełnieniu żołądka zmysły dziewczyny powróciły do równowagi i przemówiła zdecydowanie:

– Gadaj skąd znasz Sageona!

– Odwiedził mnie tutaj na mojej wyspie... – odparło,

jakby nigdy nic Oko, które Patrzy. – Powiedziałbym nawet, że zostaliśmy serdecznymi przyjaciółmi.

– A gdzie udał się dalej?

– Cóż... Nie jest dla mnie tajemnicą, gdzie ruszył dalej, jak i nie stanowi zagadki, gdzie znajduje się teraz... – Jednooka istota pokazała na swoje białe oko.

– Więc?! – niecierpliwiła się Barbet.

– Więc twój wybraniec przemierza obecnie ziemie Królestwa Malgun wespół ze swoją nową towarzyszką, niejaką Orsisss... Brrr, odstręczająca półkobieta...

– Można by sądzić, że wiele wiesz – powiedziała z uznaniem Barbet i podejrzliwie zapytała: – A skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

– Kłamstwa – oznajmiła jednooka istota. Machnęła nie dbale rękoma i wskazała nimi na dziewczynę. – Nie chcemy kłamstw, nieprawdaż? Chcemy odzyskać czystą postać człowieka światła. Odszukać Sageona i zostać jego żoną, zgadza się...? – Barbet popatrzyła kwaśno na Oko, które Patrzy. Ono znowu namiętnie szeptało: – Sageon, Sageon...

– Zamknij się – rzuciła dziewczyna. – Albo i nie... – Postanowiła zmienić temat. – Mów, gdzie jest dziecko światła.

– W mroku.

– Bardzo odkrywcz.

– W mroku, który niebawem odkryje przede mną wszystkie tajemnice... I który będę mógł przejrzeć na wskroś.

– A to jakim cudem? – zainteresowała się Barbet.

Oko, które Patrzy okręciło się do tyłu i ukazało drugą stronę swojej głowy. Widniała tam druga para ust oraz pusty oczodół pośrodku czoła.

– Odrażające. Podoba mi się! – Przyklasnęła w dłonie dziewczyna. Na co jednooka istota przemówiła z nieskrywaną dumą:

– Zdobędę oko mrocznej varekai, a wtedy świat objawi mi swoje pełne oblicze.

– Czyli na ten czas jesteś mrocznym ślepcem.

– Niestety, ale to żenująca prawda.... Jednak czas, kiedy nie spoglądam w ciemność wkrótce przeminie. A wtedy...

– Kiedy?

– Za jakiś czas – ucięło Oko, które Patrzy.

– Więc kiedy mam się, kurwa, łaskawie zgłosić? – zirytowała się dziewczyna. Jednooka istota uśmiechnęła się drwiąco i pogroziła jej czterema wskazującymi palcami.

– Za przyszłe informacje już teraz będziesz mi służyć – oświadczyła z zadowoleniem.

– Niby co mam robić? – Barbet przełknęła ślinę w gardle mrocznego bawołu.

– Jestem tutaj już tak długo i taki samotny... – Oko, które Patrzy uderzyło w nostalgiczną nutę.

– Potrzebujesz damy do towarzystwa? – Na twarzy Barbet zagościł szelmowski uśmiech i dziewczyna dygnęła elegancko. Z kolei jednooka istota spoważniała i rzekła surowo:

– Wystaje ci futro spod habitu. Tak, na lewej piersi.

Zgaszona Barbet szybko zgarnęła kosmyk pod czarną tkaninę.

– Tak lepiej – odparło z powagą Oko, które Patrzy. Powiodło wzrokiem po ciele rozmówczyni i dla odmiany kusząco oświadczyło: – Jak wspominałem jestem tu tak długo sam, w związku z czym moje ciało potrzebuje zaznać nieco

rozkoszy... – Dziewczyna z obrzydzeniem spojrzała na krocze jednookiej istoty. Ona skrzywiła się z boleścią i bezceremonialnie się wydarła: – Masz mi rozmasować plecy!

– Aha... – mruknęła, jakby otrzeźwiała nagle Barbet. Podeszła do Oka, które Patrzy i niepewnie pomasowała po jednej z łopatek.

– O tak... Och jeszcze... Tak, bliżej karku... Co za rozkosz, słodziutka jesteś... Czuję, że będzie nam ze sobą bardzo dobrze, o taaak...

XXIX. MRO CZNY PROMYK

– Spokojnie, jestem przy tobie... – szepnął do Gishy Wiron i przycisnął ją do swego ramienia. Dziewczyna drżała.

– Boję się... – jęknęła.

– Po prostu nie wychylaj się zza tarczy. Cokolwiek się wydarzy trzymaj ją ze wszystkich sił.

– Dobrze...

– Cały czas będę przy tobie.

– Obiecujesz...?

– Przecież wiesz, że tak – odparł młodzieniec, zachowując kamienny wyraz twarzy.

– Mój głos... – szepnęła Gisha. – Nie mogę głośno mówić. Coś, jakby ścisnęło mi krtań...

– To od lęku. I nie przejmuj się. Dowódcy jeźdźców przystali na to, że twoje rozkazy będą przechodzić przez moje gardło.

– Dziękuję...

– Chodźmy już.

Gisha i Wiron opuścili namiot. Na ich widok rozległa się nieopisana wrzawa żołnierskich tłumów. W górę powędrowały chorągwie ze skrzyżowanymi toporami, mieczami i włóczniami, a także sama broń.

– Chwytać taran i formować żółwia! – wrzasnął Wiron. Grupa toporników skupiła się wokół znajdującego się na kołach okutego żelazem ściętego drzewa. Cały pniak zarówno

po bokach i jak od góry został otoczony prostokątem sformowanym z tarcz. – Wieże oblężnicze, naprzód! – Dwanaście drewnianych wież, pchanych z mozołem, ruszyło w wolna ku murom twierdzy. – Łucznicy, salwa! – Dziesiątki płonących strzał wzbilo się wysoko i zniknęło tuż za murami, a Wiron wydał następne rozkazy: – Żółw, naprzód! Piechota! Szyk obronny i naprzód! Utrzymać szyk!

Wieże oblężnicze i taran zmierzały w jednej linii ku murom twierdzy. Za nimi postępowała schowana za tarczami piechota. Wśród piechurów w samym centrum kroczyli Wiron i Gisha.

Naraz dziewczyna pisnęła żałośnie:

– Nie mogę iść, moje nogi... To przez strach...?

– Zaczęło się... – odparł posępnie, jakby do siebie samego Wiron.

– Co się zaczęło...?

– Do akcji wkroczyli bitewnie magowie Imperium. Zagęszczają powietrze i stają się jak ściana. A do tego...

– Trudno mi oddychać...

– Właśnie... Ale musimy iść, musimy iść dalej. – Wiron nabrał do płuc więcej powietrza i krzyknął: – Pchać! Nie zatrzymywać się, pchać!

Postępująca armia chociaż znacząco zwolniła to parła naprzód.

W końcu spod bramy dobiegły dźwięczne odgłosy uderzeń metal o metal.

Wiron otarł pot z twarzy.

– Dotarli... Żółw jest na miejscu... – posapywał, jedną ręką trzymając tarczę, a drugą cały czas pchając do przodu Gishę.

Gdy nagle cała przestrzeń wypełnia się lecącymi w armię Kardanoru kulami ognia. Większość z nich dosięgła celu, trafiając w wieże oblężnicze i mur tarcz trzymany przez piechotę. Na polu walki rozpętało się prawdziwe piekło. Zapłonęły wieże, tarcze i ludzie. Przerażliwy krzyk poniósł się po całej okolicy.

– Naprzód! – wrzasnął ponownie Wiron i dodał ciszej do rozdygotanej Gishy: – Magowie atakują nas ogniem, ale musimy iść...

– Kiedy nie mogę... – Dziewczyna padła bezradnie na kolana.

– Musisz. – Wiron wziął ją pod rękę i ciągnął ze sobą.

Wtem ognista kula uderzyła prosto w trzymane przez nich tarcze i przewróciła na ziemię. Dziewczyna straciła osłonę i w przerażeniu rozejrzała się wokół. Wszędzie widziała tylko ogień, okaleczenie i śmierć. Połowę wież całkiem pochłonęły płomienie. Reszta dotarła do murów, gdzie trwała zażarta walka. Taran przebił się przez bramę, jednak jego załoga niemal w całości poległa od wrzącego oleju, który właśnie podpalamo. Szyk piechoty się załamał. Ludzie stłoczyli się w małe grupki, nawzajem chroniąc się tarczami.

Obserwującą tę upiorną scenerię Gisha poczuła na ramieniu czyjaś dłoń.

– Przegraliśmy, musimy uciekać! – wrzasnął do niej błagalnie Wiron. Ale ona go odepchnęła. Panujący nad nią strach właśnie przeistaczał się w nieokiełznany gniew. Dziewczyna patrzyła na swoich martwych i poparzonych ludzi, którzy złożyli w jej ręce swój los i czuła wzbierającą w niej nieokiełznaną furję. Kroczyła samotnie naprzód, a w umyśle po-

brzmiewały jej słowa matki o Świetlistym Promyku: *A ona po prostu szła. Była niczym kwiat lotosu zakwitający na błotnistej glebie. Była Promykiem Światła otoczonym lśniącą poświatą i nie miała prawa stać się jej żadna krzywda, nie tego cyklu snu. Każdy kto zamachnął się na nią, ginął. Widząc tę scenę wróg cofał się przed wydawałoby się bezbronną dziewczyną, lecz otoczoną jakąś magiczną aurą, za sprawą której była nieśmiertelna.*

Wtem Gisha zorientowała się, że nie idzie, a unosi się w powietrzu i to coraz wyżej oraz, że otacza ją coraz gęstsza, czarna aura. Posyłane w nią ogniste kule, włócznie i strzały zmieniały kierunek i powracały do swoich właścicieli, zadając im śmierć. Wśród do tej pory pewnych swego obrońców wybuchła panika. Wszyscy jak jeden mąż ratowali się ucieką.

Gdy Gisha znalazł się ponad murami twierdzy, otaczająca ją aura była już czarną kulą nieprzepuszczającą choćby jednej drobinki światła. Wtedy dziewczyna rozpostarła szeroko ramiona i wydarła ze swej piersi śmiertelny wrzask. Każdy z wrogów, którego dosięgła mordercza vibracja padł martwy na ziemię. Z tą chwilą poświata Gishy zaczęła się rozrzedzać, a ona sama powoli opadła na mury.

Twierdza został zdobyta.

Jakiś czas potem do siedzącej samotnie na murach dziewczyny, dołączył Wiron. Usiadł koło niej, jednak w sporej odległości. Ona spojrzała na niego tęsknymi oczyma, a on odwrócił od niej wzrok. Gisha spuścił głowę i z ciężkością w głosie oznajmiła:

– Jestem demonem...

– Byłaś... – odparł Wiron i zwrócił wzrok ku dziewczynie.

– Przez chwilę naprawdę nim byłeś, demonem. Ale... dzięki temu uratowałeś nas, a teraz znowu jesteś sobą. – Przysunął się bliżej do Gishy.

– Sobą, czyli kim...?

– Kimś kogo...

– Tak...?

– Kogo kocham...

Gishy zaszklily się oczy. Popatrzyła na Wirona, a on uśmiechnął się do niej łagodnie, pogładził po włosach i mówił dalej:

– Nie tylko ja cię kocham, ludzie także. Chronić ich życie to jedno, ale pójść razem z nimi w bój ramię w ramię, to coś jeszcze większego. Ich serca należą do ciebie. Choć ja... Ja kocham cię jeszcze inaczej... Kocham cię jako kobietę... – Gisha wtuliła się w ramiona Wirona i się rozplakała. On głaskał ją po policzku i szeptał czule: – Wszystko się ułoży, zobaczysz... Wszystko będzie dobrze... A kiedyś zdobędziemy prawdziwą władzę. Ty i ja na tronach Imperium oraz Kardanoru...

– Świetlisty Promyk... – wyszeptała smutno Gisha.

– Tak?

– W opowieściach matki ona zginęła...

– W jaki sposób?

– Zabił ją jej kochanek...

– Kochanek?

– Tak... Ponoć naprawdę ją kochał i to bardzo, ale skusiło go pragnienie wielkiej władzy tylko dla siebie...

– To straszne.

– Otruł swoją kochankę, lecz w ten sposób nie mógł jej

zabić, nie Świetlisty Promyk. Dlatego odprawił rytuał. Wyciął jej na piersiach dziewięć krwawych kręgów, po czym ostrzem zadał dziewięć ciosów w serce i pozostawił w nim sztylet.

- To naprawdę straszne.
- Tak...
- Skąd on pochodził, ten kochanek?
- Z rodu Witarion...
- Jak on się zwał...?
- Nie, nie nazywał się Wiron...
- Odetchnąłem z ulgą...
- Wiron był jego bratem.

XXX. SPRZECIW

Kobieta w purpurze wkroczyła do sali tronowej w Skalnym Zamku i udała się do wyraźnie nachmurzonego Kirama.

– Wreszcie się pojawiłaś, pani – burknął, nie odrywając wzroku od zasłoniętego prześcieradłem płótna przed sobą. – Przybyłaś, pani, sama czy może w asyście morderców, którzy puszcza zamek z dymem, a może i całe Ebrim?

– Słyszę, że wieści szybko się roznoszą.

– Całe Królestwo Kardanor aż huczy! – Nie wytrzymał Kiram i podniósł głos. – Całą krainę niczym śnieżną zamiecią pokryły wieści, że kobieta w purpurze doszczętnie spaliła święte miasto! A w nim usmażyła pielgrzymów, praktyków, a nawet Trójcę! Potem zaś złupiła zgłiszcza Garnok! Przepraszam, że spytam, ale masz może jakąś purpurową siostrę bliźniaczkę, o pani?! – Po tym wybuchu męczyzna oklapł na krześle i schował twarz w dłoniach. – Okryłaś się niesławą, moja Tajemnico – jęknął.

– Odwagi, królu, nie histeryzuj. – Spróbowała dodać mu otuchy Waltari.

– Posłuchaj, Tajemnico... – ciągnął jękliwie Kiram. – Zamówiłem najbardziej wyszukane suknie od najlepszych tkaczek i zaklinam cię przebierz się w nie. Są tam stroje czerwone, żółte, białe... Wszystkie kolory jakie sobie wymarzysz. Ale, proszę, od teraz przestań łaskawie paradować w purpurze. Zrozumieliśmy się...?

- Uspokój się. Wszystko odbyło się zgodnie z planem.
- Jakim planem?! Ściągnięcia na siebie gniewu całego Kardanoru...? – Zrezygnowany Kiram z dezaprobatą pokręcił głową.
- Wszyscy, których wzburzył mój czyn wstąpią w szeregi Ordów.
- Zaiste genialna strategia...
- A wtedy zetrzemy wroga na proch i już nigdy nie zagrozi twojej władzy.
- A czy gdzieś w swoich planach uwzględniłeś taką kalkulację, że staniemy się na ten czas zbyt słabi i to nas samych... zetrą na proch, hm...? Nie chcę być starty na proch, chcę malować i... – Popatrzył smutno na Waltari. – I chcę się kochać z tobą...
- Do tej pory mi zaufałeś i oto zasiadłeś na tronie – oznajmiła spokojnie kobieta.
- Tego nie umniejszam...
- Ufaj mi dalej, a zwyciężymy.
- A zdradzisz mi jakim cudem odniesiemy ostateczne zwycięstwo? Może posłużysz się magią i będziesz tysiącami wyczarowywać toporników z lasów? – wysilił się na sarkazm Kiram.
- Ożywię golem.
- Że co...?! – Władca wybałuszył oczy i spojrzał na Waltari w taki sposób, jakby właśnie stanęła przed nim ożywiona, kamienna istota.
- Z moim oddziałem udam się do księstwa Varnes po niezbędne składniki. Potem powrócę tu i wtedy zmienimy świat na zawsze, ożywię golem.

– Mogłabyś mnie uszczypnąć...? Ajć! – Waltari spełniła prośbę i rzekła:

– Twoje zadanie to utrzymać się w Ebrim. Trójca nie będzie już bruździć. Ordowie nabrali respektu i zajmie im sporo czasu zanim zbiorą odpowiednie siły i odważą się na atak. Z kolei ze strony rodu Witarion nic ci nie grozi.

– Tak, otrzymałem list od niejakiej Waltari, tej kapłanki, głowy rodu Witarion. Zaakceptowała moje roszczenie do tronu i uznała za swego króla. Żałosna idiotka...

– Licz się ze słowami.

– Powiedziałem coś nie tak?

– Nieważne. Mam nadzieję, że cię uspokoiłam. Na mnie już czas.

– A buziak na pożegnanie? – Kiram złapał Waltari za krocze.

– Tam sam możesz mnie pocałować. – Kobieta spojrzała poniżej swojej talii.

– Wiesz, że zawsze czynię to z rozkoszą...

– Więc na co jeszcze czekasz?

Mężczyzna porwał się z krzesła i usadził na nim kobietę. Uklęknął przed nią i podwinął jej suknię. Ona niechęć strąciła prześcieradło zasłaniające płótno na sztaludze.

Na obrazie widniała kobieta w purpurze, która w jednej ręce ścisnęła nadgryzione serce, a w drugiej miażdżyła wątrobę i uśmiechała się demonicznie. Natomiast przestrzenie między jej zaostrozonymi zębami znały krew.

Waltari przeniosła wzrok na zmieszanego Kirama. Rozsunęła szeroko nogi i z dezaprobatą oświadczyła:

– Teraz będziesz się musiał wyjątkowo postarać. Do dzieła.

W niewielkiej, zaśnieżonej kotlinie, Druga z Dziewięciu przyjechała na audiencję Waltari. Tym razem obie kobiety spotkały się w skromnym domostwie i jak zwykle w obecności opiekunek Drugiej z Dziewięciu, którym Waltari nie szczędziła kosztowności. Teraz, tradycyjnie klęcząc, odezwała się do okaleczonej kobiety:

– Twoja łaska była przy mnie, pani. Zadanie zostało wypełnione.

Dzięki pomocy opiekunki dłoni Drugiej z Dziewięciu dosięgła czoła kobiety w purpurze. Ta kontynuowała:

– Obecnie, proszę, uniżenie o błogosławieństwo w kolejnej misji. Nadszedł czas, aby pochwycić dziecko mroku i zdobyć jego krew. Ożywimy golem, abyś zdobyła, pani, władzę nad światem, który legnie u twoich stóp. Kamienne istoty będą poddane wyłącznie twojej woli, obiecuję. – Waltari opuściła głowę. Zastygła w swojej pozie i oczekiwała dłoni na czole. Jednak czas mijał i nic się nie działo. – Pani...? – szepnęła.

– Nie masz zgody Drugiej z Dziewięciu – odezwała się chłodno opiekunka.

– Pani...? – W głosie Waltari zadrgała nuta gniewu.

– Nie masz zgody Drugiej z Dziewięciu – powiedziała druga z opiekunek.

Waltari podniosła głowę i spojrzała na rękę okaleczonej kobiety. Jej zabandażowana w łokciu kończyna ani drgnęła. Przeniosła wzrok na oczy Drugiej z Dziewięciu, ale nie była w stanie odczytać żadnych emocji.

- Odejdź – zarządziła pierwsza opiekunka.
- Odejdź – zawtórowała jej druga.

Kobieta w purpurze wreszcie dała za wygraną i wstała. Odchodząc zatrzymała się na moment w nadziei, że jednak usłyszy zapraszający głos opiekunek. Lecz ponownie padły dla niej złowrogie słowa:

- Nie masz zgody Drugiej z Dziewięciu.
- Odejdź.

I Waltari odeszła, a z każdym krokiem wzbierał w niej nie-pohamowany gniew.

XXXI. SPOTKANIE

Na wyprawę do księstwa Varnes Waltari zabrała ostatecznie sześćdziesięciu najbardziej bezwzględnych, a zarazem wiernych jej ludzi. Zarówno Rona jak i zakonne strażniczki pozostawiła z Drugą z Dziewięciu. Miała szczerą nadzieję, że misja się powiedzie i nikt z jej najbliższego otoczenia nie dowie się o samowolnym działaniu kobiety w purpurze.

Tak właśnie miało się to odbyć. Ten jeden raz nie będzie posłuszna okaleczonej kobiecie, której poprzysięgła wierność. Ten jeden raz. A potem powróci do wiernej służby. Powoła do życia kamienne istoty i świat znajdzie się u jej stóp. Jej oraz przede wszystkim Drugiej z Dziewięciu

*

Kati przeciągnęła się błogo w pościeli i położyła głowę na klatce piersiowej Kegen. Dopiero co kochali się ze sobą. Uczynili to na pożegnanie, ponieważ czekała ich dłuższa rozłąka.

– Wydaje mi się, że jestem już w odmiennym stanie... – powiedziała w pewnym momencie Kati.

– Jakim...? – zainteresował się Kegen. Kati pocałowała go w usta.

– Błogosławionym, rzecz jasna. – Uśmiechnęła się.

– Chcesz powiedzieć... – Popatrzył na nią z dumą.

– Myślę, że tak... Od dawna nie miewam krwawień, za to pojawiły się mdłości...

Mężczyzna mocno objął kobietę.

– Tym ciężiej mi cię opuszczać, kochana... – westchnął. – Ale muszę w końcu zadbać o nasze sprawy w księstwie Aria. Z listów od mojej młodszej siostry jasno wynika, że sprawowanie władzy ją męczy. Ona nie chce władać księstwem, a za swoją starszą siostrą, Eleą, która ją do tego namawia, nie przepada.

– Więc zamierzasz zostać księciem? – zapytała przymilnie Kati i pogłaskała Kegen po włosach.

– Czemu nie... – zadumał się. – Z tobą u boku byłoby to zaiste wspaniałe panowanie. Czyż nie, księżno Kati de Szon...?

Oboje roześmiali się serdecznie, aż Kegen wstał z łóżka, aby się ubrać i przygotować do drogi.

Kiedy siodłano mu rumaka najpierw ciepło pożegnał się z Albim. Potem podszedł do małej Nakis. Stała w progu domostwa i krzywo się uśmiechała. Z kolei Kegen przybrał kwaśny wyraz twarzy i chłodno do niej rzekł:

– Do zobaczenia wkrótce, córko.

– Serdecznie dziękuję i przekazuję pozdrowienia od Huvego. – Dygnęła.

Na dźwięk znanego sobie imienia pozostawionego w mroku chłopca, Kegen zamarł.

– Co powiedziałaś...? – Miał nadzieję, że się przesłyszał.

– Powiedziałem, że Huve, który ma cię za własnego ojca, przesłał ci pozdrowienia z mroku.

Kegen rozejrzał się wokół, aby upewnić się, że nikt nie

słyszysz tej rozmowy i ściszonego głosem niepewnie zapytał:

– Skąd wiesz o tamtym dziecku?

– Przebywa w mroku – oznajmiła rezolutnie.

– I co z tego?

– Mrok nie skrywa przede mną tajemnic...

– Kim ty jesteś...? – Kegen przybrał taki wyraz twarzy, jakby spoglądał na szkaradną ropuchę.

– Jestem grzeczną córusią tatusia – zadrwiła mała Nakis.

– Nie sądzę, aby grzeczną i mam coraz większe wątpliwości czy moją, córusią... – Popatrzył w jej czarne jak smoła oczy i odwrócił się.

– I nie zapomnij o synu – rzuciła za nim słodko dziewczynka. Spojrzał na nią przez ramię i syknął:

– Na pewno nie zapomnę o moim synu – zaakcentował silnie przedostatni wyraz.

– Eingen będzie uszczęśliwiona...

– Że co...? – Kegen ze zdziwienia wybałuszył oczy i szeroko otworzył usta.

– To, co słyszałeś. Nabroileś w mroku, Kegenie de Szon... – uśmiechając się szyderczo Nakis pogroziła mu wskazującym palcem.

– Nie możesz wiedzieć takich rzeczy – warknął. – O Eingen... A tym bardziej o tym, kto jest ojcem jej dziecka...

– Mówiłam ci, że mrok nie skrywa przede mną tajemnic...

– Nie wierzę ci... – cedził przez zaciskające się zęby Kegen.

– Nie wierzę – powtarzał usilnie, jakby samemu utwierdzając się w swoich słowach.

– Nie dbam o to, czy mi wierzysz. Za to żywię nadzieję, że jak na szlachetnego męża przystało odpowiednio zadbasz

o swojego jedyne go syna...

– Cały czas o niego dbam. Zaraz...

– Tak, tak... – Mała Nakis przyklasnęła w rączki. – Dziecko Eingen jest twoim jedynym synem.

– Miałbym ci wierzyć, że Albi... – Kegenowi zaczęło wirować w głowie.

– Albi ciamajda nie jest twoim dzieckiem, Kegenie de Szon – wypaliła dziewczynka i z zadowoleniem dodała: – Albi został spłodzony w mroku. Zaś mrok... nie skrywa przede mną tajemnic...

Na te czarne wieści Kegen otarł kropelki potu z czoła. Dotarło do niego, że nie mógł zaakceptować zasłyszanych wieści. Po prostu nie mógł.

– Jesteś małą, kłamliwą, suką – warknął do dziewczynki. – Zupełnie jak...

– Jak kto? Jak puszczańska Kati...?

– Nie mów tak o niej... Jak śmiesz! – Mężczyzna nie wytrzymał i podniósł głos. Jednocześnie spojrzał w kierunku stojącej przy koniu żony.

– Patrzysz w złym kierunku.

– Nic więcej już nie mów...

– Miałam na myśli, że nie spoglądasz na swoją dawną Kati, Kegenie de Szon.

Mężczyzna popatrzył ze zgrozą na małą Nakis, jak na siewczynię śmierci i zniszczenia.

– Pamiętaj o czasie, który został cofnięty... – szepnęła.

– O czasie...

– Tak! – Dziewczynka raz jeszcze przyklasnęła ochotczo w małe dłonie. – Prawdziwa Kati maczała w cofnięciu

czasu swoje mroczne paluchy i nie ma jej tutaj z nami. Zaś to coś... – pokazała na kobietę przy koniu. – To coś, to niejaka Sari – powiedziała, jakby w tajemnicy.

– Sari...

– Tak! To pewna żalosna złodziejka i dziwka, którą w przyszłości, która tutaj nie nadejdzie, posłałeś w mrok, Kegenie de Szon!

Mężczyzna przyglądał się Kati, a dziewczynka nadal sączyła w jego uszy jad:

– Tak, tak... Właśnie do ciebie dotarło, że od początku waszego spotkania w Varnes zachowywała się jak inna osoba, bo rzeczywiście nią jest. A teraz zechcesz łaskawie wysłuchać o tym, jak Dren brał ją na wszystkie sposoby? Jest o czym opowiadać. Ach, co to były za miłosne uniesienia! Oczywiście dopóki mu się nie znudziła. W końcu to zwykła złodziejka i dziwka z pospólstwa. Coś niegodnego nawet zubożalego szlachcica, twojego prawdziwego przyjaciela, Drena. Chciał on pozbyć się Sari, wstydliwego kłopotu, ale zabiliście go.

Wtem Kegen czym prędzej porwał się do swojego rumaka, zupełnie jakby uciekał przed dalszymi słowami małej Nakis. Kiedy znalazł się koło Kati, ta oznajmiła podniosło:

– Szczęśliwej podróży mój książę! – Wydęła usta w oczekiwaniu na pocałunek.

Kegen nawet na nią nie spojrzał. Dosiadł wierzchowca i zacinając go batem, co sił pogalopował na północ.

★

Zaskoczona chłodnym pożegnaniem Kati machała ręką za odjeżdżającym mężem tak długo, aż ten zniknął za zakrętem ulicy. Następnie odwróciła się i uśmiechnęła do stojącej w progu małej Nakis. Dziewczynka odwzajemniła słodki uśmiech i zgrabnie dygnęła. Podziwiając córeczkę, Kati pomyślała z dumą, że sama była niesamowitą szczęściarą. Jak to w ogóle możliwe, że posiadała tak wspaniałą rodzinę? I to rodzinę, która mogła niebawem zasiąść na tronie.

Z tym myślami w uniesieniu podeszła do małej Nakis. Gdy wtem ktoś odtrącił Kati z taką siłą, że przewróciła się boleśnie na ziemię. Spojrzała zaskoczona na sprawcę tego zajścia. Zobaczyła mężczyznę w prostym, szarym ubraniu z kapturem założonym na głowę i przerobionym tak, że skrywał połowę twarzy. W męskiej ręce dostrzegła niezwykle broń: połączenie miecza i włóczni.

Nagle jakaś niewidoczna siła uderzyła mężczyznę w brzuch. Zakapturzona postać zgięła się w pół, przeturlała po ziemi i wykonała zamaszysty cios ostrzem miecza. Rozległ się przeraźliwy wrzask, po czym w przestrzeni poszybowała struga czarnej cieczy i spadła wprost na Kati. Kobieta z obrzydzeniem otarła z siebie lepłą substancję, przywodzącą na myśl mroczną krew, która niegdyś, podczas przerażającego rytuału, pokryła Sari.

*

Okiem zwiastuna mroku Danen był w stanie dostrzec zarys sylwetki mrocznej varekai. Zaś dzięki innym zmysłom dotarło do niego coś absolutnie nieoczekiwanego. Oto

w osobie mrocznej istoty miał przed sobą nie kogo innego, jak Magi.

Zamiast roztrząsać tę niedorzeczność rzucił się w wir walki. Po otrzymanym uderzeniu w brzuch skutecznie kontratakował mieczem, raniąc mroczną varekai w plecy. Teraz zbierał się do zadania ostatecznego ciosu grotem włóczni. Jednak zraniona istota jakimś cudem uniknęła ataku i sama zadała cios uzbrojoną w szpony ręką. Na szczęście mężczyzna przyjął uderzenie na część ciała zwiastuna mroku. Stracił na ramieniu kawałek łuskowatej skóry, ale nadal mógł swobodnie walczyć. Wykonał piruet i dźgnął varekai w udo. Ponownie rozległ się dziki wrzask i zraniona istota zaczęła uciekać.

Danen pognał w ślad za nią. Gdy tylko tracił ją z widoku podążał tropem czarnych kropel krwi. Nad brzegiem rzeki verakai skoczyła na niego z drzewa. Tym razem wbiła mu szpony w plecy jego ludzkiej połowy. Mężczyzna błyskawicznie wymusknął się przeciwniczce i tylko dzięki temu ta nie rozerwała mu ciała, kładąc go trupem.

Przykucnęła i czujnie wodziła wzrokiem za Danem. Ten, z bronią w gotowości, obchodził ją na około. Uśmiechnął się zauważywszy, że varekai krwawiła znacznie mocniej niż on. A więc szybciej słabła i to ona musiała zaatakować.

Nie pomylił się. Istota raptownie skoczyła na drzewo. Odbiła się od pnia i wielką siłą poszybowała wprost na Danena. On zrobił skuteczny unik. Odwrócił się i rzucił posiadaną bronią jak oszczepem. W momencie gdy varekai zwróciła się przodem no napastnika, jej brzuch został przeszyty na wylot włócznią. Mroczna istota padła na ziemię i głośno rzęziła.

Danen podszedł do niej niespiesznie i wyszarpnął świetlany mrok z jej trzewi. Przymierzył grot włóczni na wysokości serca varekai, aby zadać ostateczny cios.

– Do zobaczenia w innym cyklu czasu, Magi... – wychrypiał, biorąc zamach, kiedy usłyszał gwałtownie wykrzywane słowa:

– Nie! Zaklinam cię! Nie! – Nieopodal stała Marint i szybko oddychając, spoglądała z bólem na ranną varekai.

– Dlaczego, nie?! – wrzasnął gniewnie Danen i opuścił broń.

– Nie możesz jej zabić. W tej istocie kryje się coś niezwykłego!

– A owszem, to twoja zdradziecka siostra!

– Nie... – Marint padła na kolana i ze zdziwienia szeroko otworzyła usta. – Nie... A jednak czuję, że...

– Czujesz, że tak, że to ona!

– To prawda...

– A więc czas na naszą zemstę! – Danen ponownie przymierzył się do zadania śmiertelnego ciosu.

– Nie rób tego... – jęknęła bezradnie Marint.

Danen coraz bardziej się irytował.

– A to niby znowu dlaczego?! – wściekał się.

– Czymkolwiek stała się Magi właśnie ponosi karę. Tylko spójrz na nią...

– Patrząc... I widzę coś, co żyje, a powinno być martwe. Jedyną prawdziwą karą jest śmierć!

– Nie... – Marint zaczęła łkać. – To wciąż moja bliźniacza siostra... I nie możesz jej zabić jak psa...

– Więc już nie pragniesz zemsty?!

– Teraz rozumiem, że nigdy jej nie pragnęłam...

– Więc co ty sobie wyobrażałaś, jak znowu ją spotkasz, że padniecie sobie w ramiona, jak dawniej i ponownie cię wykorzysty dla swoich celów?! Jak wszystkich wokół siebie?!

– Nie wiem, nic już nie wiem... Będę ci służyć, na zawsze, przysięgam, tylko jej nie zabijaj, mojej siostry, proszę...

Danen opuścił broń i popatrzył z niesmakiem na płaczącą kobietę. Odrzucił świetlany mrok i złapał vareki za gardło. Potężnie ścisnął ją ręką zwiastuna mroku i charczącą podniósł do góry.

– Nie... – szeptwała trwożnie Marint.

Naraz mężczyzna z całą siłą zagłębił palce drugiej dłoni w oczodole varekai i wyszarpnął jej oko, po czym okaleczoną istotę niczym szmacianą lalkę odrzucił na bok.

– Mam, po co przybyłem. – Popatrzył na czarne oko w swojej dłoni i wychrypiął: – Możemy wracać.

– Dziękuję, dziękuję...

*

Osołomiona Kati wstała. Spoglądała w ślad za mężczyzną w kapturze, który w niewyobrażalnie zwinny sposób zdawał się uganiać za jakimś niewidzialnym demonem, aż zniknął jej z oczu.

Nagle kobietę ogarnął silny niepokój.

Zwróciła uwagę na córkę. Dziewczynka miała szeroko otwartą buzię, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Co się stało Nakis, kochanie, nic ci nie jest? – Kati przykucnęła przy córce i wpatrywała się w jej załęczoną twarzyczkę.

Dziewczynka bynajmniej się nie uspokoiła, za to trwożnie wskazała placem za plecy matki. Ta odwrócił się i zobaczyła zbliżającą się kobietę w purpurowej sukni. Za nią, dosłownie ze wszystkich stron, schodziła się masa uzbrojonych po zęby ludzi.

– Szybko Nakis, chodź! – Kati porwała córkę w ramiona i pospiesznie przekroczyła próg domu. Zarygłowała drzwi i przez salon pobiegła do kuchni. – Zabierz dzieci, natychmiast! – krzyknęła do siedzącej na parapecie Alistri i oddała jej Nakis. – Gdzie Albi?! – Z uczuciem ulgi przypomniawszy sobie, że dwie ulice dalej jej syn brał właśnie lekcję muzyki. I ponownie wrzasnęła do Alistri: – Zabierz Nakis do mojej sypialni! Zamknij drzwi i zastaw je łóżkiem, natychmiast!

Alistri zeskoczyła na podłogę, a Kati pobiegła do drzwi wejściowych, aby podeprzeć je własnym ciałem.

To nie pomogło. Po kilku silnych uderzeniach wrota zostały wywarzone. Kati chciała zawrócić, ale zanim to uczyniła dwóch mężczyzn chwyciło ją pod ręce. Zawlekli ją do salonu, a za nimi wsypała się grupa około dwudziestu mężczyzn. Następnie do pomieszczenia wkroczyła kobieta w purpurze. Zdjęła kaptur, a Kati oniemiała, rozpoznając w niej swoją kuzynkę.

– Witaj – odezwała się do trzymanej kobiety Waltari. – Gdzie twoja córka? Nie ukrywaj jej, a nie zrobię jej krzywdy. Rozczaruj mnie, a... – zawiesiła głos i zakończyła surowo – wszyscy będziecie cierpieć. To jak będzie, kochana...?

– Ale dlaczego...? – zapytała z bólem matka dziewczynki.

– Nie czas na tłumaczenia.

– Ale...

– Gdzie jest dziecko?! Mów!

Roztrzęsiona Kati spojrzała niepewnie na drzwi sypialni i spuściła wzrok na podłogę.

– Doskonale, gołąbeczko... – oznajmiła drwiąco Waltari i zwróciła się do swoich ludzi: – Zostańcie tu i nie róbcie niczego głupiego, bądźcie czujni. – Weszła swobodnie do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Na łóżku siedziała dziewczynka, a nad nią stała Alistri. Na widok dobrze znanej sobie kobiety Waltari poczuła ciepło na sercu. Podeszła do niej i mocno ją objęła.

– Przepraszam, że tak długo to trwało, że na tak długo zostawiłam cię samą... – oświadczyła. – Teraz jednak los się do nas uśmiechnął. Będziemy razem i będziemy w posiadaniu tego, o czym zawsze marzyłyśmy...

– Jestem po to by służyć – odpowiedziała chłodno jak zwykle Alistri. W odpowiedzi na twarzy Waltari zagościł błogi uśmiech.

– Kim jesteś? – odezwała się niespodziewanie mała Nakis i wbiła wzrok w wysoką, niemal łysą kobietę. – Kim jesteś? Po co tu jesteś? Kim jesteś? Po co tu jesteś? – powtarzała pytania dziewczynka, dżgając nimi niczym ostrymi sztyletami.

*

Wtem świadomość Alistri opuściła sypialny pokój. Znalazła się w niezmiętej kosmicznej przestrzeni – nieprzeniknionej czerni naznaczonej nieskończoną ilością świetlistych gwiazd. Pośród tej niezwykłej scenerii rozbrzmiał męski, dostoyny głos:

– Jesteśmy tymi, którzy się nie narodzili i którzy nigdy nie umrą. Pojawiamy się i znikamy jak gwiazdy na niebie, jak koła na wodzie, gdy wrzucony zostanie w nią kamień. Pośród światła i mroku trwamy jako strażnicy esencji samego istnienia. Przekraczamy jego dualistyczny wymiar i prowadzimy świat ku jedności. Jesteśmy Izagard. To właśnie my, strażnicy samego istnienia. Kim jesteś, Alistri?

– Jestem Izagard.

– Jesteś Izagard. Czy śpisz, czy nie. Czy twoja świadomość przebudzi się w danym świecie w całości, czy tylko w części, to nie ma znaczenia. Jesteś Izagard i zawsze będziesz działać na rzecz jedności, na rzecz wszelkiego istnienia, nie zważając na światło i mrok. Kim jesteś, Alistri?

– Jestem Izagard.

– Jesteś Izagard. Jesteś strażnikiem, który przełamuje w sobie wszelkie dualne słabości: dobro i zło, korzyść i stratę, światło i mrok. To wszystko jest dla ciebie bez znaczenia, bo jesteś strażnikiem samego istnienia poza wszelkimi ograniczeniami. Kim jesteś, Alistri?

– Jestem Izagard.

– Jesteś Izagard, więc idź. Idź w i wypełnij swoje posłannictwo strażnika jedności. Zjednocz światło w mrok, bądź silna. I nigdy nie zapomnij kim jesteś, Alistri.

– Jestem Izagard.

Nagle świadomość kobiety powróciła do sypialni. Była to już jednak inna świadomość, bogatsza o wiedzę, która właśnie się w niej objawia.

Alistri rozejrzała się po sypialnym pokoju, jakby widziała go po raz pierwszy. Jej wzrok spoczął na Waltari. Ta pogła-

dziła ją po policzku i drwiąco zapytała:

– Powiesz to jeszcze raz, Alistri? Po co tu jesteś? Mroczna dziewczynka tak usilnie dopytuje...

– Jestem po to by służyć...

– O tak...

– Ale nie tobie, suko. – Alistri gwałtownie wprowadziła sztylet w trzewia Waltari. Przeszyta ostrzem kobieta szeroko otworzyła oczy. Popatrzyła na swoją kochankę z niewysłowionym zaskoczeniem i bólem. – Zdradziłaś ją – rzekła Alistri i przekręciła nóż w brzuchu kobiety.

– Kogo, zdradziłam...? – Waltari desperacko złapała rękoma za rękojeść sztyletu.

– Drugą z Dziewięciu – odparła Alistri i pchnęła kobietę w purpurze na łóżko. Otworzyła okno i wyskoczyła przez nie.

Chwilę potem wróciła umazana krwią zaszlachtowanych najemników. Wzięła na ręce małą Nakis i razem z nią ponownie przycisnęła się przez okno, opuszczając domostwo Kati de Szon już na dobre.

*

Mężczyźni pchnęli Kati na sofę i jeden z nich wychrypiał do pozostałych:

– Nie uważacie, że należy nam się specjalna premia? – Zerknął lubieżnym wzrokiem na leżącą kobietę, a w pomieszczeniu rozległy się pomruki aprobaty. – Właśnie... – powiedział z zadowoleniem najemnik i syknął do Kati: – Czas się zabawić, szlachecka dziwko. – Potężną dłonią zakrył jej usta. Zaś jego kamraci rzucili się zdzierać z kobiety ubranie.

Naraz do pomieszczenia weszła kolejna, kobieca postać. Odwróciła głowę w bok i potężnie kichnęła. Na jej widok najemnicy jeszcze bardziej się rozochocili i skoczyli ku niej z otwartymi ramionami.

Ona rozczapierzyła zamkniętą dotąd dłoń i dmuchnęła w znajdujący się na niej wielobarwny proszek. W powietrze wzbila się kolorowa mgiełka, a najbliżsi jej mężczyźni legli pokotem. Ci, którzy rozbierali Kati, ruszyli kamratom na pomoc, jednak spotkał ich los poprzedników.

Kiedy ostatni mężczyzna stracił przytomność, przybyła kobieta stanęła nad przerażoną Kati. Ta wyszeptała drżącym głosem:

– Dziękuję... Tak bardzo dziękuję...

W odpowiedzi przybyła kobieta uśmiechnęła się demonicznie i kolorowym proszkiem dmuchnęła Kati prosto w twarz, mówiąc:

– Słodkich snów, szmato.

EPILOG

– Razem z Eingen złapaliśmy mroczną jaszczurkę! To znaczy Eingen złapała. Ja chwyciłem za ogon i on pozostał w moich rękach, a jaszczurka dalej uciekała. Była duża i tłusta! Wreszcie najedliśmy się do syta. Ogon też zjedliśmy i...

– To dobrze, Huve... – jęknęła smutno mała Nakis. Widziałam ją, jaszczurkę, rzeczywiście była duża...

– Twój głos. Ty cierpisz.

– Cierpi moja mroczna varekai. Ona chyba umiera...

– Czułem, że spotka ją coś złego. Ale nie będę się śmiał. Nie chcę mi się śmiać.

– To dobrze...

– Gdybym mógł podzieliłbym się z twoją varekai mroczną jaszczurką.

– To duży gest...

– Mówisz jakoś tak dziwnie, inaczej.

– Zabrano mnie od... mojej matki...

– Bogini Mroku?

– Od drugiej matki...

– Zawsze twierdziłaś, że masz tylko jedną, mroczną.

– Wiem co mówiłam. Ale teraz... Sama już nie wiem. Jest mi tak dziwnie, Huve...

– Spoglądaj w światło, Nakis. Patrz tam, gdzie jest najjaśniej...

Spis treści

I. KIM JESTEM?	4
II. DRUGA Z DZIEWIĘCIU	13
III. KLUCZEM JEST KREW	20
IV. SOJUSZ	29
V. WSZYSCY ZDRAJCY TEGO ŚWIATA	33
VI. XARANTIS	37
VII. LEGENDY MROKU	43
VIII. U BRAM DAKKISZ	46
IX. PODCHODY	56
X. TAJEMNICA	65
XI. RUCH OPORU	74
XII. OSACZONY	79
XIII. PRZEKŁĘTA RUBIEŻ	81
XIV. JUŻ CZAS	88
XV. PROROCTWO	92
XVI. PRAGNIENIA	100
XVII. BITWA O KARDANOR	108
XVIII. SZCZĘŚLIWA PARA	119
XIX. VAREKAI	123
XX. OSTRZA	128
XXI. PIERWOTNY MUR	136
XX. CHLEB	140
XXIII. ŚWIATŁO W MROKU	150
XXIV. ODWET	156
XXV. KONFRONTACJA	161
XXVI. OBLĘŻENIE	167
XXVII. KONIEC LOTU	171
XXVIII. MROCZNY BRAT	173
XXIX. MROCZNY PROMYK	179
XXX. SPRZECIW	185
XXXI. SPOTKANIE	190
EPILOG	204